

John Altman

Gry szpiegów

John Altman

Gry szpiegów

Moim rodzicom

Na myśl o Niemcach często ogarnia mnie wielki smutek: jacyż potrafią być wspaniali jako jednostki, a zarazem jacy godni pogardy jako naród...

Goethe

Prolog

Nowy Jork Grudzień 1933

Pod cieniutką warstwą śnieżnego puchu miasto wydawało się niemal ładne.

Szły w stronę portu. Catherine słyszała stłumione dźwięki śpiewanej bez entuzjazmu kolędy, tajemnicze zawrośnięcie rogów mgłowych, łagodną muzykę płynącą nad rzeką.

Przy płaszczu został jej tylko jeden guzik, tak że musiała przytrzymać kołnierz ręką, żeby się nie rozchylał. Zastanawiała się, jakim cudem płaszcz Katariny wciąż wygląda jak nowy? Jak ona to robi, że tak łatwo odrywa się od codziennych trosk i wznosi ponad nie – nieskazitelna, modnie ubrana, szczęśliwa...

Katarina opowiadała właśnie o filmie, który niedawno oglądała: *Orzeł i sokół* z Carym Grantem i Carole Lombard. W jej zielonych oczach migotały żywe iskierki, opadające na ramiona blond włosy falowały w rytm jej kroków; trajkotała wesoło, swobodnie. Catherine złapała się na myśli, że Katarina mówi po angielsku lepiej niż ludzie, którzy spędzili w Stanach dwa razy więcej czasu; nawet ona sama miała silny akcent, który zdradzał, że wychowała się w Bronksie. Jak to możliwe, na miłość boską? Dlaczego Katarinie wszystko przychodzi z taką łatwością?

W oddali jakiś statek wchodził do portu. Rzekę Hudson rozświetlały tysiące tańczących światełek. Catherine dostrzegła gwałtowną krzątanicę na nabrzeżu, ale w ciemności nie mogła rozpoznać szczegółów: widziała po prostu kłębiącą się, falującą masę ludzką. Na pokładzie grała orkiestra – mimo znacznej odległości słyszała hałaśliwą, pompatyczną muzykę.

Wzdrygnęła się. Zmarzła. W ogóle nie powinna była nigdzie wychodzić. Pora wracać do domu.

Odwróciła się, żeby zaproponować to Katarinie, lecz przyjaciółka zniknęła.

Dopiero po chwili ją dostrzegła: szła po opustoszałym molo, wybiegającym daleko w głąb czarnych wód oceanu.

– Katarino!

– Chodź! – dobiegła ją odpowiedź. – Chodź do mnie! Katarina zniknęła za piramidą skrzyń.

Catherine wytrzymała wzrok. Nie pójdę za nią, pomyślała. Jest późno, zimno, mam tylko jeden guzik przy płaszczu, a poza tym nie jestem taka jak ona. Nie lubię przygód, ciemności i nocnych wędrówek po dokach.

Następnego dnia miała iść do nowej pracy i chciała zrobić na szefie jak najlepsze wrażenie, a przynajmniej wyglądać jako tako, kiedy spotkają się na dworcu. Nie liczyła na bliższe kontakty, co to, to nie; był wprawdzie wdowcem, ale Catherine nie miała złudzeń co do własnej atrakcyjności. Nie, nie żywiła najmniejszych nadziei. Tym niemniej pomysł rzetelnego przespania nocy wydawał się nader sensowny. Zależało jej, by prezentować się jak najlepiej, gdy pierwszy raz na nią spojrzy.

Weszła na molo, zawahała się i zrobiła jeszcze jeden krok naprzód. Jeden Bóg wiedział, kto mógł się tu czaić w samym środku nocy. Mocniej ścisnęła wyszywaną koralikami torebkę. Nagły bryzg lodowatej wody przemoczył jej płaszcz. Zadrzała. Gdzie podziała się Katarina?

– Katarino... – odezwała się. – Muszę wracać do domu.

– Chodź, tylko popatrz, Cat. Zaraz wracamy.

– Na co mam popatrzeć? Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Catherine jeszcze chwilę stała nieruchomo, przytrzymując rozchyłające się poły płaszcza. Poczowała ukłucie dziwnego, nieznanego uczucia; chwilę trwało, zanim rozpoznała w nim gniew. Dlaczego Katarina zaciągnęła ją na to opustoszałe molo akurat w przeddzień rozpoczęcia nowej pracy? Zazdrościła jej, ot co! W Owen and Dunn co i rusz narażona była na podszczypywanie i niezdarne zaloty starego George'a Gardnera, Catherine zaś miała właśnie wynieść się z miasta i zamieszkać w miłym domku na wsi w towarzystwie powszechnie szanowanego człowieka. Katarina najwyraźniej nie potrafi się z tym pogodzić...

To śmieszne, zbeształa się w duchu. Przyszła się pożegnać. Jest moją przyjaciółką.

Podeszła bliżej i zajrzała za skrzynie.

– Katarino?

Od poprzedniego razu minęły dwa lata.

Ale wszystko poszło jak po maśle. Jej ciało automatycznie przejęło inicjatywę, nie czekając na wydawane przez umysł polecenia. Miała wrażenie, że obserwuje jakby z oddalenia, jak sięga do torebki i wyjmuje nóż sprężynowy. Kciukiem wciska guzik zwalniający ostrze, a nóż otwiera się z metalicznym trzaskiem. Widziała siebie, jak opiera się plecami o skrzynię, czekając, aż Catherine znajdzie się w zasięgu jej ramion. A kiedy ta chwila nadeszła, lewą ręką otoczyła jej szyję od tyłu, wciskając palce do ust. Prawa dłoń uniosła nóż, znajdując właściwy kąt – łatwo, płynnie, jakby ćwiczyła to poprzedniej nocy.

Ostrze wśliznęło się między czwarte i piąte żebro, trafiając prosto w serce Catherine Danielson.

Catherine szarpnęła się i zadygotała, ale Katarina nie zwolniła uścisku. Przez kilka sekund ofiara szamotała się niemal zmysłowo, a potem z jej ust dobyło się słabe westchnienie. Żyła jeszcze, lecz jej pierś wypełniała się już krwią: niebawem przebite serce w niej utonie.

Katarina wyciągnęła nóż z rany i pozwoliła Catherine osunąć się na kamienie. Wytarła ostrze w jej sfatygowany płaszcz i wrzuciła nóż do wody.

Potem działała szybko, nie spoglądając na leżące obok ciało. Znalazła nieduże kartonowe pudełko, które sama wcześniej podrzuciła na molo. Wyjęła z niego dwie bezkształtne, obwiązane sznurami bryły złomu. Wolne końce lin przywiązała Catherine do kostek. Wiał przenikliwy, zimny wiatr, ale nie zwracała na niego uwagi. Z daleka dolatywały od czasu do czasu wiwaty – to pasażerowie schodzili z pokładu luksusowego liniowca na ląd. Orkiestra wciąż grała.

Przywiązawszy obciążenie do nóg Catherine, wyprostowała siei krytycznym wzrokiem oceniła swoje dzieło. Zmarszczyła brwi i nagle – szybkim kopnięciem – zepchnęła ciało do wody. Rozległ się bardzo głośny plusk, a potem stłumiony syk, gdy wody oceanu zamknęły się nad ciałem Catherine.

Zapadła cisza.

Orkiestra zaczęła grać *Don't Blame Me*.

Katarina podniosła torebkę Catherine Danielson, wygrzebała z niej papierosa i zapaliła go. Zarzuciła torebkę na ramię i ruszyła z powrotem na nabrzeże.

Część 1

Rozdział 1

Salisbury, Wiltshire Grudzień 1942

Jechali w milczeniu od dwudziestu minut i Winterbothamowi oczy zaczynały się już kleić, gdy pułkownik Fredricks nagle się odezwał:

– Wie pan co, profesorze? Jest pan zupełnie inny, niż się spodziewałem.

Przez chwilę Winterbotham zastanawiał się, czy nie puścić uwagi mimo uszu; wiedział, co pułkownik ma na myśli, a nie miał ochoty na słowne utarczki. Był cholernie zmęczony. Tylko дума – udręczona osobista дума, nad którą nigdy nie umiał zapanować – kazała mu zareagować:

– To znaczy, pułkowniku?

Fredricks zaśmiał się cicho.

– Chyba oczekiwałem kogoś, kto przypominałby dzikiego kota... Może rysia.

Winterbotham wyrzwał przez okno, zwlekając z odpowiedzią. Na zewnątrz panowała absolutna ciemność; nie był w stanie dostrzec nawet granicy między lasem i niebem. Od dwóch lat co noc cała Anglia gasiła wszystkie światła. To dobrowolne sprowadzanie mroku chyba przynosiło efekty: Luftwaffe miała kłopoty z namierzaniem celów. Sęk w tym, że ciemności stały się udręką dla samych Anglików, realną i nieznośną, choć przede wszystkim psychiczną. Hitler nie wygrał wojny – przynajmniej na razie – ale zmusił ich do krycia się w mroku, jak zwierzęta w jaskini.

Winterbotham odwrócił wolno głowę i spojrzał na siedzącego obok mężczyznę: Fredricks był wysoki i trupioblady. W mroku samochodowego wnętrza niewyraźnie majaczyła jasna plama jego twarzy.

– Rysia... – powtórzył wolno Winterbotham.

– Ostrzegano mnie przed panem.

– W takim razie przykro mi, że pana rozczarowałem.

– Proszę mnie nie przepraszać, profesorze. Z prawdziwą przyjemnością stwierdzam, że jest pan...

– Fredricks zawiesił głos.

– Oswojony?

– Właśnie – przytaknął z ulgą pułkownik. – O to mi chodziło.

– Oczekiwał pan, że zacznę się dopytywać, dokąd jedziemy. I że zrobię wszystko, by uprzykrzyć panu tę podróż.

– Istotnie, przeszło mi to przez myśl.

– Zatem to Taylor pana po mnie przysłał.

Fredricks nie odpowiedział.

– Taylor zawsze mnie przeceniał – dodał Winterbotham, uśmiechem kwitując milczenie

pułkownika.

– Obawiam się, że nie mogę...

– Nie pytałem o cel podróży, ponieważ wiem, dokąd się udajemy, pułkowniku. Do małego, niepozornego domku na wsi, prawda? To, czy znam jego dokładne położenie, nie ma chyba znaczenia. Na miejscu spotkamy się z moim starym przyjacielem, profesorem Andrew Taylorem. Nie myślę się chyba? I to właśnie on wyjaśni mi powody tego dość niezwykłego zaproszenia. Czy tak?

Fredricks milczał.

– Nie pytałem, o co chodzi, z jednej prostej przyczyny: pan też tego nie wie. Mam rację, pułkowniku? Jest pan ogarem Taylora, ale nie wie pan, jaką zwierzynę pan wystawia. Ani po co. Prawda?

Fredricks odchrząknął.

– Jesteśmy prawie na miejscu – stwierdził sztywno.

Winterbotham z niejasną satysfakcją znów zapatrzył się w okno.

Wiedział, że znajdują się w okolicach Salisbury: chwilę wcześniej, zanim samochód się zatrzymał, rozpoznał jedyną w swoim rodzaju wieżę gotyckiej katedry – czarną iglicę, o ton ciemniejszą od nocnego nieba. Zajechali pod domek z epoki Tudorów, stojący w szeregu innych, podobnie skromnych. Strzeliste dachy kryte były deskami koloru miodu.

Winterbotham odczekał, aż pułkownik otworzy mu drzwi auta, i wysiadł, starając się zapanować nad szczękaniem zębów. Przenikliwy wiatr natychmiast zmierzwił mu i tak nieuczesane kasztanowe włosy. Profesor otulił się ciasniej tweedową marynarką, mrużąc oczy przed niesionym wichurą piaskiem.

Pokój, do którego wchodziło się bezpośrednio z ulicy, miał klaustrofobicznie niski sufit; pachniał rybą i kapustą. Jedyne źródło światła stanowił trzaskający na kominku ogień, ale i tak zasłony na oknach były szczelnie zaciągnięte: wiadomo, zaciemnienie. Z radia płynęły ściszone dźwięki *She's Funny That Way*.

Winterbotham miał rację: profesor Andrew Taylor siedział na jednym z dwóch foteli przy kominku. Kiedy weszli, wstał i podał im rękę na powitanie. Miał swoje lata – podobnie jak Winterbotham – i mimo trudnych czasów i racjonowania żywności odznaczał się – podobnie jak Winterbotham – całkiem pokaźną tuszą.

Nie widzieli się ładnych kilka lat – od czasu, gdy obaj wykładali na uniwersytecie. Na pierwszy rzut oka Taylor postarzał się, przybyło mu trosk i zmarszczek, ale odnosiło się zarazem wrażenie, że wojna w dziwny sposób mu służy: wyglądał krzepko, zdrowo, uścisk dłoni miał mocny i zdecydowany. Spotyka się czasem takich ludzi, pomyślał Winterbotham; życie w mroku wydobywa ich najlepsze cechy. To są tacy Churchillowie naszego świata, karmiący się energią konfliktów.

– Witaj, staruszkule – powiedział Taylor. – Znaleźli cię, jak widzę.

– Owszem. W kąpieli.

– Przykro mi, Harry. Chodź, siadaj. Dziękuję, pułkowniku, to wszystko.

Pułkownik Fredricks zgął się w grzecznym półukłonie, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Nieźle go wyszkoliłeś – zauważył Winterbotham.

– Nie ja, tylko królewski korpus artyleryjski. Herbaty?

– Wolałbym coś mocniejszego, jeśli to możliwe.

Winterbotham usadowił się w fotelu i z uśmiechem zerknął na stojący obok marmurowy stolik z szachownicą. Może Taylor ściągnął go tutaj tylko dlatego, że miał ochotę na partyjkę szachów...

Chociaż w to akurat wątpił.

Gospodarz podał mu obtłuczony kubek i trzymając w ręku drugi, własny, usiadł po przeciwnej stronie szachownicy. Winterbotham podniósł naczynie do ust i podejrzliwie pociągnął nosem: whisky. Upił łyk. Więcej: dobra whisky. Kiedy ostatnio miał okazję pić dobrą whisky?

– Dobrze wyglądasz – stwierdził Taylor.

Winterbotham uniósł brwi: doskonale wiedział, jak wygląda, i na pewno nie powiedziała by, że dobrze. Bez słowa popijał whisky.

Przedłużające się milczenie chyba odpowiadało Taylorowi. Ogień trzaskał, radio pomrukiwało cicho, wiatr zawodził pod okapem dachu. Winterbotham przeniósł wzrok na szachownicę. Figury stały na wyjściowych polach, gotowe do rozpoczęcia partii. Wyciągnął rękę, złapał w palce królewskiego piona i przesunął go dwa pola naprzód. Proste, praktyczne otwarcie, które zawsze doprowadzało Taylora do białej gorączki. Dla niego każde posunięcie – tak w szachach, jak i w życiu – powinno nosić znamiona geniuszu. Nie wystarczało mu zwykle zadowolenie, płynące z dobrze wykonanej pracy, jeżeli brakowało w niej prawdziwej inspiracji.

Taylor pochylił się nad stolikiem, potarł podbródek i odpowiedział ruchem swojego królewskiego piona. W jego grze nie było łatwych posunięć.

– Nie po to cię tu ściągnąłem, żeby grać w szachy – uprzedził.

– Domyślam się – odparł Winterbotham, wyprowadzając gońca.

– Słyszałem o Ruth. Przykro mi, Harry.

Nie podnosząc wzroku, Winterbotham skinął głową.

– Masz jakieś wieści? Jest jeszcze nadzieja? Winterbotham wzruszył ramionami.

– Zawsze jest jakaś nadzieja.

Chociaż w wypadku Ruth istotnie nie była wielka. Zlekceważyła jego ostrzeżenia i latem 1939 roku wyjechała do Warszawy. Miała tam rodzinę – dwóch braci i garść dalszych krewnych. Koniecznie chciała namówić ich do wyjazdu z Polski, zanim będzie za późno. Ale kiedy dotarła na miejsce, już było za późno: tydzień później hitlerowcy wkroczyli do Polski. Od tego czasu nie miał od niej żadnych wieści. Pozostały tylko dwie możliwości: albo Ruth zginęła, albo trafiła do obozu. Winterbotham nie miał jak tego sprawdzić, dawno jednak przyznał sam przed sobą, że miała małe szanse na ocalenie.

Wiedział, że Taylor też ma żonę, chociaż nie mógł sobie przypomnieć jej imienia. Alice, pomyślał. Albo może Alicia. Chyba raczej Helen – tak, prawie na pewno.

– Jak się miewa Helen? – zaryzykował.

– Nie żyje. – Taylor patrzył na szachownicę. – Minęły już prawie dwa lata.

– Bomby?

– Gruźlica.

– Przykro mi, Andrew.

– Mhm.

Przez następne dziesięć minut grali w milczeniu. Taylora jak zwykle ponosiła ambicja: wykonywał dramatyczne ruchy, nie tracił czasu na prostą obronę, czekając na okazję do zadania decydującego ciosu. Winterbotham wybił mu piony, oddzielił króla od wieży, zbił wieżę i zaczął naciskać z flanki. Wypił swoją whisky i czekał, aż gospodarz zaproponuje mu dolewkę. W końcu zrezygnowany Taylor przewrócił króla na planszę.

– Im większe zmiany... – Uśmiechnął się kwaśno. – Napijesz się jeszcze?

- Nie odmówię.
- Tak myślałem. Jak tam, staruszk, dalej uczysz?
- Sam pewnie wiesz, że już nie.
- Faktycznie, wiem. Nie udało mi się natomiast dowiedzieć, czym naprawdę się zajmujesz.
- Prawie niczym. Najchętniej zamykam się w bibliotece, wśród książek. Chyba że ktoś przerwie mi kąpiel i wywlecze gdzieś na zabita dechami wieś.

– Szkoda. Naprawdę szkoda.

Taylor przyniósł butelkę, nalał whisky do kubków i usiadł. Spojrzał z zadumą na gościa.

– Marnujesz swój talent, ot co. Mógłbyś przysłużyć się Anglii, zwłaszcza teraz.

– Tak jak ty?

– Mhm.

– Chyba ci to odpowiada... Cokolwiek robisz.

– Mhm.

– Twoja znajomość literatury klasycznej musi być niezwykle użyteczna w walce z Niemcami. Co ich najbardziej przeraża, Andrew? Chaucer? A może Szekspir?

– Strasznie jesteś ciekawy. – Taylor się uśmiechnął.

– Jestem. Nie bardzo rozumiem, do czego podstarzały profesor może być potrzebny Jego Wysokości w czasie wojny.

– Bardzo cię to nurtuje?

– Średnio.

– Ale wystarczająco, żebyś chciał dowiedzieć się więcej?

– Inaczej bym nie pytał.

– Wiesz, staruszk... Naprawdę chętnie opowiedziałbym ci o wszystkim, co robię, ale obawiam się, że to niemożliwe.

– Sam przyznałeś, że nie kazałeś mnie tu przywieźć na partyjkę szachów.

– Nie.

– No to po co?

Taylor przygryzł wargę, ważąc w myślach słowa.

– Pamiętam taki czas, kiedy nie byłeś orędownikiem wojny.

Winterbotham milczał.

– I otwarcie o tym mówiłeś. Bardzo otwarcie, jeśli mnie pamięć nie myli. Co to mówiłeś o Churchillu?

– Dobrze wiesz – odparł cierpko Winterbotham.

– Naturalnie: nazwałeś go podżegaczem wojennym. W naszych kręgach masz niewielu zwolenników, staruszk. Wiesz, co o tobie mówią?

– Mogę się domyślić.

– Dalej, zgaduj.

– Że wolałbym ugłaskać Hitlera.

– Zgadza się. Nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby zagarnął całą Europę, byleby nas zostawił w spokoju. Niech Rosja i Niemcy żrą się między sobą.

Winterbotham spuścił wzrok na szachownicę i przewróconego króla Taylora. Pociągnął solidny łyk z kubka. Spochmurniał.

– Wszyscy popełniamy błędy – mruknął.

- W rzeczy samej.
- Ja też się myliłem.
- Niewykluczone.
- Czy to znaczy, że nie zdradzisz mi, co robisz, ze względu na moje przekonania polityczne?

– To znaczy, że muszę bardzo uważać na wszystko, co ci mówię, staruszk. Właśnie ze względu na twoje przekonania polityczne. Prawdę mówiąc, sporo ryzykuję, spotykając się z tobą.

– Powinno mi to pochlebiać?

– Powinno.

– W takim razie pochlebia. Szczerze. A teraz słucham: co mogę dla ciebie zrobić?

– Stary, dobry Winterbotham. Ta niecierpliwość cię zgubi.

– Stary, dobry Taylor. Uwielbia gierki, które donikąd nie prowadzą.

– Żyjemy w nowych czasach, Harry. Toczymy nową wojnę. Gry to nasz chleb powszedni.

Winterbotham milczał, czekając na dalszy ciąg przemowy.

– Wykwalifikowani ludzie są nam potrzebni, żeby w tych grach zwyciężać.

– O jakich grach mówisz?

– Ach! – Taylor klasnął w dłonie. – Tu cię mam! Istotą gry jest sama gra właśnie. Jeśli coś ci o niej powiem, powiem ci wszystko. A tego zrobić nie mogę, staruszk, dopóki nie będę miał pewności, że jesteś po naszej stronie.

Winterbotham dopił whisky.

– Mój czas nie jest dziś pewnie wiele wart, ale to wszystko, co mam – odparł. – Wiesz, po której stronie stoję, Andrew. Przejdź do rzeczy.

– Nic nie rozumiesz, Harry. Jeżeli teraz powiem ci, o co chodzi, nie będziesz miał odwrotu; albo przyłączysz się do nas, albo nie. Jeśli nie... – Taylor zawahał się, wbijając wzrok w płomień.

– Jeśli nie?

– Jeżeli zdecyduję się wprowadzić cię w szczegóły, ale sprawa nie wypali, nie będziesz mógł... pozostać na wolności.

– Rozumiem.

– A ja nie chcę cię jej pozbawiać.

– Ależ naturalnie.

– Dlatego zanim powiem ci choć jedno słowo więcej, muszę mieć absolutną pewność, że jesteś właściwym człowiekiem. Że zrobisz to, czego będziemy od ciebie oczekiwać.

– Wydaje mi się, że nie mogę ci tego obiecać, dopóki nie dowiem się, co to takiego. Mam rację?

Taylor pokręcił głową.

– Nie.

– Nic lepszego nie potrafię ci zaproponować.

– W takim razie tracimy czas. Przepraszam, że cię tu ściągnąłem. Chociaż miło mi się z tobą grało.

Taylor wstał nagle i ruszył ku drzwiom. Zostawił drinka przy szachownicy.

– Każe Fredricksowi odwieźć cię z powrotem. Byłbym ci zobowiązany, gdybyś nie wspominał...

– To nieuczciwe, Andrew.

– Co?

– Nie możesz żądać ode mnie, żebym ci się podporządkował, jeżeli nie wiem, do czego się zgłaszam.

– Może nie. W każdym razie przepraszam cię za...

– Możesz mi chyba dać jakąś wskazówkę?

– Obawiam się, że nie.

Taylor otworzył drzwi, zawahał się i odwrócił do Winterbothama.

– Przemyśl to sobie, Harry. Pułkownik Fredricks da ci moją wizytówkę. Zadzwoń, gdybyś zmienił zdanie.

Winterbotham przez chwilę siedział nieruchomo, patrząc mu w oczy, a potem wstał i zapiął marynarkę. Bez słowa wyminął Taylora w progu i skierował się w stronę zaparkowanego na poboczu samochodu.

Taylor zamknął drzwi.

Z sąsiedniego pokoju wszedł mężczyzna, który przez drzwi przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Sam widzisz – powiedział. – On nie chce mieć z tym nic wspólnego. Woli przeczekać całą zawieruchę.

Taylor pokręcił głową.

– Szlag by to trafił! – mruknął.

Princeton, New Jersey Styczeń 1943

Richard Carter przystanął przed schodkami na ganek. Przechylił głowę i nasłuchiwał. Był wysoki i chudy, miał rzadkie, siwiejące włosy; nosił za duży, wytarty zimowy płaszcz. Kiedy tak stał z przekrzywioną głową, przypominał trochę stracha na wróble.

Z domu nie dobiegał żaden dźwięk: może Catherine zdrzemnęła się, a może wyszła do miasta po zakupy. Miał nadzieję, że jest w domu i po prostu śpi; chciał jak najszybciej przekazać jej nowinę.

Wbiegł po schodach i z rozmachem otworzył drzwi wejściowe. Miał nadzieję, że jeżeli niby niechcący narobi dość hałasu, nie będzie miała pretensji, że ją obudził.

– Cat! – zawołał. – Hej, Cat! Gdzie jesteś?

Szybko zrobił obchód salonu i maleńkiej jadalni, zerknął do kuchni i wyjrzał na podwórko. Kiedy wrócił do przedpokoju, schodziła właśnie po schodach, trąc zaspane oczy.

– Chodź, kotku, do pokoju – powiedział. – Mam wspaniałą nowinę.

Odczekał, aż zejdzie z najniższego stopnia, ujął ją pod łokieć i zaprowadził do salonu. We wpadających przez okno zimowych promieniach słońca tańczyły drobinki kurzu. W domu bardzo się kurzyło, a Catherine nie była najlepszą gospodynią.

Przysiadła ciężko na kanapie. Richard spojrzął na nią, usiłując zapanować nad emocjami; naprawdę powinien dać jej chwilę, żeby doszła do siebie. Dobrze wiedział, jaka potrafi być humorzasta, zanim się na dobre rozbudzi. Ale przecież właśnie wrócił ze spotkania z najgenialniejszymi ludźmi na świecie... Którzy mnie wybrali, pomyślał z dumą. Właśnie mnie! Kontakt z nimi tak go pobudził, że nie mógł się powstrzymać.

– Dostałem pracę, skarbie – wypalił. – Kapitalną pracę.

Catherine zamrugła sennie.

– Na rządowej posadzie – dodał, siadając obok niej. – To wielki zaszczyt, Cat. Niesamowity.

Ziewnęła w odpowiedzi.

– Ze wszystkich ludzi na wydziale wybrali...

– Richardzie...

– ...mnie. Właśnie mnie!

– Muszę się napić herbaty.

Przeszła do kuchni.

Richard siedział i patrzył, jak parzy herbatę. Na razie wszystko szło dobrze. Oczywiście nie powiedział jej jeszcze wszystkiego – tylko połowę prawdy.

Tę łatwiejszą połowę. Nie mówił, że muszą wyjechać z Princeton, ale z tym może poczekać, aż Cat zrobi sobie herbatę. Po kofeinie nastrój zawsze wyraźnie się jej poprawiał.

Po kilku minutach wróciła do salonu z filiżanką w ręce i usiadła koło niego na kanapie. Wyglądała bardziej przytomnie, jej zielone, poznaczone szarymi plamkami oczy miały czujny wyraz. W ich kącikach pojawiły się ostatnio delikatne kurze łapki, które – zdaniem Richarda – tylko dodawały jej uroku. Uroda Catherine była urodą prawdziwą, która z wiekiem mogła się tylko pogłębiać, a nie blaknąć.

Z kuchni przyniosła też paczkę papierosów. Zapaliła teraz jednego i wydmuchnęła wąską smużkę dymu. Spojrzała na Richarda.

– A więc nowa posada – powtórzyła.

– I to nie byle jaka – przytaknął z zapalem. – Kapitalna. Fantastyczna okaz...

– Ile będą ci płacić?

– Płacić?

Prawdę powiedziawszy, nawet do głowy mu nie przyszło, żeby zapytać o pieniądze. Ba, nie wiedział, czy w ogóle mu zapłacą! I nieszczęśliwie go to obchodziło: miał szansę pracować z najwybitniejszymi uczonymi świata, ramię w ramię, głowa przy głowie. Rany, sam byłby gotów im zapłacić, gdyby trzeba było.

W oczach Catherine, obserwującej go znad filiżanki, malowało się nieprzejednanie zmieszane z ironią.

– Nie wiem dokładnie – odparł ostrożnie. – Ale to na pewno będą spore pieniądze.

– To znaczy?

– Spore.

– To znaczy? – Zaciągnęła się papierosem i łyknęła herbaty.

– Dokładnie nie wiem, ale nie to jest najważniejsze, Catherine. Chodzi o to, że będę pracował u boku największych uczonych, najświatlejszych umysłów na świecie.

– Chyba w Princeton, nie na świecie.

– Ależ nie! Nie, nie, nie. Mają przyjechać z całych Stanów, z Chicago, z Berkeley, może nawet z...

– Przyjadą do Princeton? Zamrugnął zaskoczony.

– Nie do Princeton? Pokręcił głową.

– A dokąd?

– No... Do Albuquerque.

– Albuquerque?

– To w Nowym Meksyku.

– Przeprowadzamy się do Nowego Meksyku?

– To zależy. Część chłopaków zabiera żony, ale niektórzy... – Richard zawiesił głos.

Zmarszczyła brwi i czoło przecięła jej pionowa zmarszczka.

Po blisko ośmiu latach małżeństwa Richard Carter wciąż nie wiedział, co ta zmarszczka znaczy. Kiedy pojawiała się na czole Catherine, jej następne słowa nieodmiennie go zdumiewały.

Gdy dziewięć lat wcześniej zjawiała się w Princeton, znacznie rzadziej marszczyła brwi, chociaż

już wtedy rzadko się uśmiechała. Była małowówna i sama zajmowała się domem, ale przynajmniej miała miły sposób bycia.

Z początku Carter prawie nie zwracał na nią uwagi; po pięciu tygodniach z roztargnieniem zaczął zdawać sobie sprawę z jej obecności, a po siedmiu niecierpliwie wyczekiwał ich krótkich spotkań – mijali się w przedpokoju, wymieniali zdawkowe uprzejmości, zdarzało im się razem zjeść obiad.

Nie minęły trzy miesiące, a był w niej bez reszty zakochany.

Nie od razu pogodził się z tą myślą: dziewczyna była od niego o połowę młodsza, ukochaną żonę stracił zaledwie przed czterema laty, a w pracy nad wydzieleniem izotopów uranu czynił wyraźne postępy i romans mógł mu tylko zaszkodzić.

Tylko że serce nie poddawało się logice: żadne racjonalne argumenty nie mogły zwieść go z raz obranego kursu.

W końcu postanowił jakoś sprawę rozwiązać: zebrał się na odwagę i oświadczył. Kiedy Catherine się zgodziła, był najszcześliwszym człowiekiem na świecie.

Wkrótce potem pojawiła się zmarszczka.

Pierwszy raz ją zauważył, kiedy zaproponował, żeby znaleźli inną gospozię. Catherine miała wkrótce zostać jego żoną i nie przyszło mu do głowy, że chciałyby dalej zajmować się prowadzeniem domu. Zmarszczyła brwi i na długie pięć minut pogrążyła się w rozmyślaniach, a potem oznajmiła, że nie ma pojęcia, co miałyby ze sobą zrobić, gdyby najęli kogoś do sprzątania i że wolałyby, żeby do tego nie doszło. Poddał się bez walki – nigdy nie umiał się z nią sprzeczać – a potem bez słowa, choć z narastającym zdumieniem obserwował, jak z miesiąca na miesiąc wykonuje coraz mniej prac domowych.

Kto mógł odgadnąć, jak pracuje jej umysł? Richard na pewno nie, ale wiedział, że zmarszczka oznacza kłopoty.

Pojawiła się między jej brwiami także w ubiegłym roku, gdy Catherine niespodziewanie oznajmiła mu, że chce pracować w stoczni federalnej w Kearny, w stanie New Jersey. Wyjaśniła, że beczynność wywołuje u niej poczucie winy; że ma dość leniuchowania w domu, gdy cały kraj angażuje się w wojnę. Chciała – wzorem innych kobiet – dorzucić swoje trzy grosze i zatrudnić się przy produkcji łożysk. I coś takiego mówiła kobieta, która nie potrafiła utrzymać w czystości skromnego uniwersyteckiego domku, chociaż codziennie miała na to dobre czternaście godzin.

Ale Richard nie oponował.

Przygoda z Kearny, co było do przewidzenia, trwała niespełna miesiąc. Cat nie spodziewała się, że przyjdzie jej pracować po pięćdziesiąt cztery godziny tygodniowo przy nitowaniu blach. Nie wiedziała też, że będzie musiała nosić spodnie.

Wreszcie się poruszyła. Na czubku jej papierosa urósł długi stożek popiołu, strząsnęła go do ceramicznej popielniczki i spytała:

– Ile to potrwa? Ta praca?

– Kilka miesięcy. Może dłużej.

– W Albuquerque.

– Tak.

– Kto jeszcze jedzie?

– Paru chłopaków z uniwersytetu. Ale z mojego wydziału tylko ja. Właśnie dlatego to taki niezwykły...

– Niezwykły zaszczyt, nie wątpię. Co miałabym tu robić, kiedy ty wyjedziesz, Richardzie?

Wzruszył ramionami.

– Co tylko zechcesz.

– A jeżeli pojedę z tobą?

– Nie będziesz miała wielkiego wyboru. Albuquerque leży pośrodku pustyni.

– Właściwie czego chce nasz rząd od jakiegoś starego matematyka?

– Wydaje mi się, skarbie, że nie... Zmarszczka zaczęła się rysować na czole Catherine.

– Takie techniczne sprawy – dodał szybko Richard. – W dodatku tajne.

– Ale ja jestem twoją żoną.

– Oczywiście, kotku, oczywiście, ale...

– Dobrze, mniejsza z tym. Na pewno masz rację. I tak bym nie zrozumiała. – Catherine zdusiła ledwie zaczętego papierosa. – Jadę z tobą – oznajmiła, obrzucając go baczny spojrzeniem.

– Byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, gdyby moja prześliczna małżonka zechciała ze mną pojechać do takiej zapadłej miejsciny.

Przyglądała mu się uważnie, aż zaczął się zastanawiać, czy może powiedział coś nie tak. Ostatnio coraz trudniej przychodziło mu przewidywanie jej reakcji; nie wpadłby na przykład na to, że zechce pojechać z nim do Los Alamos. W jakimś momencie w ciągu tych ośmiu lat stała mu się tak obca...

Wdrapała mu się na kolana i pocałowała go mocno w usta. Ostatnio rzadko zdarzało mu się dostać od niej takiego prawdziwego całusa. Odpowiedział jej pocałunkiem. Jezu, ależ była piękna!

Przymykając oczy, zerknął jeszcze na jej czoło: nie było na nim śladu zmarszczki.

Wybrali go, a jego śliczna, młoda żona była gotowa jechać z nim na kraniec świata. W tej chwili Richard Carter nie miał cienia wątpliwości, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Holland Park, Londyn

Od zagadkowego spotkania Winterbothama z Andrew Taylorem minęły trzy tygodnie. Przez cały ten czas Winterbotham nie przespał spokojnie ani jednej nocy, ale sam ten fakt nie był jeszcze niczym niezwykłym.

We wczesnych godzinach rannych rezygnował zwykle z dalszych prób zaśnięcia i szukał wytchnienia w domowej bibliotece. Zakładał swój ulubiony, sprany szlafrok i zatapiał się w lekturze jednego z zakurzonych tomów, paląc fajkę nabitą tytoniem o pomarańczowym aromacie. Czasem popijał zachomikowaną na ciężkie czasy podłgę whisky, ale to też nie pomagało mu zasnąć, ani nawet odzyskać dawnego spokoju ducha. Od początku wojny, kiedy to stracił kontakt z Ruth, nie zdarzyła mu się taka fala bezsenności. Nawet podczas najcięższych nalotów Luftwaffe sypiał lepiej niż teraz.

„Wszyscy popełniamy błędy.”

„W rzeczy samej.”

„Ja też się myliłem.”

„Nie wykluczone.”

Z całą pewnością się mylił. Teraz był tego pewien.

W pierwszych wojennych miesiącach nie chciał przyznać się do błędu, lecz twardo obstawał przy swoim: Niemcy nie są wrogiem Anglii. Wykiwano ich w Wersalu, do czego Anglicy też przyłożyli ręki, ale teraz najważniejszy był pokój. W końcu jednak nadszedł moment – czyżby pierwsze bombardowania? – kiedy nie mógł już dłużej się oszukiwać: zrozumiał, że hitlerowskie Niemcy istotnie są wrogiem, najgorszym przeciwnikiem, z jakim przyszło im się mierzyć na przestrzeni dziejów. I zamiast próbować ugłaskać Hitlera, powinni byli zrobić coś wręcz przeciwnego. Dawno temu.

Jednak wcale nie zmienił zdania o Churchill: facet był podżegaczem wojennym i już. Koniec, kropka. Tak się złożyło, że Hitler okazał się jeszcze gorszy i należało z nim walczyć jego metodami. W czasie pokoju Winterbotham na pewno nie poparłby Churchilla. Był przekonany, że człowiek, który dopiero podczas wojny czuje się w swoim żywiole, musi mieć źle w głowie.

Tylko że Anglia potrzebowała teraz Churchilla.

A co ze mną? – zapytał się w duchu. Czy mnie też potrzebuje?

Na pewno nie. Przede wszystkim zestarzał się; nie przypominał już dzikiego kota. Zresztą nawet dawny ryś miał naturę pacyfisty, a jego dzikość przejawiała się tylko w dyskusjach w akademickim gronie i ożywionych barowych dysputach. Teraz zaś Anglia potrzebowała wojowników, a do tego się nie nadawał.

„Marnujesz swój talent, ot co.”

Jaki talent? Do czego? Do dyskusji o literaturze? Istotnie, posiadał go, ale Taylor nie chciałby go słuchać. Winterbotham chętnie zacytowałby Oscara Wilde’a: „Prawda rzadko bywa pełna, a już z pewnością nigdy nie jest prosta”, Taylor zaś oczekiwałby krasomówstwa – czystej, poruszającej do głębi retoryki, która napelniłaby chłopców zapalem, sprawiła, że wróciliby do Dunkierki i zaczęli wyzwalać Europę. „Będziemy walczyć na plażach, na lotniskach, na polach i ulicach; nigdy się nie poddamy...”

Jaki inny talent posiadał? Co takiego wiedział o nim Taylor, żeby zaaranżować spotkanie?

Szachy?

To fakt: latami regularnie ogrywał Taylora. Ale szachy to tylko gra, a poza tym w Anglii nie brakuje lepszych szachistów niż on.

„Toczymy nową wojnę. Gry to nasz chleb powszedni.”

Co to miało znaczyć? Dobrze, ta wojna wyglądała inaczej niż dotychczasowe, ale dla Winterbothama cała różnica polegała na zastosowaniu techniki. Armia Hitlera przetoczyła się przez Francję jak walec drogowy dzięki czołgom; Japończycy, atakując z drugiej półkuli, zdruzgotali Pearl Harbor dzięki potędze lotnictwa. Nikt jednak nie prowadził gry, która choćby z grubsza przypominałaby szachy. Wszędzie rządziła brutalna siła.

Co jeszcze? Co takiego miał w sobie, co zwróciło uwagę Taylora?

Tytoń w fajce wypalił się do końca, nabił ją więc i ponownie zapalił. W bibliotece panowała cisza, absolutny bezruch zimowego poranka. Nawet dźwięk syren ostrzegających o nalocie nie mącił spokoju, ale Winterbotham nie mógł się skupić.

„Sporo ryzykuję, spotykając się z tobą.”

To zrozumiałe. Winterbotham stał się *persona non grata*, kiedy okazał obojętność; jego namowy do utrzymania pokoju zrobiły z niego wroga publicznego we własnym kraju. Dlaczego zatem Taylor narażał się na krytykę ze strony środowiska akademickiego? Dlaczego wybrał właśnie jego?

Nagle doznał olśnienia: chodziło o Ruth. Taylor miał nadzieję, że poczucie winy z powodu Ruth okaże się wystarczająco silne, by Winterbotham się zgodził.

Ta myśl go rozwścieczyła – po części dlatego, że była prawdziwa. Rzecz jasna, Ruth sama uparła się, żeby jechać do Polski, a on usiłował ją odwieść od tego zamiaru. Ale może nie dość się starał...

– Bzdura! – powiedział na głos.

Może tak, może nie. W każdym razie niewiele to wyjaśniało. W Anglii byli lepsi szachiści od niego, lepsi politycy... I nie brakowało ludzi, którzy stracili na wojnie ukochaną osobę, a teraz pałali żądzą zemsty.

Westchnął ciężko. Nie mógł zasnąć, a przecież taki się czuł zmęczony...

Był rok 1943, wojna szalała i nic nie zapowiadało jej rychłego zakończenia, bez względu na jego w niej udział. Sprawy miały się lepiej niż przed kilkoma miesiącami, ale wciąż trudno było przewidzieć, jak wszystko się skończy. W Rosji Wehrmacht zapuścił się za daleko, dał się zaskoczyć ciężkiej zimie i poniósł straty – nikt nie wiedział jak ciężkie, lecz zdaniem Winterbothama poważne, bardzo poważne dla małego austriackiego kaprala. Mniej więcej w tym samym czasie Rommel poniósł klęskę w Afryce, lecz te niemieckie porażki wciąż nie wystarczały, by myśleć o końcu wojny. W którymś momencie alianci będą musieli przebyć ocean i wylądować we Francji...

To nie ma nic wspólnego ze mną, uznał Winterbotham.

Siedział, palił fajkę za fajką i powtarzał sobie: to nie ma nic wspólnego ze mną, nic a nic.

Kiedy wzeszło słońce, odszukał wizytówkę Taylora i zadzwonił do niego.

Rozdział 2

Ham Common, Surrey Styczeń 1943

Kręta droga omijała łukiem kościół świętego Andrzeja, wijąc się wśród łagodnych wzgórz. Cały kraj obraz mienił się błyszczącymi igiełkami lodu; Winterbotham nie mógł od niego oderwać wzroku. Pozbawione liści szkielety drzew miały dla niego jakiś dziwny, smutny urok. Człowiek zapomina, jak piękna potrafi być natura, pomyślał. Zwłaszcza kiedy cały czas siedzi w mieście. Ponura i surowa, ale bez wątplenia piękna. I przetrwa ich wszystkich – wojnę, generałów, gry, bomby, szaleńców, żołnierzy... Wszystko.

Siedzący obok Taylor zauważył pełen podziwu wyraz twarzy Winterbothama.

– Ładnie tu, prawda? – zagadnął. Winterbotham skinął głową.

– Wojna wydaje się taka odległa.

– Rzeczywiście. Ale to pozory, staruszk. Prawdziwa wojna toczy się niedaleko stąd. Bardzo niedaleko.

– Prawdziwa wojna?

– Pewnie nie wszyscy by się z tym zgodzili; na przykład ci, którzy walczą na froncie. – Taylor obserwował go z błyskiem w oku. – Ale to prawda. Nasi chłopcy byliby bezradni, gdyby nie my i to, czym się tu zajmujemy. Uwierz mi na słowo.

Samochód jechał właśnie wzdłuż niskiego, kamiennego muru, zbliżając się do zwieńczonej girlandami drutu kolczastego bramy. Dwóch uzbrojonych w pistolety maszynowe strażników wyszło im na spotkanie.

– A czym właściwie się tu zajmujecie? – spytał Winterbotham.

– Zaraz się przekonasz, staruszk – odparł z uśmiechem Taylor. – Jeżeli się rozmyśliłeś, to masz ostatnią szansę, żeby się wycofać. Za tym murem nie będzie odwrotu.

Zajechali pod bramę. Winterbotham powstrzymał słowa cisnące mu się na usta.

– Dzień dobry – rzekł uprzejmie Taylor, podając dokumenty stojącemu obok wozu strażnikowi o kamiennej twarzy.

Latchmere House, ukryty za niskim murem i zwojami drutu kolczastego, otoczony pośpiesznie skleconymi i byle jak rozrzuconymi barakami, był bladezielonym architektonicznym potworkiem – dwupiętrowym budynkiem, przypadkowo zaplanowanym, przesiąkniętym wilgocią i przeżartym pleśnią. Wybudowano go po pierwszej wojnie światowej jako szpital dla obłąkanych, ale wojskowi woleli znaleźć jakiś zgrabny eufemizm. Dlatego też nazwano Latchmere „domem (o ileż ładniej to brzmi od „szpitala”) dla ofiar nerwicy wojennej” (też ładniej niż „dla pacjentów z zaburzeniami psychiki”). Sam gmach krzyczał jednak rozpaczliwie „To jest szpital dla wariatów!” i patrząc nań nie

miało się cienia wątpliwości co do jego pierwotnego przeznaczenia. Okna przypominały otwory strzelnicze – stanowczo zbyt wąskie, żeby człowiek się przez nie przecisnął – pokoje zaś były ciemne, zimne i niegościnne.

Taylor zaprowadził Winterbothama do klitki, której jedyne wyposażenie stanowiły mały stół i dwa rozchwierutane krzesła. Przez okno sączyło się do wnętrza szare światło dnia. Powietrze miało kwaskową, ziemną woń, jak w piwnicy, w której przechowuje się owoce.

– Siadaj, proszę – rzekł z wielkopańskim gestem Taylor. – A ja zdradzę ci największy sekret tej wojny.

Co za dramatyzm, pomyślał Winterbotham, ale usiadł ostrożnie i wyjął z kieszeni fajkę.

Na stole leżała mała walizeczka. Winterbotham obrzucił ją ciekawym spojrzeniem, nabijając fajkę. Była mała – za mała na składaną szachownicę – metalowa, błyszcząca i niczym szczególnym się nie wyróżniała. Z początku chciał o nią zapytać, doszedł jednak do wniosku, że w swoim czasie Taylor i tak wszystko mu wyjaśni. Przecież to on reżyserował to przedstawienie, więc należało mu je zostawić, razem z tymi teatralnymi gestami.

Taylor usiadł naprzeciwko niego i wyjął papierosa, ale odczekał z zapaleniem go do chwili, gdy Winterbotham pykał już z fajki. Odchylił się na oparcie krzesła, skrzyżował nogi w kostkach i powiedział:

– Będiesz miał sporo do przemyślenia, kiedy mnie wysłuchasz. Daj znać, gdybym mówił za szybko.

– Nic sienie bój.

– Pamiętasz, co ci powiedziałem, kiedy się ostatnio widzieliśmy? O grach?

– Tym się zajmujecie.

– Nie tylko my. Hitler też, do spółki ze swoim przyjacielem Canarisem. Winterbotham kiwnął potakująco głową. Admirał Wilhelm Canaris cieszył się złą sławą jako szef niemieckiego wywiadu, Abwehry.

– Spróbuj zgadnąć, Harry, ilu szpiegów przysłała Abwehra do Anglii od początku lat trzydziestych?

– Nie mam pojęcia.

– Na szczęście my mamy, dzięki Bogu. Około setki, przy czym nie liczę tu Angoli, którzy sprzedali się Niemcom, bo i takich paru by się znalazło.

Taylor przerwał, ciekaw, jakie wrażenie wywrą jego słowa na Winterbothamie, ale ten postanowił wziąć go na przeczekanie. Rozczarowany Taylor odchrząknął tylko i mówił dalej:

– Teraz będzie ciekawiej. Z tej ponad setki agentów złapaliśmy... No, jak ci się wydaje, ilu?

– Nie mam pojęcia.

– Wszystkich. – Taylor uśmiechnął się szeroko.

Tym razem Winterbotham nie zdołał zachować pozorów obojętności.

– Wszystkich? – powtórzył zaskoczony.

– Co do jednego.

– Skąd ta pewność?

– Nie od razu ją zyskaliśmy, ale z biegiem czasu... Uwierz mi, Harry, gdyby któryś nam się wymknął, dziś już na pewno byśmy o tym wiedzieli. Dlaczego? O tym za chwilę. Większość z nich udało się nam wyłapać na samym początku wojny. We wrześniu trzydziestego dziewiątego zgarnęliśmy wszystkich cudzoziemców z krajów, które rozpoczęły wojnę, i sprawdziliśmy każdego

z osobna, po kolei. Jeżeli któryś wzbudzał nasze wątpliwości, internowaliśmy go. Ci agenci Abwehry nie są wybitnymi twardzielami; w dodatku niewielu ma za sobą jakieś sensowne przeszkolenie. Szybko pękli. No, a potem... Jak sądzisz, co z nimi zrobiliśmy?

– Pewnie ich powiesiliście.

– Niektórych tak... Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że niektórzy będą dla nas bardziej użyteczni żywi, więc uruchomiliśmy program „Podwójny agent”.

– Podwójny agent?

– Tym właśnie się tu zajmujemy. – Taylor wykonał obszerny gest ręką, w której trzymał papierosa. – Oto siedziba dowództwa operacji „Podwójny agent”, największej kampanii dezinformacyjnej w dziejach ludzkości. Trzymamy tu dziesiątki agentów Abwehry, Harry, wszyscy pracują dla nas. Za pomocą tych nadajników – Taylor postukał w wieko leżącej na stole walizeczki – przekazują informacje do Hamburga. Tyle że to my decydujemy, co wysyłają. Rozumiesz teraz?

Winterbotham z namysłem pokiwał głową.

– Podsuwacie im bezużyteczne informacje.

– Niezupełnie... – Taylor zawiesił głos.

Winterbotham bezbłędnie odczytał wyraz jego twarzy: natura nie poskąpiła Taylorowi rozlicznych talentów, ale umiejętność ukrywania własnych myśli i uczuć nie była jednym z nich.

– Posłuchaj, Andrew – rzekł spokojnie. – Jeżeli mamy razem pracować, to chyba jasne, że musisz mieć do mnie całkowite zaufanie.

– Naturalnie. – Taylor zmarszczył brwi. Nie wyglądał na zadowolonego. – Nasze informacje nie są tak całkiem bezużyteczne. Tu właśnie sprawy się komplikują. Nie możemy dawać im samych bzdur, bo w Hamburgu zaraz by się zorientowali, że przekabaciliśmy ich szpiegów. Co to, to nie, Harry. Informacje muszą być prawdziwe... W każdym razie większość z nich. Jeżeli Canaris straci zaufanie do swoich agentów, sprawa się rypnie, jak to mówią. A nam chodzi o to, żeby, dopóki trwa wojna, zachować pozory.

Kiedy postanowimy wysłać desant na kontynent – nieważne, czy w tym roku, czy w następnym – „Podwójny agent” będzie naszym asem w rękawie. Dopilnujemy, żeby Hitler nie wiedział, gdzie nastąpi lądowanie.

– Czyli wysyłacie im prawdziwe informacje?

Nie uszło uwagi Winterbothama, że Taylor znów się zawahał.

– To niezwykle delikatna sprawa – odparł. – Ale tak: gros tego, co od nas dostają, to fakty. Chociaż nie chcemy przecież zanadto pomagać Canarisowi, bo mógłby jeszcze niechcący wygrać tę wojnę. To jak spacer po linie, Harry... Czasem ujawniamy coś istotnego; takie poświęcenie bywa niezbędne. Czasami koloryzujemy: jeżeli gdzieś na lotnisku zdarzy się wypadek, pozwalamy jednemu z agentów podpisać się pod udanym sabotażem. Zdarza się też, że budujemy makiety na użytek samolotów zwiadowczych. Na potrzeby „Podwójnego agenta” pracują całe rzesze ludzi. Najróżniejszych: arcymistrzowie szachowi, muzycy, miłośnicy krzyżówek, iluzjoniści, magicy wszelkiej maści... Kiedyś za pomocą luster rozmnożyliśmy czołg: z jednego zrobiło się trzydzieści. I Niemcy w to uwierzyli.

Winterbotham gwizdnął z podziwu.

Taylor pokiwał głową, zadowolony z efektu, jaki udało mu się wreszcie wywołać.

– Musisz jednak zrozumieć, w jak delikatnej sytuacji się znajdujemy. Te walizkowe nadajniki wysyłają w świat całą masę zmyślonych informacji, dokładnie przemieszanych z prawdziwymi.

Wystarczyłoby, żeby jakiś agent Abwehry – jeden jedyny, którego przeoczyliśmy – przesłał do Hamburga meldunek, w którym zaprzecza innym doniesieniom, a Canaris nabrałby podejrzeń. Gdyby choć jeden szpieg się nam wymknął, cała operacja byłaby skazana na fiasko.

– Śliska sprawa.

– Istotnie. Rozumiesz więc chyba, dlaczego wymagałem od ciebie pełnego zaangażowania. To najlepiej strzeżona tajemnica wojskowa na świecie; trochę zrozumiale dodam, że także najważniejsza.

– Tak, teraz rozumiem...

– I wybaczysz mi moje teatralne zachowania?

Winterbotham machnął niezobowiązująco ręką.

Taylor zmarszczył brwi i zaciągnął się głęboko papierosem. Zaskwierczała gwałtownie spalająca się bibułka. Wydmuchnął dym pod sufit.

– To, co dotąd powiedziałem, to oczywiście tylko początek. Cała operacja „Podwójny agent” jest wręcz niewiarygodnie skomplikowana. Zależy nam na tym, Harry, żeby nasze informacje wyglądały na prawdziwe. Staramy się trzymać naszych oswojonych szpiegów w Latchmere jak najkrócej – kiedy zyskamy pewność, że można im zaufać, wypuszczamy ich na wolność, żeby rzekomo zajęli się tym, czego Canaris od nich oczekuje. Każdy ma przydzielonego oficera łącznikowego, który za niego prowadzi działania wywiadowcze, a potem siadają i razem ustalają, co posłać w niezmienionej formie, co w ogóle zatrzymać, a co zafałszować.

– Co się dzieje, jeżeli któryś okazuje się niegodny zaufania?

– Wieszamy go – odparł Taylor i spojrzał Winterbothamowi w oczy.

– Hmm...

– Nie zamierzam oszczędzać ci takich szczegółów, Harry. To nie zabawa. Niektórzy się wyłamują, inni potrzebują dodatkowej zachęty, żeby przejść na naszą stronę. Z oczywistych powodów staramy się z nimi zaprzyjaźnić: chcemy, żeby byli zadowoleni z tego, że dla nas pracują. Szczerze mówiąc, czasem chyba przesadzamy z tym uszczęśliwianiem ich. Ale i tak nie zawsze się udaje.

Winterbotham milczał.

– Nie można powiedzieć, żebyśmy mieli czyste ręce – ciągnął Taylor. – Czasem trzeba kogoś poświęcić, jeżeli Canaris ma się nie dowiedzieć o „Podwójnym agencie”. Zdarza się nam udawać, że nie wiemy o planowanych akcjach Niemców, choć świetnie zdajemy sobie sprawę, co się święci; czasem trzeba podjąć trudną decyzję. Mamy na sumieniu ofiary, także cywilów. Cywilów, którzy mogliby żyć... Ale za cenę powodzenia całej operacji-

Winterbotham skinął krótko głową.

– To nic miłego – dodał Taylor.

– Nie.

– Ale tak trzeba.

– Chyba tak.

– Żadne „chyba”. Takie są fakty.

– Mhm.

Taylor przyglądał mu się w milczeniu, przygryzając dolną wargę. Kiwnął głową, jakby przytakiwał własnym myślom.

– Ktoś musi wziąć na siebie tę odpowiedzialność – powiedział cicho. – Nie jest to łatwe, Harry,

ale trzeba to zrobić.

Winterbotham odłożył fajkę na stół.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Trzy tygodnie temu, kiedy zaprosiłem cię do siebie, wpadła nam w ręce nowa zdobycz: czwórka agentów prosto z Hamburga. Dwóch z nich zrzucono na spadochronach, trzeci przyplął U-Bootem, przesiadł się na ponton i dowiosłował do brzegu, a czwarty wjechał do Anglii z fałszywym szwajcarskim paszportem. Wyłapaliśmy ich, oczywiście, bo zaraz po przybyciu nawiązali kontakt ze swoimi łącznikami. A łącznicy pracują dla nas.

– Ci czterej są teraz tutaj, w Latchmere?

– Trzej z nich tak.

– A czwarty?

– Czwartą nie chciała z nami współpracować – uciął krótko Taylor. Winterbotham wziął fajkę do ręki: zgasła, ale postanowił nie zapalać jej od razu.

– Z pozostałej trójki jeden szczególnie nas interesuje – mówił dalej Taylor. – Nazywa się Rudolf Schroeder, chociaż w papierach ma wpisane „Russell Webb”. Miał znaleźć pracę w jakimś pubie nieopodal Ministerstwa Wojny, a potem podsłuchiwać rozmowy, wyczuć atmosferę i szukać potencjalnego agenta. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Ma kogoś przekabacić.

– Właśnie. Goście przychodzą do knajpy po ciężkim dniu na piwo i gadają, co im ślina na język przyniesie. Może chlapną coś o tym, nad czym pracują; może poskarżą się na szefa... Jak tylko któryś za bardzo będzie biadolił, Schroeder wkroczy do akcji i złoży mu konkretną propozycję, bez owijania w bawełnę: forsa za określone usługi. Oraz, naturalnie, honorowa pozycja we wspianalej, tysiącletniej Rzeszy, gdy tylko wojna się skończy.

– Hmm...

– Na razie Abwehra uważa, że Schroeder radzi sobie nadzwyczaj dobrze: znalazł robotę i miejsce do spania, nikt niczego nie podejrzewa; posłał do domu parę pierwszych raportów. Nic nadzwyczajnego: informacje o pogodzie, parę słów o naszym morale, prośba o dodatkowy fundusz na wydatki. Niedługo jednak – w ciągu najbliższych tygodni – uda mu się dokonać rzeczy niebywałej: znajdzie idealnego kandydata na szpiega, nawiąże kontakt i odniesie spektakularny sukces.

– Rozumiem...

– Wszystko to będzie jedna wielka mistyfikacja, ale liczą się pozory.

– Zgadza się.

– Ażeby je stworzyć, musimy jak najbardziej zbliżyć się do prawdy.

– To oczywiste.

– I dlatego nasz wybór padł na ciebie.

Winterbotham zapalił fajkę i w zamyśleniu wydmuchnął kłęb dymu.

– Harris Winterbotham, profesor literatury klasycznej, który stracił żonę na wojnie. Znany odszczepieniec. Nie lubisz Churchilla, Harry; nie podoba ci się jego styl działania i wcale się z tym nie kryjesz. Jeżeli Canaris postanowi cię sprawdzić, łatwo dogrzebie się prawdy.

– Ale ja nie jestem pracownikiem ministerstwa.

– O, i tu się mylisz! Od pięciu miesięcy pracujesz w wydziale szyfrów wywiadu wojskowego. Sprawa ściśle tajna. Doskonale grasz w szachy, masz przenikliwy umysł... – W głosie Taylora zabrzmiała sarkastyczna nuta. – To sprawia, że jesteś dla nas cennym nabytkiem. Rzecz jasna zdajemy

sobie sprawę z... ze specyfiki twoich poglądów politycznych, tak że nie do wszystkich tajemnic masz dostęp; staramy się trochę cię izolować. Ale i tak wiesz sporo. Spodobasz się Canarisowi.

– Ach, tak...

– Dziś wieczorem Schroeder wspomni w raporcie, że znalazł ciekawego kandydata, ale na razie na tym poprzestanie. Chcemy, żeby Abwehra nabrała na ciebie apetytu, Harry. Nie będziemy się spieszyć. Za dwa tygodnie, a może za cztery czy sześć Schroeder poczuje się na tyle pewnie, żeby złożyć ci propozycję – a ty ją przyjmiesz. Nieco później...

– Nieco później zostanę niemieckim szpiegiem.

– Na początek możesz im powiedzieć to, co już wiesz. A wtedy, jeśli Bóg pozwoli, zdecydują się nawiązać z tobą bezpośredni kontakt, żeby ich spece od szyfrów mogli sami nad tobą popracować. Schroeder w roli pośrednika przestanie im być potrzebny.

Winterbotham wydmuchnął kółko z dymu, które uniosło się pod sufit.

– Jak ma wyglądać to spotkanie? – zapytał.

– Mamy nadzieję, że zorganizujesz spotkanie szpiegów. Może w jakimś neutralnym miejscu, na przykład w Portugalii, a może ściągną cię do siebie – do dowództwa Abwehry w Berlinie, albo do ośrodka szkoleniowego w Hamburgu. Chyba że Canaris uzna, że jesteś na tyle ważny, że trzeba cię pokazać tym na samej górze. Także Hitlerowi. Wtedy wyślą cię do *Wolfsschanze*, Wilczego Szańca.

– A wtedy...

– A wtedy przekażesz im dokładnie to, co każemy ci przekazać: trochę prawdy, trochę kłamstw i całe mnóstwo informacji, które mieszczą się gdzieś pośrodku. I przez cały czas będziesz miał oczy szeroko otwarte, Harry. Zobacysz od kuchni, jak działa Abwehra, przy odrobinie szczęścia dowiesz się, ile wiedzą albo ile się domyślają na temat operacji „Podwójny agent”; zorientujesz się trochę w ich planach i zamiarach, tych dawniejszych i tych na przyszłość; zapamiętasz wszystkie pytania, które ci zadadzą, i ton głosu, jakiego będą używać. A po powrocie wszystko nam opowiesz. Wszystko. – Taylor pochylił się do przodu i oparł łokcie na stole. – Nie muszę ci chyba mówić, że to bardzo delikatne zadanie. Jeżeli domyśla się, po co przyjechałeś, to cię zabiją. Ale nie koniec na tym: jeśli zmuszą cię do mówienia...

– „Podwójny agent” będzie zagrożony – dokończył Winterbotham.

– Właśnie.

– Tym niemniej jesteście gotowi podjąć takie ryzyko, tak?

– Ryzyko jest nieodłącznym elementem naszej gry. W zamian za okazję zajrzenia za kulisy wywiadu kraju, z którym toczymy wojnę... Tak, w tej sytuacji jesteśmy gotowi sporo zaryzykować, staruszk.

– Nie sporo, tylko wszystko.

– W rzeczy samej: wszystko.

– Hmm...

– Mogą się jeszcze pojawić problemy, gdyby na przykład Schroeder okazał się mniej chętny do współpracy, niż na to liczymy... Albo gdyby Canaris był bardziej podejrzliwy.

– To prawda.

– Ale jeśli się uda, staruszk... Jeżeli złapią się na taką przynętę... – Taylor znów zawiesił głos, unosząc brwi.

– Mam jakiś wybór? – zapytał Winterbotham.

– Ależ naturalnie. To niebezpieczne, Harry, co do tego nie pozostawiłem ci chyba wątpliwości.

Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji, jeśli się wycofasz. Poprosimy cię tylko, żebyś został z nami w Latchmere do końca wojny. Jako gość. Ale nikt złego słowa ci nie powie.

– Aha...

– Więc jak?

Winterbotham nie spieszył się z odpowiedzią. Puścił jeszcze dwa kółka z dymu – duże i małe – wydmuchując je w taki sposób, że mniejsze przeleciało przez środek większego. Przeniósł wzrok na Taylora.

Kiedy później Taylor wspominał to spotkanie, najlepiej pamiętał jego oczy: drobne, czujne, rozpalone jak węgielki – oczy młodego Winterbothama. Oczy rysia. Nieraz potem myślał, że to właśnie one powinny były dać mu do myślenia, że patrząc w nie należało się domyślić, iż Winterbotham ma własny pomysł na współpracę z MI-5.

Winterbotham uśmiechnął się ponuro.

– To gdzie mam się podpisać?

Los Alamos, Nowy Meksyk Kwiecień 1943

Catherine Danielson Carter nie wierzyła własnym oczom.

Jeszcze raz przebiegła wzrokiem list, spodziewając się znaleźć w nim wskazówkę, że jego treść jest myląca, a wszystko okaże się niewinnym żartem, pomyłką, nieporozumieniem. Ledwie doczytała do końca, natychmiast wróciła spojrzeniem do pierwszej linijki. Aż nadto wyraźnie zdawała sobie sprawę, że powinna czym prędzej zbierać się i uciekać z tego domu, zanim ktoś się zorientuje, że wyszła z przyjęcia i zacznie jej szukać. Ale list, który trzymała w rękach, brzmiał tak niesłychanie, tak niewiarygodnie, tak niemożliwie, że nie mogła się powstrzymać: czytała go wciąż od nowa, mimo że znała go już na pamięć.

Wreszcie – po piątym razie – zdołała oderwać wzrok od zapisanej kartki. Była tak roztrzęsiona, że musiała się oprzeć o biurko. Przeczuwała, że dzieje się coś ważnego. To oczywiste: nie ściąga się setki naukowców, inżynierów i żołnierzy na pustynię, jeżeli nie mają ważnego zadania do wykonania. Nie buduje się na tejże pustyni szpitala, laboratorium, dormitorium i całego miasteczka. Nigdy by jednak nie podejrzewała...

Zrobiło się jej niedobrze.

Nie mogła sobie pozwolić na mdłości, nie tutaj i nie teraz. Zaczęła świadomie kontrolować oddech, tak jak przed laty, na szkoleniu, uczył ją tego Hagen. „Naszym największym wrogiem jest panika”, mówił. „Wy pływa z naszego wnętrza. Możemy przez nią zginąć; właśnie dlatego jest taka groźna. Nie można dopuścić do tego, żeby nad nami zapanowała. To my panujemy nad nią.”

Skupiła się na swoim oddechu: płytkim, rytmicznym... Mdłości zaczęły z wolna ustępować, ale ich miejsce zajęła dziwna pustka. W co się wplątała? Ledwie zadała sobie to pytanie, panika powróciła wezbraną falą. Catherine zaczęła szybciej oddychać, serce waliło jej jak młotem. Zaraz zwymiotując, uświadomiła sobie; zarzygam biuro generała Lesliego Grovesa. I będzie po mnie. Odkryją, że tu byłam, i znajdą...

Nie.

Przezwyjęła strach.

Oddech: płytki, równy... Wdech. Wydech.

Już lepiej.

Po chwili spróbowała się poruszyć; schowała list do teczki, teczkę włożyła z powrotem do szuflady, szufladę zamknęła i przekręciła gałkę. Szczęknął zamek – standardowy, dwusegmentowy,

trochę lepszy niż zwykły, z jednym bębniem. Ale tylko trochę.

Wyprostowała się i rozejrzała dookoła, żeby sprawdzić, czy nie zostawiła śladów odwiedzin. Wnętrze biura rozjaśniał blask padający z korytarza przez prostokątną szybę w drzwiach – pokój wyglądał tak samo jak piętnaście minut wcześniej, kiedy spinką do włosów otworzyła zamek. Dla kogoś po takim szkoleniu, jakie przeszła, zabezpieczenia stosowane w Los Alamos wyglądały po prostu śmiesznie. Od dwóch miesięcy w każdy piątkowy wieczór wymykała się dyskretnie z przyjęć i myszkowała po obozie, swobodnie przeglądając całą dokumentację i korespondencję.

Podeszła do drzwi, nasłuchując. Wiedziała z doświadczenia, że dwóch strażników spaceruje korytarzem prowadzącym do biura Grovesa, ale ponieważ mieli pod opieką cały budynek, mogli zaglądać w okolice gabinetu tylko co jakieś dziesięć minut. Odczekała do chwili, gdy w korytarzu rozległy się kroki, które minęły biuro generała i ucichły w oddali. Wtedy cicho wysliznęła się z pokoju, zamknęła drzwi, sprawdziła, czy zamek dobrze trzyma i szybkim krokiem ruszyła w stronę tylnego wyjścia.

Na dworze owiała ją orzeźwiająca nocna bryza. Wróciła w pobliże stołówek. Sądząc po odgłosach – muzyce, rozmowach i wybuchach pijackiego śmiechu – impreza rozkręcała się w najlepsze. Wszystkie piątkowe przyjęcia wyglądały tak samo – jakby ludzie w Los Alamos musieli rozładowywać ogromne napięcie. Do tej pory zastanawiała się, dlaczego tak się dzieje – ale teraz wszystko stało się jasne.

Mój Boże, pomyślała. W co ja wdepnęłam?

Przed powrotem do stołówki obrzuciła się krytycznym spojrzeniem w lustrze: włosy miała w porządku, ubranie też – no, w każdym razie na tyle, na ile było to możliwe przy braku naprawdę dobrych materiałów. Tylko twarz mogła ją zdradzić. Każdy, kto na nią spojrzy, zorientuje się, że odkryła ich wielką tajemnicę. Po twarzy to zawsze widać.

Nie.

Ciało jest tylko instrumentem podległym jej woli.

Uśmiechnęła się – nawet całkiem przekonująco – i wbiegła po drewnianych schodkach, żeby znów zanurzyć się w rozbawionym tłumie.

Zbudziła się nagle w środku nocy. Krzyk uwiązał jej w gardle.

Usiadła gwałtownie na łóżku. Richard spał obok niej; jego pierś prawie niezauważalnie unosiła się i opadała w regularnym oddechu. Catherine siedziała nie patrząc na niego, roztrzęsiona, z ręką przyciśniętą do ust. Gdzieś niedaleko buczały generatory, a z pustyni dobiegało złowieszcze zawodzenie wiatru.

Po dłuższej chwili uspokoiła się, dreszcze ustały i mogła swobodnie odetchnąć. Przejechała ręką po czole; kiedy ją cofnęła, całą dłoń miała wilgotną.

Przyśnił jej się ten sam koszmar, który w różnych odmianach dręczył ją od dziesięciu lat – ale tak źle nie było już od dawna. Może nawet nigdy. Wszyscy zebrali się wokół niej, ludzie, których знаła z tego życia i z poprzedniego. Wytykali ją palcami i śmiali się z niej. Był wśród nich Hagen, wykrzykujący rozkazy w chrapliwym niemieckim; był Richard, jej mąż, z tym swoim błagalnym, żalonym spojrzeniem; i Fritz, nagi, tak jak widziała go ostatni raz, kiedy stał na balustradzie hotelowego balkonu w Hamburgu – wysoki, szczupły, piękny. A z tyłu, za ich plecami, stała szubienica. Lina kołysała się miarowo, poskrzypywała poruszana lodowatym wiatrem...

To tylko sen, zbeształa się w duchu.

Wstała i na palcach przeszła do łazienki. Łazienkę dzielili z innym małżeństwem, mieszkającym

w następnym segmencie dormitorium. Zerknęła przelotnie na ich drzwi, żeby się upewnić, że są zamknięte. W nocy nie było bieżącej wody, ale zawczasu napelniali stojące obok umywalki wiadro. Catherine ochlapała sobie twarz – woda była oczywiście lodowata – i wróciła do łóżka.

Ten list. Ten przeklęty list.

Czy naprawdę musiała go znaleźć?

Oznaczał oczywiście koniec Catherine Danielson Carter, co w pewnym sensie przyniosło jej ulgę. Mimo że od lat nie dopuszczała do intymnych kontaktów z Richardem, sam fakt bycia jego żoną wystarczająco ją męczył. Richard był stary i śmierdzał starością; chyba właśnie ten zapach najbardziej ją drażnił. Lecz było coś jeszcze: te oczy pokrzywdzonego zwierzątka i wrażenie wiecznej służalczości. Budził w niej poczucie winy, a zarazem najgłębszego obrzydzenia.

Ale i na tym nie koniec: jako młoda – w każdym razie względnie młoda – kobieta miała wciąż nadzieję, że w końcu się szczęśliwie zakocha. Związek z Richardem, nawet gdyby nie opierał się na kłamstwie, nigdy nie dałby jej prawdziwej satysfakcji. Tymczasem każdy dzień tego małżeństwa był dniem straconym, bo nie miała okazji poznać i pokochać innego mężczyzny.

To było najgorsze.

Czasem miała nadzieję, że może Fritz nadal o niej myśli. Minęło dziesięć lat, jedna trzecia jej życia, ale...

Położyła się i delikatnie oparła głowę na poduszce. Przestała się jednak łudzić, że tej nocy zdoła jeszcze zasnąć.

Koniec Catherine Danielson Carter, powtórzyła w myślach.

Czuła ulgę także i z innych powodów. Catherine Danielson Carter była strasznie nudną osobą i wiodła przeraźliwie nudny żywot. Tymczasem ona przed laty weszła w jej rolę właśnie dlatego, że była jej dokładnym przeciwieństwem: uwielbiała przygody, intrygi, ryzyko. Z rozkoszą porzuciłaby kostium szarej myszki...

Tylko że...

Tylko że miała doprawdy niewielkie szanse, by zdążyć zagrać jeszcze w życiu jakąś inną rolę.

No właśnie: wreszcie odważyła się o tym pomyśleć.

Koniec Catherine Danielson Carter oznaczał prawdopodobnie koniec Katariny Heinrich.

A ona nie chciała umierać. Kiedy jednak myślała o znalezionym liście i czekającym ją zadaniu, musiała przyznać, że czarno widzi swoją przyszłość.

Bo ten list był dla niej w pewnym sensie wyrokiem śmierci.

Noc ciągnęła się bez końca, a Katarina rozmyślała o nieuniknionym dalszym biegu wypadków.

Musiała przekazać informację o treści listu – a także dokumentację techniczną i schematy, które nagromadziła wędząc po całym Los Alamos. Korzystając z wyuczonych pod okiem Hagena technik pamięci fotograficznej, zapamiętała wszystko, co do joty. List był jednak najważniejszy, wskazywał prawdziwe znaczenie całej reszty. Całymi tygodniami wertowała schematy i plany konstrukcyjne, ucząc się ich na pamięć i nie wiedząc, co ma przed sobą. Za to list nie pozostawiał cienia wątpliwości.

Jak miała się dostać do Niemiec?

Nie miała ze sobą AFU, czyli przenośnego nadajnika radiowego; zresztą jego ograniczony zasięg i tak nie pozwoliłby na nawiązanie łączności z Hamburgiem. Nie miała również żadnej broni. Pozbyła się jej, wcielając się w rolę Catherine Danielson.

Nie mogła też liczyć na pomoc siatki wywiadowczej – większość niemieckich agentów

w Stanach została złapana, skazana w procesie w 1941 roku i bezzwłocznie stracona. Musiała więc przekazać meldunek do Niemiec osobiście, nie korzystając z niczyjej pomocy...

Może poza Fritzem.

Wróciła myślami do Fritza. Działał w Anglii; wiedziała, gdzie go szukać. Wkrótce po przybyciu do Nowego Jorku wydusiła jego adres od Hagen. Zdawała sobie sprawę, że Hagen postępuje wbrew własnym zasadom, podając jej tę informację, ale przecież zawsze miał do niej słabość. Przekazał jej adres Fritza z zastrzeżeniem, że może go wykorzystać tylko w sytuacji, gdy nie będzie innego sposobu na skontaktowanie się z przełożonymi.

Kiedy wróciła do szpiegowania – podjąwszy pracę w Kearny – przekazywała materiały Fritzowi, żeby on przesłał je dalej, do Berlina. Ufała mu. Dawno temu razem szkolili się w Hamburgu u Hagen. Byli też kochankami, ale teraz nie miało to wielkiego znaczenia. Liczyło się to, że byli agentami Hagen, a więc nie mieli nic wspólnego z tymi nieudacznikami z Abwehry.

Jeżeli dotrze do Fritza, nawiąże kontakt z Hamburgiem.

Mimo iż wiedziała, że znalezienie Fritza nie będzie łatwe, ta myśl dodała jej otuchy. Nadal miała minimalne szanse, ale przynajmniej nie była sama. Znajdzie Fritza i razem pociągną tę sprawę.

Ostatecznie doszła do wniosku, że znalezienie listu może się jeszcze okazać dla niej prawdziwym błogosławieństwem. Owszem, jego treść stanowiła dla niej śmiertelne zagrożenie, ale zarazem zmuszała ją do wykrzesania z siebie odwagi, by zerwać z nużącą rutyną, w jaką popadła, a przede wszystkim z nudnym, choć bezpiecznym życiem gospodyni domowej.

W życiu Catherine Danielson Carter nie brakowało ponurych dni, monotonych, pełnych wątpliwości i – przynajmniej dopóki nie wyznaczyła ostrej granicy – niepożądanego czułości.

Tak niespodziewanie i tak głęboko weszła w nową rolę, w kamuflaż, że nawet nie poinformowała przełożonych o swoich planach. Zdawała sobie sprawę, że Hagen nie miał pojęcia o szansie, jaka się przed nią otworzyła. A ona, jak na ironię, nie mogła ryzykować, że tę szansę straci, i nie mogła mu o niczym powiedzieć. Nie miała pewności, czy Amerykanie jej nie nakryli.

Może zresztą tylko tak to sobie zracjonalizowała. Bo z biegiem lat zaczęła się zastanawiać, kto by jej uwierzył, że nie puściły jej nerwy i nie postanowiła sobie wszystkiego odpuścić?

Z bezpiecznej odległości śledziła kolejne akty rozgrywającego się w Europie dramatu: zajęcie Nadrenii, aneksję Austrii, najazd na Polskę, wybuch wojny; potem Pearl Harbor i przystąpienie Stanów do wojny. Kiedy w 1941 roku nowojorscy agenci Abwehry zostali aresztowani i straceni, Katarina poczuła żal przemieszany z ulgą: garstka ludzi, wśród nich i ona, przetrwała.

Próbowała zebrać się na odwagę i wrócić do akcji. Podjęła pracę w Kearny. Jednakże plany, które tam znalazła, nie przedstawiały większej wartości, a ona nie była przeciętnikiem, kolekcjonerką ciekawostek. Nie zamierzała ryzykować perfekcyjnego kamuflażu dla pozbawionych znaczenia drobiazgów.

Teraz zaś znalazła coś, w czym warto było spróbować sił. List nie pozostawiał cienia wątpliwości.

Catherine Danielson Carter nie żyła, lecz dzięki jej śmierci Katarina Heinrich mogła odżyć na nowo.

Przynajmniej na kilka dni.

Pionowa zmarszczka przecięła jej czoło, gdy zaczęła rozmyślać o trasie, jaką powinna obrać. Musiała pokonać ogromną odległość, a przecież ledwie zniknie, zaczną jej szukać. Pociągiem do Nowego Jorku, potem statkiem do Anglii. A może do Lizbony... albo Madrytu... i dopiero stamtąd do

Anglii... do Fritza... Z ulgą zaczynała myśleć po staremu, rozwiązywać znajome problemy – czuła się, jakby wracała do domu.

Kiedy Richard Carter obudził się o wschodzie słońca, ucieszył się na widok leżącej obok niego i smacznie śpiącej żony.

Hendelstrasse, Berlin

Hagen się denerwował.

Wchodził po schodach budynku przy Tirpitz Ufer 72-76, ponurego, czteropiętrowego gmazyska z szaroburego granitu, stojącego nad brzegiem podobnie szaroburego Landwehrkanal. Cały czas powtarzał sobie, że nie ma powodów do obaw; Canaris nic na niego nie miał. Tymczasem on miał na niego niejednego haka – niby nic pewnego, ale gdyby doszło do wymiany ciosów, miałby amunicję pod ręką.

Ani przez chwilę nie wątpił, że Canaris jest zamieszany w nieporadny spisek przeciw *Führerowi*, który zawiązali podstarzali oficerowie, pamiętający jeszcze Republikę Weimarską. Hołdowali dawnemu sposobowi myślenia i byli wierni chrześcijańskiej tradycji, co stanowiło o ich słabości. Spisek był więc od początku skazany na niepowodzenie, choć na razie nikt z konspiratorów nie popełnił poważniejszego błędu. Dobrze się maskowali. A dopóki Canarisowi nie powinie się noga, nikt w Niemczech nie odważy się przeciw niemu wystąpić.

Hagen wiedział jednak, że w najbliższych miesiącach w całej Rzeszy zaczną odzywać się nieprzychylnie mu głosy. Sprawy na froncie nie układały się po myśli Niemców: Rosjanie napierali coraz mocniej, błyskawicznie spychając ich i odbijając zajęte miasta – a kiedy na wojnie działo się źle, ludzie zaczynali szukać winnych. Ktoś, kto wyróżniłby się z tłumu i ściągnął na siebie ich gniew, znalazłby się w tarapatkach. Canarisowi zostało niewiele czasu – a skoro Hagen o tym wiedział, to i sam admirał musiał zdawać sobie z tego sprawę.

Dlatego nie było powodów do obaw. Na ewentualne pytania Canarisa Hagen mógł odpowiedzieć tak, jak mu się żywnie podobało. Albo nie odpowiedzieć wcale. W tak delikatnym momencie, który mógł zadecydować o całej jego karierze, admirał nie odważył się go mocniej przycisnąć.

A jednak się denerwował. Canaris był szczwany jak lis, choć na pierwszy rzut oka nie sprawiał takiego wrażenia. I wiele potrafił. W czasie pierwszej wojny światowej wymknął się z obozu jenieckiego w Genui: zamordował obozowego kapelana, przebrał się w jego szaty i wyszedł na zewnątrz, nie niepokojony przez strażników. A mówiło się, że dwa lata wcześniej uciekł z więzienia w Argentynie. Część drogi przepłynął wtedy w łodzi wiosłowej, część przebył konno. Był zaradny i nie należało go lekceważyć.

Hagen, który też miał na sumieniu niejedno życie ludzkie, stanął u szczytu schodów. Jeszcze raz powtórzył sobie w duchu, że niepotrzebnie się martwi, a potem wszedł do mrocznego foyer i odebrał przepustkę od strażnika z budki po lewej stronie. Winda nie działała, musiał więc wspiąć się na samą górę pieszo; zasapał się, zanim dotarł na ostatnie, wysoko sklepione piętro. Przystanął więc na chwilę przed dwuskrzydłowymi drzwiami na końcu korytarza: przyspieszony oddech mógłby zostać odczytany jako oznaka słabości.

Zapanował nad sapaniem, wyprostował się, obciągnął ciemny garnitur i udał się na spotkanie z Canarisem.

Podobnie jak Hagen, Canaris również nie przepadał za mundurem i wojskowymi ozdobami, miał więc na sobie elegancki, ciemny garnitur. Obaj działali w sferze wykraczającej poza obszar zainteresowania tradycyjnych sił zbrojnych i żaden z nich – jak na szpiega przystało – nie lubił

niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi.

Na widok Hagen siedzący dotąd przy biurku Canaris wstał i ponad blatem wyciągnął rękę na powitanie. Admirał był drobnym, niskim, niepozornym człowieczkiem. Wyglądał na więcej niż swoje pięćdziesiąt sześć lat: posiwiał, zaczynał łysieć, ramiona miał wąskie, przygarbione, skórę twarzy ziemistą i obwisłą. Tylko oczy zdradzały drzemiące w nim pokłady energii: niebieskie, przenikliwe, przewiercały Hagen na wylot, gdy ten uściśnił dłoń Canarisa.

– *Herr Hagen* – rzekł admirał. Głos miał cichy i słaby, niemal kobiecy. – Dziękuję, że tak szybko się pan zjawiał.

Hagen chrząknął potakująco i usiadł z drugiej strony biurka. Canaris opadł na swój fotel. Gabinet był schludny i nieciekawym. Całą jedną ścianę zajmowała mapa świata, pod którą stała czarna skórzana kanapa. Podobno admirałowi zdarzało się ucinąć sobie na niej krótkie drzemki, gdy za długo zasiedział się w biurze. Naprzeciwko znajdowały się dwa oprawione w ramki obrazki: namalowany w japońskim stylu portret diabła oraz zdjęcie ulubionego psa Canarisa, jamnika imieniem Seppl. Na biurku stał symbol Abwehry: statuetka przedstawiająca trzy małpki. Pierwsza z nich zasłaniała sobie oczy, druga uszy, trzecia pyszczek.

Nie widzieć zła, nie słyszeć zła, nie mówić nic złego.

– Nie chciałbym marnować pańskiego czasu – zaczął Canaris. – *Führer* uważa, że biorąc pod uwagę kłopoty w Rosji, należy liczyć się z możliwością rychłego desantu aliantów na kontynencie. Jeżeli mamy go skutecznie przewidzieć, powinniśmy chyba zsynchronizować wysiłki naszych agentów za granicą. Wszystkich naszych agentów.

Admirał przerwał na chwilę, dając Hagenowi czas na przetrawienie tych słów. Choć trzy zdania z pozoru brzmiały niewinnie, Hagen natychmiast wychwycił z nich dwie bezcenne informacje. Po pierwsze, Canaris przyznał, że kampania rosyjska rzeczywiście nie układa się najlepiej. Mimo że od kilku miesięcy nie sposób było się oprzeć takiemu wrażeniu, nikt na tak wysokim szczeblu nie powiedział tego Hagenowi wprost. Machina propagandowa pod wodzą Goebbelsa bardzo się starała, żeby niepowodzenia na wschodzie wyglądały na przejściowe i mało istotne.

Druga istotna część wypowiedzi dotyczyła „synchronizacji działań wszystkich agentów” i była znacznie bardziej interesująca. Słowa Canarisa oznaczały ni mniej, ni więcej, że Hagen i jego organizacja – kiedyś znana jako Reichssicherheitshauptamt, RSHA, a obecnie jako SS – ma poza granicami Niemiec szpiegów, o których działaniach admirał nie ma zielonego pojęcia.

Co oczywiście było prawdą. Od początku lat trzydziestych rządzona przez Canarisa Abwehra i podlegająca Himmlerowi SS toczyły cichą wojnę podjazdową. Każda uważała się za najważniejszą agencję wywiadowczą Niemiec – zwłaszcza po krwawej czystce z czerwca 1934 roku, kiedy to SA praktycznie przestała istnieć – i grała w kotka i myszkę nie tylko z wrogami Rzeszy, ale i z rywalem na własnym podwórku. Z upływem czasu sytuacja między nimi jako tako się ułożyła, choć wzajemna niechęć nie wygasła, tym bardziej, że Himmler nigdy nie wyzbył się nadziei, że to właśnie SS stanie się jedynym organem bezpieczeństwa w państwie, główną siłą odpowiedzialną za „opiekę nad krajem, który wcielił w życie ideały narodowego socjalizmu”. Ostatnio coraz częściej zachowywał zdobyte informacje dla siebie, nie dzieląc się nimi z Canarisem. Nie miał jednak innego wyjścia – poza może zatrudnieniem armii własnych wiernych szpiegów w Abwehrze – jeżeli chciał udowodnić, że Canaris bierze udział w spisku i że należy mu odebrać władzę nad wywiadem wojskowym.

Hagen osunął się wygodnie na oparcie fotela. Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę.

– Panie admirale – zaczął grzecznie. – Nie wydaje mi się, bym wiedział o naszych zagranicznych

agentach coś, czego bym panu nie przekazał.

Canaris uśmiechnął się lekko i pokiwał głową. Z szuflady biurka wyjął teczkę i podał ją przez blat Hagenowi, który otworzył ją zaledwie na tyle, by zerknąć na nagłówek pierwszej strony.

– Jeżeli się nie mylę, osobiście szkolił pan tę kobietę – stwierdził admirał. – Dawno temu.

Hagen wypuścił okładkę teczeki pomiędzy palców i zmarszczył brwi. Agentka o numerze kodowym V.1353 była dla niego jak wyrzut sumienia, jedna z najlepszych uczennic – jeśli nie najlepsza – z którą wiązał ogromne nadzieje. Coś jednak nie wyszło. Do dziś nie wiedział co.

To były dawne, spokojne czasy początków partii nazistowskiej, kiedy gwiazda Hitlera zaczynała jaśnieć coraz bardziej, a przyszłość rysowała się obiecująco: następne pokolenia Niemców miały mieć wreszcie dość przestrzeni życiowej – w kraju czystym rasowo, w Rzeszy, która odzyska bezprawnie odebrane jej Austrię i Sudety, która nie tylko zrzuci kajdany nałożone jej w Wersalu, ale jeszcze się za Wersal zemści. Na fali optymizmu Himmler – który zresztą zdawał sobie sprawę, że SA i Abwehra w ówczesnym kształcie nie sprostają rosnącym wymaganiom państwa – zgodził się na wyszkolenie grupy agentów specjalnych. Ich zadaniem była infiltracja Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Polski, Czechosłowacji, Danii i Holandii. W ten sposób mieli symbolicznie wyznaczyć przyszłe granice Trzeciej Rzeszy. Himmler wybrał do tej roli młodych Niemców – najlepszych, jakich zdołał znaleźć. Mogli polegać tylko na sobie samych, musieli więc potrafić obchodzić się z każdą bronią, zapamiętywać informacje w mgnieniu oka, umieć wybrnąć z dowolnej sytuacji.

Ich przeszkolenie Himmler zlecił osobiście właśnie jemu, Hagenowi.

Agentka V.1353 wyróżniała się nawet w tej nieprzeciętnej przecież grupie. Była niezrównana pod każdym względem: nauczyła się zabijać dowolnym narzędziem, na zawołanie zmieniać tożsamość, błyskawicznie układać skomplikowane plany taktyczne. Improwizacja stanowiła jej największy atut; nie marnowała żadnej, nawet najbardziej niepozornej okazji. Miała wrodzoną łatwość nawiązywania kontaktów, a w dodatku była piękna i młoda – tak młoda, uznał Hagen, że automatycznie znajdowała się poza wszelkim podejrzeniem.

Ulokowali ją w Stanach Zjednoczonych pod jej własnym nazwiskiem, ale ze spreparowaną biografią: miała być córką niemieckich Żydów, która wyjechała z kraju nie chcąc mieć do czynienia z rosnącą w siłę, kierowaną przez Hitlera partią narodowo-socjalistyczną. Znalazła pracę w firmie specjalizującej się w budownictwie morskim i przez osiem miesięcy przesyłała porządne, chociaż nieszczególnie ważne raporty.

A potem nagle przepadła jak kamień w wodę.

Nietrudno było się domyślić, co się stało: przestraszyła się, poczuła silny związek z przybraną ojczyzną, może się zakochała. Przecież była tylko człowiekiem.

Hagen pozwalał sobie czasem snuć marzenia, że w jej przypadku pozory są mylące. Zawsze przecież istniała możliwość, że Katarinie trafiła się okazja, której nie umiała się oprzeć, a która zmusiła ją do całkowitego zakamuflowania się. W takiej sytuacji mogłaby nawet nie chcieć ryzykować kontaktu. I może pewnego dnia się pojawi...

Bardziej prawdopodobne jednak było, że zwyczajnie pękła.

Od czasu jej zniknięcia FBI rozpracowało siatkę szpiegowską Abwehry w Stanach. W 1941 roku Amerykanie zwinęli wszystkich ludzi Canarisa, urządzili im publiczny proces i powiesili ich. Nieliczni pozostali na wolności agenci RSHA otrzymali wyraźny komunikat i przy pierwszej okazji wymknęli się za ocean, do domu. Od tamtej pory Niemcom nie wiodło się w Ameryce. Mieli

wprawdzie swoich szpiegów w Meksyku, ale znaczna odległość od centrum wydarzeń ograniczała ich skuteczność. Canaris wysłał do Stanów jeszcze kilku swoich ludzi, lecz okazali się wystraszeni i nieporadni – jak zresztą wszyscy z Abwehry. Jedyne naprawdę cenny agent w Stanach, V.1353, nie dawał znaku życia.

– Pamięta pan? – spytał Canaris. – Szkolił ją pan?

– Naturalnie, że ją pamiętam. – Hagen skinął głową. – Była moją najlepszą uczennicą.

– Z akt wynika, że w 1933 zniknęła bez śladu. I że od tego czasu się nie odezwała.

– Tak właśnie było.

– Rozumie pan, *Herr Hagen*, jak cenna byłaby dla nas w tej chwili, jeżeli istotnie jest tak znakomita, jak sugerują to jej akta. Od ponad dziesięciu lat mieszka w Stanach; na dobre wrosła w tamto społeczeństwo. Gdyby udało się ją odnaleźć, można by jej zadać wiele pytań.

– Rozumiem, admirale.

– Coś panu powiem, *Herr Hagen*. Szczerze. – Canaris pochylił się nad biurkiem. Jego spojrzenie, i tak ostre, teraz stało się wprost nie do zniesienia. – Zdaję sobie sprawę z różnic, jakie dzielą nasze agencje. Nie zamierzam wysuwać przeciw wam żadnych zarzutów, ale nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że gestapo ukrywa przede mną niektóre informacje. Mniejsza z tym. W tej chwili chodzi mi tylko o to, by dotrzeć do tej kobiety. Słyszałem, że łączyły z nią pana bliskie więzi zawodowe. Dlatego też pytam... Proszę zauważyć, że nie domagam się wyjaśnień, dlaczego do tej pory mnie o tym nie poinformowano. Pytam więc: czy przez ostatnie dziesięć lat nawiązała z panem kontakt?

– Nie, panie admirale. Nie odezwała się.

Hagen przestał się denerwować. Był poirytowany. Pomylił się w ocenie Katariny Heinrich. Od tego czasu minęło dziesięć lat, a Canaris teraz mu to wypomnił. Jego słowa zawierały liczne niewypowiedziane otwarcie obelgi, chociaż był ujmująco grzeczny. Ale poza irytacją Hagen czuł pogardę dla tego człowieka. Admirał zachowywał się tak, jakby osobiście zależało mu na przeniknięciu tajemnic Amerykanów, zanim dojdzie do alianckiej inwazji w Europie. Tymczasem w rzeczywistości opowiedział się przeciw Hitlerowi; był zdrajcą, co Hagen zamierzał pewnego pięknego dnia udowodnić. Nie ulegało wątpliwości, że pyta o Katarinę wyłącznie na osobiste polecenie *Führera*.

– Jak pan sądzi, czy mogła przez ten czas nawiązać kontakt z kimś innym z waszych ludzi, tak żeby pan o tym nie wiedział?

– Nie, panie admirale. Nie wydaje mi się to prawdopodobne.

– Czy wie pan o innych naszych agentach w Stanach Zjednoczonych, *Herr Hagen*? Takich, o których nie zostałem poinformowany?

– Nie, panie admirale.

Canaris zacisnął usta w wąską kreskę. Zabrał teczkę z biurka i schował ją do szuflady.

– Jeżeli znajdzie się pan w posiadaniu jakichkolwiek informacji w tej sprawie, proszę mi je natychmiast przekazać, *Herr Hagen*.

– Naturalnie, panie admirale.

– Gdyby zaś zdarzyło się panu przypomnieć sobie próbę kontaktu, o której w tej chwili – z niewyjaśnionej przyczyny – pan zapomniał...

– Żadna taka próba nie miała miejsca, admirale. Szczerze tego żałuję.

– Rozumiem.

Canaris sprawiał wrażenie rozczarowanego, ale Hagen przypuszczał, że admirał tylko gra swoją

rolę, w istocie zaś jest zadowolony. Oto jeszcze jedno niepowodzenie *Führera*; jeszcze jedna szansa, że alianci dobiorą się Hitlerowi do skóry, a on i jego tchórzliwi współnicy nie będą musieli nadstawiać karku.

Tym razem z trudem zapanował nad sobą, by pogarda nie odbiła się na jego twarzy.

– Czy to wszystko, panie admirale? – zapytał.

– Tak, to wszystko.

Hagen wstał, strzelił przepisowo obcasami i podniósł wyprostowaną prawą rękę.

– *Heil* Hitler!

– *Heil* Hitler – odpowiedział bez zbytniego zapału Canaris.

Hagen zrobił w tył zwrot i ruszył ku drzwiom. W progu obejrzał się jeszcze przez ramię: pochylony nad biurkiem admirał zapisywał coś w notesie.

Ty zdrajco, pomyślał ponuro Hagen.

Wiele by dał za to, żeby agentka V.1353 odezwała się z Ameryki – tylko po to, żeby mógł nie przekazać jej informacji Canarisowi. Wiele by dał, żeby V. 1353 nagle i niespodziewanie ujawniła się, dostarczyła bezcennych informacji i udowodniła, że on, Hagen, nie mylił się w ocenie ludzi... I że naprawdę jest najlepsza z najlepszych.

Dawno już jednak wyzbył się wszelkiej nadziei.

Odwrócił się i wyszedł z gabinetu Canarisa.

Rozdział 3

Ham Common, Surrey Kwiecień 1943

Rudolf Schroeder – alias Russell Webb – był uroczym psychopata. Siedział w swobodnej pozycji na jednym z rozklekotanych krzeseł w szarym, przesiąkniętym wilgocią pokoju. Odkąd cztery miesiące temu wpadł w ręce Anglików, praktycznie nie wychodził na świeże powietrze – jeśli nie liczyć krótkich spacerów z baraku do pokoju przesłuchań, i z powrotem – a mimo to jego skóra miała naturalny, ogorzały wygląd, świadczący o dobrym zdrowiu. Był całkiem przystojny, miał pociągłą, zwężającą się ku dołowi twarz i ostry, haczykowany nos. Blond włosy opadały mu na czoło krętymi lokami, niebieskie oczy błyszczały. Chętnie się uśmiechał; na pierwszy rzut oka nikt by się nie domyślił, że ma do czynienia z psychopata. Rudolf Schroeder wyglądał po prostu uroczo.

Winterbotham siedział po drugiej stronie stołu, Taylor zaś stał przy wąskim oknie, przytrzymując wysuniętą przez nie na zewnątrz antenę. Było wpół do pierwszej w nocy i przygotowywali się do wysłania meldunku do centrum operacyjnego Abwehry w Hamburgu.

Patrząc na Winterbothama, Schroeder bez przerwy się uśmiechał, co doprowadzało profesora do szału. I, jak sądził, o to właśnie Schroederowi chodziło. Winterbotham starał się zapanować nad nerwowym drżeniem rąk – i prawie mu się udawało.

Na stole leżał nadajnik, AFU, który agenci Abwehry wykorzystywali do komunikacji z centralą. Obok znajdowały się niewielkie pakunki – to Taylor przyniósł Schroederowi kilka drobiazgów. Podobne prezenty przynosił mu zresztą za każdym razem, gdy się spotykali. Winterbotham nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zachowują się jakby Niemiec był kobietą, o której względy zabiegają. W paczuszkach znajdowały się czekoladki, karton papierosów, dwa tanie czytadła, kilka pudełek zapalek i butelka przyzwoitej szkockiej.

Schroeder wsunął czekoladkę do ust, nie przestając się uśmiechać.

– Wyśmienita – stwierdził po angielsku z silnym niemieckim akcentem. – Andrew, przechodzisz sam siebie.

– Zasługujesz na wszystko, co najlepsze.

– Następnym razem chciałbym dostać roślinę – ciągnął Schroeder, żując. Nie odrywał wzroku od Winterbothama. – Ładną, odporną roślinkę, która zdoła przetrwać u mnie w celi. Czuję potrzebę kontaktu z żywymi istotami. Dałoby się to załatwić, Andrew? Roślinę w doniczce?

– Może uda mi się coś załatwić.

– Trzykrotnie – dodał Schroeder. – Jak wy ją nazywacie? „Żyd wieczny tułacz”? – I uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Winterbotham miał ochotę pochylić się nad stołem i wyrzucić go pięścią prosto w wyszczerzone

zęby. Pohamował się jednak.

Już trzeci raz spotykał się ze Schroederem; z każdym kolejnym czuł do niego coraz mniej sympatii. Rudolf należał do najgorszej kategorii szpiegów – takich, którzy nie wiedzą, co to lojalność. Był niemieckim arystokratą, synem zamożnego właściciela sieci hoteli, który znaczną część życia spędził doglądając rodzinnego interesu. Abwehra zaproponowała mu współpracę zaledwie pół roku temu, kiedy w Rosji wszystko jeszcze szło gładko i Hitler myślał o inwazji na Anglię. Schroeder chętnie się zgodził, obiecał przeniknąć do kraju wroga i przekazywać stamtąd informacje, które utorują drogę siłom inwazyjnym. Najwyraźniej nikt – z nim samym włącznie – nie zdawał sobie sprawy, jak szybko zdradzi go twardy, niemiecki akcent.

Ledwie wpadł w ręce ludzi z MI-5, zgodził się z nimi współpracować, stawiając zaledwie symboliczny opór. Winterbotham był przekonany, że dla Schroedera nie ma najmniejszego znaczenia, po której stronie walczy; wojna była dla niego rozrywką w wygodnym, lecz nudnym życiu, tak że rola podwójnego agenta odpowiadała mu chyba jeszcze bardziej, niż zwyczajnego szpiega – więcej się działo. Więzienny strój – szare ogrodniczki i miękkie kapcie bez sznurówek – nosił z zadowoleniem i dumą, niczym kostium przydzielony mu przez teatralnego reżysera.

Winterbotham miał nadzieję, że Schroeder nie darzy go taką niechęcią, jaką on czuł do niego. W pewnym momencie miał przecież złożyć swój los w jego ręce; ba, na dobrą sprawę chwila ta już nadeszła. A nie mogli przecież wykluczyć, że Schroeder i jego przełożeni ustalili system komunikacji, o którym MI-5 nie miało pojęcia. Jedna litera wstawiona w zakodowany alfabetem Morse'a meldunek mogła ich ostrzec, że wszystko, co odbierają, to jeden wielki szwindel. Albo nie litera, lecz sekunda zwłoki, moment wahania przy nadawaniu, chwilowa utrata rytmu. Wystarczy, że Taylor i jego kumple przegapia jedną taką niewinną wskazówkę...

Schroeder nie przestawał się do niego uśmiechać.

Taylor umocował antenę, podszedł do stołu i włączył nadajnik. Pokręcił gałką, nastawiając odpowiednią częstotliwość. Schroeder miał sam wysłać meldunek; Taylor zamierzał tylko patrzeć mu na ręce, czy nie będzie próbował żadnych sztuczek. Nie mieli wyboru: Rudolf musiał nadawać osobiście: styl wysyłania wiadomości Morse'em jest równie charakterystyczny dla każdego człowieka, jak odciski palców. Niemcy natychmiast by się połapali, gdyby ktoś inny zastąpił go przy radiu.

Taylor przysunął sobie trzecie krzesło, usiadł i wyjął z aktówki tekturową teczkę, którą podał Schroederowi. Ten otworzył ją i przeczytał ze śmiertelnie znudzoną miną.

– Sporo się napracowałem – zauważył.

– Istotnie – przytaknął Taylor.

Winterbotham znał zawartość teczek: szczegóły odkryć, jakich Schroeder rzekomo dokonał przez ostatnie dwa tygodnie. Pracując w pubie niedaleko Ministerstwa Wojny, podsłuchiwał rozmowę dwóch oficerów o nowej metodzie utleniania anodowego, nad którą pracują naukowcy z marynarki. Zauważył też wzrost liczby żołnierzy w pociągach na trasie do Portsmouth. Najciekawsze jednak zostawił na koniec: odbył drugą już rozmowę ze starym, szacownym profesorem, który ostatnimi czasy coraz więcej czasu spędzał w pubie. Profesor był szczerze rozczarowany współpracą z wywiadem wojskowym, toteż Schroeder prosił o zatwierdzenie następnego etapu operacji: zamierzał złożyć mu propozycję współpracy z Niemcami.

– Przyznaję, że z zadowoleniem odnotowuję swoje sukcesy – rzekł Schroeder. – W Berlinie uchodzę pewnie za bohatera.

Taylor uśmiechnął się oschle w odpowiedzi i zapalił papierosa.

– Gdyby faktycznie tak było... – rozmarzył się Schroeder. – Wyobraźcie sobie, jak by mnie powitali po powrocie do domu. Te wszystkie kobiety!

Tu wdał się w długie rozważania na temat niemieckich kobiet, które jego zdaniem były najpiękniejsze na świecie. Płynnie przeszedł do opowieści o jednej z ostatnich nocy spędzonych w Hamburgu, w Valhalla Klub w dzielnicy czerwonych latarni. Valhalla służyła z systemu łączności telefonicznej między stolikami. Kiedy człowiekowi wpadła w oko młoda kobieta, podniósł słuchawkę i dzwonił do wybranki. W przypadku Schroedera rzecz jednak miała się inaczej: to kobiety dzwoniły do niego. Zawsze miał powodzenie. Kiedyś z trzema przyjaciółmi pojechał na weekend do Wenecji...

Winterbotham słuchał go jednym uchem, wyczekując stosownej chwili, by zaskoczyć Taylora. Do seansu łączności z Hamburgiem mieli jeszcze piętnaście minut, uznał więc, że nadszedł właściwy moment. Chrząknął.

– Andrew...

– Mhm? – odmrugnał z roztargnieniem Taylor.

– W życiu nie widzieliście dziewczyny z taką figurą – ciągnął Schroeder. – *Mein Gott*, ona była...

– Może powinien podać w raporcie moje nazwisko – zasugerował Winterbotham. – I poprosić o informacje o miejscu pobytu mojej żony. Gdyby okazało się, że żyje, mógłbym okazać się bardziej chętny do zdrady.

Schroeder zaniemówił i razem z Taylorem wybałuszył oczy na Winterbothama. Przez kilka sekund nikt w pokoju się nie poruszył, aż w końcu Niemiec włożył do ust następną czekoladkę i zaczął ją wolno przeżuwać.

– Harry... – rzekł Taylor. – Możemy wyjść na słówko?

Wyszli na korytarz o nagich, betonowych ścianach i oddalili się kawałek od drzwi pokoju, zanim Taylor się zatrzymał. Spiorunował Winterbothama wzrokiem.

– Co to miało znaczyć, do wszystkich diabłów?!

– Brzmi to bardzo sensownie – zauważył Winterbotham. – Co wieczór przychodzę do tej knajpy, wypijam kilka piw i opowiadam o żonie. Schroeder wpada na pomysł, że gdyby się czegoś o niej dowiedział, byłoby mu łatwiej mnie...

– Na miłość boską, Harry, co ty wyprawiasz?

– Staram się pomóc.

– Jeśli naprawdę chcesz nam pomóc, staruszkule, zrób mi przysługę – syknął Taylor. – Rozmawiaj o takich sprawach ze mną w Whitehallu, a nie w obecności niemieckiego agenta. W dodatku dziesięć minut przed nawiązaniem łączności!

– Ale ja właśnie teraz wpadłem na ten pomysł.

– Akurat!

– Musisz przyznać...

– Od początku o tym myślałeś, prawda? Nie mów mi, że nie, psiakrew!

Winterbotham nie odezwał się ani słowem.

– Od początku o tym myślałeś! – Taylor był tak wściekły, że nie zauważył, kiedy zaczął się powtarzać.

– Andrew...

– Coś ci powiem, Harry. Coś ci powiem tu i teraz. Strzeżemy tu największego sekretu całej tej wojny, najważniejszej, cholera, tajemnicy! I nie zamierzamy ryzykować jej odkrycia dla jednego

człowieka, choćby nie wiem jak bardzo tęsknił za żoną! A ty nie powinienes tego wyciągać. Ani mnie do tego mieszać. Nie, i już!

– Andrew...

– Teraz rozumiem... Rozumiem. Jak mogłem być tak ślepy?

– Mówisz tak, jakbym to wszystko zaplanował.

– Za chwilę pewnie zagrozs mi, że się wycofasz, jeśli się nie zgodzę. Winterbotham znów nie zareagował. Istotnie, takie właśnie ultimatum chciał postawić Taylorowi. Dlatego właśnie tak długo czekał: miesiące stracone na zaaranżowanie sytuacji, wyszkolenie go i przedstawienie ludziom w Hamburgu działały teraz na jego korzyść. Zdawał sobie sprawę, że mogą się go pozbyć i zacząć pracę nad inną bajeczką o rozczarowanym pracowniku wywiadu, ale straciliby mnóstwo czasu.

– Jezu Chryste! – mruknął z niesmakiem Taylor. – Cholera jasna!

– Pomyśl o tym chwilę, a sam zobaczysz, że to najlepsze rozwiązanie.

– Nad najlepszym rozwiązaniem sześciu czołowym strategów MI-5 łamało sobie głowę przez ostatnie trzy miesiące. A polega ono...

– Na tym, że za parę szylingów mam zdradzić swój kraj? Chyba nie. Jeżeli Niemcy w ogóle się mną zainteresują, dowiedzą się, że nie jestem szczególnie łasy na pieniądze; i wyczują pismo nosem. A ponieważ to ja mam nadstawiać karku, chciałbym mieć oparcie w historyjce, która trzyma się kupy. Gdyby Schroeder nadał im, że boję się o żonę, a oni znaleźliby ją gdzieś żywą i podesłali mu taką informację jako przynętę, łatwo bym się na nią złapał.

– Harry...

– Tak?

– Obaj wiemy, że Ruth nie żyje.

– Ja nic o tym nie wiem.

– Ale szansa...

– Jeżeli okaże się, że Ruth faktycznie nie żyje, Schroeder zaproponuje mi pieniądze. Ale najpierw powinien spróbować zdobyć mocniejszy argument. Sam przyznasz, Andrew, że brzmi to sensownie.

Taylor otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Pokręcił głową. Jeszcze kilka razy zbierał się, żeby coś powiedzieć – bez skutku. Jego pobladła twarz z wolna przybierała zwyczajny, czerwony odcień.

– Masz rację, do ciężkiej cholery: absolutną rację! Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałeś?

Winterbotham wzruszył ramionami.

– Mniejsza z tym – stwierdził Taylor. – Domyślam się dlaczego: bo teraz nie możemy się wycofać. Jesteśmy skazani na ciebie.

– Masz o mnie fatalną opinię, Andrew.

– Chryste Panie, Harry! W niezłe bagno mnie wpakowałeś.

– Nie miałem takiego zamiaru.

– Miałeś, miałeś, bezczelny łgarzu. Chodź, wracamy. Zostało mi dziesięć minut, żeby sprawę wyjaśnić, zanim Schroeder wejdzie na antenę.

Dziesięć minut później znów znaleźli się we trzech w wilgotnym pokoju. Schroeder i Taylor mieli na uszach słuchawki. Niemiec, który odsunął na bok na wpół opróżnione pudełko czekoladek i zapalił papierosa, wysłał właśnie do Hamburga swój identyfikator w alfabecie Morse'a. Czekali na potwierdzenie odbioru i zezwolenie na nadawanie.

Taylor w pośpiechu przepisał na nowo treść raportu Schroedera, uzyskawszy niechętną

akceptację od swoich przełożonych w ministerstwie: tym razem występowało w nim nazwisko Harrisa Winterbothama. Meldunek wspominał również o jego żonie Ruth, zaginionej w Warszawie w 1939 roku, i zawierał sugestię, że jeżeli Ruth Winterbotham żyje, mogłaby okazać się niezwykle skuteczną przynętą dla potencjalnego informatora. Schroeder prosił więc o wszelkie dostępne informacje na jej temat.

Przed wysłaniem przeczytał w milczeniu nową wiadomość, a potem uśmiechnął się porozumiewawczo do Winterbothama i skinął krótko głową. Winterbothamowi wcale się ten uśmiech nie podobał – wyglądał troszkę zanadto znajomo.

Taylor spacerował niespokojnie wokół stołu.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – mruknął. – Na Boga, naprawdę mam taką nadzieję.

Winterbotham siedział bez ruchu, palił fajkę, trzymał język za zębami i sprawiał wrażenie całkowicie spokojnego, opanowanego człowieka.

Los Alamos

– Jeszcze się nie ubrałaś – stwierdził Richard Carter.

Jego żona leżała na łóżku z ręką na czole. Przechyliła lekko głowę, spojrzała na niego i odparła:

– Złe się czuję, Richardzie.

Jego twarz natychmiast przybrała zatroskany wyraz. Podeszedł bliżej, ukucnął przy łóżku i przyłożył dłoń do jej skroni. Skóra Catherine była ciepła i sucha. Richard zmarszczył brwi, obrócił dłoń spodem do dołu i trzymał ją tak przez chwilę.

– Nie masz chyba gorączki – zauważył.

– Nic mi nie będzie. Idź sam i baw się dobrze. Muszę tylko trochę poleżeć.

– Może powinniśmy pójść do lekarza, żeby się upewnić...

– Nic mi nie jest. Pewnie wczoraj za dużo wypłam i tyle. Idź już. Będę czekała na twój powrót.

– Jeżeli chcesz, zostanę z tobą.

– Nie, nie, idź. Idź.

– Naprawdę nie miałbym nic przeciwko...

– Prześpię się, Richardzie. Idź już.

Skrzywił się, jakby wyrządziła mu krzywdę, i wstał tak gwałtownie, że marynarka na nim zafurkotała; była o dwa numery za duża i wyglądał w niej żałośnie. Stał chwilę obok łóżka w swojej śmiesznej marynarce, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Z trudem powstrzymała się, żeby nie krzyknąć na całe gardło: „Idź już! Odejdź wreszcie!”

– Naprawdę nic więcej mi nie trzeba. – Zmusiła się do uśmiechu. – Zdrzemnę się tylko.

– Jeśli tak...

– Idź, Richardzie.

Jeszcze chwilę wahał się, a potem skinął głową.

– Jeśli chcesz, zajrzę do szpitala i poproszę, żeby podzucili ci jakąś aspirynę.

– Wiesz, że nie cierpię, kiedy tak mnie naciskasz, Richardzie. Chcę spać.

Tym razem poczuł się urażony.

– Dobrze, skoro tego właśnie chcesz, niech ci będzie. Spij. Zobaczymy się, jak wrócę.

– Baw się dobrze.

– A ty zdrowiej.

W drzwiach odwrócił się i jeszcze raz na nią spojrzał. Odwróciła się do niego plecami.

Richard Carter wyszedł z pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi. Nigdy więcej nie zobaczył już

swojej żony.

Catherine dała mu dziesięć minut. Chętnie odczekałaby dłużej, ale nie miała chwili do stracenia: mogła liczyć najwyżej na kilka godzin spokoju. Kiedy tylko Richard wróci i nie zastanie jej w domu, zaczną ją ścigać. Zanim to nastąpi, powinna już przesiąść się do drugiego pociągu.

Przeleżała dziesięć minut bez ruchu, odliczając w myślach sekundy, a potem usiadła na łóżku, wstała i błyskawicznie się ubrała.

Była sobota. W Los Alamos pracowano wprawdzie w soboty normalnie, w ten weekend jednak w obozie panowało rozprężenie. Większość jego mieszkańców – wśród nich i Richard – wybierała się wieczorem na kolację do Albuquerque, do nowo otwartego dziesięciopiętrowego hotelu Hilton. Chodziły słuchy, że sam Conrad Hilton wynajmuje w nim apartament, a wraz z nim mieszka tam jego słynna z urody małżonka. Obywatele Los Alamos też chcieli się pogrzać w blasku prawdziwej sławy; nawet Oppenheimer – nie byle jaka przecież osobistość – z ożywieniem opowiadał o możliwości spotkania z piękną panią Gabor.

Catherine znalazła swoją torebkę i ostatni raz zrobiła w myślach szybki remanent, żeby upewnić się, że niczego nie zapomniała. Doszła ostatecznie do wniosku, że wprawdzie nic więcej z Los Alamos zabrać nie może, ale daleko jej do sytuacji, w której niczego by jej nie brakowało.

Znalazła się w trudnym położeniu, ale i tak była podniecona, a nawet szczęśliwa. Catherine Danielson Carter przestała istnieć, za to Katarina Heinrich zrodziła się na nowo.

Tom Bradley siedział sam w stołówce nad kanapką i filiżanką kawy. Tom, jeden z fizyków-teoretyków zatrudnionych w Los Alamos, skrycie i na zabój kochał się w Catherine; wystarczyło jej raz spojrzeć w te jego krótkowzroczne ślepie, żeby nie miała co do tego wątpliwości. Miał dopiero dwadzieścia cztery lata, był niepozorny jak szara myszka, nosił okulary o grubych szklach i w życiu nie odważyłby się jej poderwać. To jej akurat nie przeszkadzało: dzięki temu to ona mogła poderwać jego.

Spodziewała się, że nie pojedzie z innymi na kolację; nie był przesadnie towarzyski. Tom był jednym z nielicznych w Los Alamos szczęściarzy, którym pozwalano bez żadnych ograniczeń korzystać z prywatnego samochodu, wojskowego studebakera, czarnego z kolorowymi błotnikami. Często jeździł do Oak Ridge w Tennessee, gdzie prowadzono inne badania w ramach tego samego projektu (Catherine nie bardzo orientowała się w szczegółach). Pełnił funkcję łącznika między obydwojema ośrodkami.

Podeszła do jego stolika z rozbrajającym uśmiechem na ustach, odrzuciła włosy z czoła i przysiadła się do niego.

– Tom! A co ty tu robisz całkiem sam? Nie chciałeś zobaczyć nowego Hiltona?

Bradley zaczerwienił się po czubki uszu, niezdarnym gestem odłożył kanapkę na talerz i spróbował odwzajemnić uśmiech, przez co na jego twarzy pojawił się dziwny grymas.

– Miałem taki jeden pomysł – wymamrotał. – Chciałem go wypróbować w laboratorium.

Nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Odsunął się nawet trochę, jakby promieniowała zabójczym gorącym. Catherine wzruszyła się trochę i nabrała pewności siebie: skoro Tom tak na nią reagował, to może i Fritzowi się jeszcze spodoba. Minęło dziesięć lat, ale wciąż działała na mężczyzn. Żyjąc przy takim zasuszonym staruszką jak Richard, łatwo było zapomnieć, że robi się na mężczyznach wrażenie.

– Szkoda. Miałam nadzieję, że może mnie podrzucisz.

Skrawek wyschniętego listka sałaty przykleił mu się do wargi. Tom wytarł go odruchowo.

– Podrzucę cię?

– Do Santa Fe, na dworzec. Myślałam o tym, żeby pojechać do męża. Kiedy wychodził, źle się czułam, więc powiedziałam, żeby szedł sam, ale już jest mi lepiej. A strasznie chciałabym zobaczyć ten hotel. Z opowiadań wynikało, że jest cudowny!

Tom oblizał usta.

– Z przyjemnością cię podwiozę.

– Ależ nie, jeśli pracujesz, to nie ma sensu. Miałam po prostu nadzieja

– Z prawdziwą przyjemnością, Catherine. – Bradley poczerwieniał jeszcze bardziej.

– Naprawdę? To nie kłopot?

– Jeśli chcesz, zawiozę cię aż do Albuquerque. Mój pomysł nie jest taki znowu ważny. Może poczekać.

– No nie, nie żartuj. Wystarczy, że podrzucisz mnie do Santa Fe. Tam złapię jakiś pociąg.

– O tej porze trochę pewnie poczekaasz.

– Trudno, muszę zaryzykować. Naprawdę zależy mi na tym Hiltonie.

– Nie mógłbym cię zostawić na lodzie w Santa Fe, Catherine. Zawiozę cię do Albuquerque.

– To naprawdę przesada!

– Proszę cię, naprawdę chętnie to zrobię. – Większych rumieńców chyba nie mógł już mieć. – Jak się tak zastanowić, to muszę przyznać, że sam też z przyjemnością zobaczę ten hotel. Wolny wieczór dobrze mi robi.

– A co z twoim pomysłem?

– Poczeka. Pewnie nawet lepiej mi z nim pójdzie, jak dam mu się trochę odleżeć.

– Na pewno?

– Jasne. – Tom uśmiechnął się od ucha do ucha. – Jasne, że na pewno. Jesteś gotowa?

– Pewnie. – Catherine oparła mu dłoń na nodze i ścisnęła go lekko za kolano.

Słońce zachodziło, kiedy wyjeżdżali z Santa Fe. Tom prowadził wolno, ostrożnie, oburącz trzymając kierownicę i nie odrywając wzroku od drogi przed maską wozu. Biorąc pod uwagę kiepską nawierzchnię i mocno zużyte opony – dobra guma stała się ostatnio towarem luksusowym – jazda samochodem wymagała pełnej koncentracji. Na ciemniejącym niebie pojawiały się pierwsze gwiazdy, migocąc jak klejnoty rozrzucone niedbale na czarnym aksamicie.

Catherine siedziała w fotelu pasażera i, zacisnąwszy dłoń na ukrytych w torebce nożyczkach, przygotowywała się w duchu do popełnienia morderstwa. Nie zamierzała używać nożyczek jako narzędzia zbrodni; zabrała je po to, żeby w razie potrzeby móc obciąć włosy. Ale teraz...

Miała szczęście, że Tom uparł się, by zawieźć ją aż do Albuquerque: dzięki temu będzie miała samochód. I to nie było jakie – wojskowy. Jej szanse wyraźnie rosły.

Tom natomiast zdecydowanie ma pecha, pomyślała i zdziwiła się, że w ogóle przyszło jej to do głowy. Dawna Katarina Heinrich, wyszkolona osobiście przez Hagenę, nie pozwoliłaby sobie nawet na moment wahania. Szybko odcięła się od tych myśli.

Tom Bradley musiał umrzeć, ponieważ ona skrywała w swoim umyśle sekret, który mógł zadecydować o zwycięstwie w tej wojnie.

List, którego nauczyła się na pamięć, brzmiał następująco:

Albert Einstein

Old Grove Rcf.

Nassau Point

Peconic, Long Island

2 sierpnia 1939

F. D. Roosevelt

Prezydent Stanów Zjednoczonych

Biały Dom

Waszyngton

Szanowny Panie,

Ostatnie prace E. Fermiego i L. Szilarda, z których raport czytałem jeszcze w postaci rękopisu, przywiodły mnie do wniosku, że pierwiastek zwany uranem może w niedalekiej przyszłości zostać przekształcony w nowe, ważne źródło energii. Wynikające stąd pewne nowe aspekty sytuacji strategicznej wymagają wzmożonej czujności, a w razie potrzeby także natychmiastowego działania rządu. Uważam zatem za swój obowiązek zwrócić Panu uwagę na następujące fakty:

W ostatnich czterech miesiącach – dzięki pracom Jolioty we Francji oraz Fermiego i Szilarda w Stanach Zjednoczonych – znacznie wzrosły szanse na zainicjowanie jądrowej reakcji łańcuchowej w dużej masie uranu, co pozwoliłoby wytworzyć ogromną energię, jak również dużą ilość pierwiastków podobnych do radu. W tej chwili można stwierdzić, iż dokonanie tego jest kwestią najbliższej przyszłości.

W oparciu o to zjawisko można by również skonstruować nowy rodzaj bomby, prawdopodobnie – choć co do tego nie mamy pewności – o bardzo dużej sile rażenia. Jeden taki ładunek, przewieziony na pokładzie statku i zdetonowany w porcie, mógłby zniszczyć cały port wraz ze znaczną częścią otaczającego go obszaru. Niewykluczone jednak, że tego rodzaju bomby okażą się zbyt ciężkie, by nadawały się do transportu lotniczego.

Stany Zjednoczone dysponują niezbyt wielkimi zasobami rudy uranu, która to ruda jest w dodatku miernej jakości. Znacznie lepszą wydobywa się w Kanadzie i dawnej Czechosłowacji, najważniejszym zaś źródłem tego surowca jest Kongo Belgijskie.

Mając na względzie aktualną sytuację, może Pan uznać za stosowne, by rząd utrzymywał stały kontakt z grupą fizyków pracujących w Stanach Zjednoczonych nad problemem reakcji łańcuchowych. Jednym ze sposobów zapewnienia takiego kontaktu byłoby wyznaczenie zaufanego człowieka, który mógłby działać półoficjalnie, zajmując się między innymi:

a) kontaktem z ministerstwami, które należy na bieżąco informować o postępach prac i zaleceniach dotyczących działań rządu, ze szczególnym uwzględnieniem kwestii zaopatrzenia w rudę uranu;

b) przyspieszeniem prac doświadczalnych, które obecnie finansowane są z ograniczonych funduszy laboratoriów uniwersyteckich, poprzez znalezienie innych źródeł finansowania – w grę może wchodzić zbiórka pieniędzy wśród osób prywatnych, które gotowe byłybyłożyć na tego rodzaju prace badawcze – jak również poprzez organizację współpracy z laboratoriami przemysłowymi, które dysponują niezbędnym wyposażeniem.

Jak rozumiem, Niemcy wstrzymały sprzedaż rud uranu z kopalń na terenie zaanektowanej Czechosłowacji. To posunięcie staje się bardziej zrozumiałe, gdy uświadomimy sobie, że syn niemieckiego podsekretarza stanu, von Weizsackera, jest blisko związany z berlińskim Kaiser-Wilhelm-Institut, gdzie obecnie powtarza się niektóre amerykańskie eksperymenty z uranem.

Szczerze oddany

A. Einstein

(Albert Einstein)

Catherine nauczyła się także odpowiedzi, która była lakoniczna, konkretna i przerażająca. Brzmiała następująco:

19 października 1939

Drogi Panie Profesorze,

Przede wszystkim pragnę podziękować Panu za niezwykle interesujący list. Uznałem Pańskie informacje za wystarczająco istotne, by powołać specjalną radę, w skład której wszedł szef Biura Standardów oraz wybrani przedstawiciele wojsk lądowych i marynarki wojennej. Rada ma za zadanie zbadać dokładnie wszelkie możliwe implikacje Pańskiej sugestii dotyczącej wykorzystania uranu.

Z przyjemnością informuję pana, iż doktor Sachs będzie ściśle współpracował z radą. W moim mniemaniu jej działalność zapewni praktyczne i skuteczne podejście do zagadnienia.

Proszę przyjąć moje najszczerze wyrazy wdzięczności.

Z poważaniem (podpisano) Franklin D. Roosevelt

Ton listu przejmował ją największą grozą. „Proszę przyjąć moje najszczerze wyrazy wdzięczności”; grzecznie, konkretnie, spokojnie, a przecież chodziło o bomby, które mogłyby zniszczyć Niemcy skuteczniej, niż w jej najczarniejszych snach. Skoro jeden ładunek mógł unicestwić cały port (wraz z okolicą), to co się stanie, jeśli eksploduje dziesięć takich bomb? Albo sto? Albo tysiąc? Amerykanie pracowali nad bronią, która mogła na zawsze zetrzeć Niemcy i Niemców z powierzchni ziemi. Katarina nie miała wątpliwości, że gdy przyjdzie czas, nie zawahają się jej użyć.

„Proszę przyjąć moje najszczerze wyrazy wdzięczności.”

Nie można na to pozwolić.

– Spójrz w gwiazdy – powiedziała rozmarzonym głosem. Rękę nadal trzymała na schowanych w torebce nożyczkach. – Na pewno znasz się na gwiazdozbiorach, Tom, prawda?

Bradley uśmiechnął się, nie odwracając się do niej.

– Trochę tak – przyznał.

– Zatrzymaj się na chwilę, co? Na chwileczkę?

Tom posłusznie zjechał na pobocze. Catherine pospiesznie otworzyła drzwi po swojej stronie i wysiadła z torebką w ręce. Odeszła kilka kroków od samochodu i zadarła głowę.

– Catherine! – zawołał Bradley. – Nie chcesz chyba...

– Chodź, głuptasie! Pokaż mi te gwiazdozbiory!

Nie obejrzała się, ale po chwili usłyszała szcęk otwieranych, a potem trzask zamykanych drzwiczek. Silnik pracował cicho. Catherine wyczuła, że Tom podszedł i stanął za jej plecami. Zimna, niegościnna pustynia rozciągała się wokół nich.

– No pokaż. – Catherine przysunęła się do niego.

Jej bliskość go sparaliżowała. Zamamrotał coś, ale nie wykrztusił ani jednego zrozumiałego słowa. Odchrząknął i spróbował jeszcze raz:

– Tam jest Orion – wychrypiał i wyciągnął rękę.

Przysunęła się jeszcze trochę, żeby przyjrzeć się, którą część nieba wskazuje. Czują bijące od niego ciepło i przez chwilę zrobiło się jej go żal: biedny, zakochany bez pamięci chłopak nie miał pojęcia, w co się wpakował. Zdusiła jednak litość i wsunęła palce w uchwyty nożyczek.

- Piękny – powiedziała.
- A to jest Mały Wóz. Widzisz?
- Gdzie?
- Tam. Obok tej...

Wbiła mu nożyczki między czwarte i piąte żebro, prosto w serce.

Zesztywniał i jęknął cicho, chyba bardziej ze zdumienia niż z bólu. Catherine puściła nożyczki, objęła go w talii i złożyła delikatnie na ziemi. Tom postękiwał cicho.

I nadal żył. W jego oczach malowało się bezbrzeżne zdumienie.

Nie ma pojęcia, co się stało, doszła do wniosku Catherine. Nie wiedzieć czemu, ta myśl sprawiła jej przyjemność.

– Cśś – uspokoiła go.

Tom Bradley umierał prawie pięć minut. Wreszcie westchnął ciężko – z ulgą, jak wydawało się Catherine – i odszedł na dobre, choć oczy wciąż miał otwarte, a wargi lekko rozchylone.

Wyciągnęła nożyczki z rany. Wycierała je o jego spodnie, gdy nagle ogarnęła ją fala mdłości. Próbowwała nie zwracać na nią uwagi, lecz za chwilę i tak musiała obrócić się gwałtownie i zwymiotować żółcią na piasek.

Splunęła i wyprostowała się, niezadowolona. Dziesięć lat w skórze Catherine Danielson okropnie ją rozmiękczyło. Jeżeli naprawdę stała się tak słaba, Fritz z pewnością jej nie pokocha.

Otarła usta i wróciła do zwłok. Przeszukała ubranie Toma i wyjęła mu z kieszeni spodni portfel z czterdziestoma dolarami, które postanowiła zatrzymać. Potem ujęła trupa pod pachy, odciągnęła go kilkadziesiąt metrów w głąb pustyni i zepchnęła do płytkiego żlebu. Co najmniej do rana nikt nie powinien go znaleźć.

Zdyszana wróciła do samochodu. Nożyczki i pieniądze schowała do torebki. W ustach wciąż czuła posmak wymiocin; splunęła raz, potem drugi, ale nie mogła się go pozbyć.

Wskoczyła za kierownicę i drżącymi rękoma zapaliła papierosa.

Zaczną jej szukać najwcześniej o północy, a jeśli dopisze jej szczęście, to może dopiero nad ranem. Richard oczywiście natychmiast narobi krzyku, ale istniała szansa, że nie od razu przekona ich o powadze sytuacji. Dowiedzą się, że wieczorem wyjechała z Tomem Bradleyem do Albuquerque; może zaczną podejrzewać, że w grę wchodzi romans: Tom i Catherine byli młodzi, Richard nie. Wnioski nasuwały się same. Nie mogła jednak na to liczyć; biorąc pod uwagę charakter ośrodka w Los Alamos, powinna być przygotowana na najgorsze.

Miała do dyspozycji wojskowy samochód i trzy czwarte baku benzyny; jeśli będzie jechała całą noc, zrobi szmat drogi. Podróż pod osłoną nocy wyglądała kusząco; wskutek braku benzyny Biuro Kontroli Cen dawno już zakazało rekreacyjnych przejażdżek i choć wojskowy wóz oszczędziłby jej kłopotów, sam fakt, że podróżowała w pojedynkę, mógł wzbudzić podejrzenia. Musiałaby więc jechać nocą, za dnia zjeżdżać w krzaki i spać, pod wieczór ściągnąć z czyjegoś baku trochę paliwa – którego i tak nikt by jej nie sprzedał, więc nie miała wyjścia – i następnej nocy ruszać dalej. Gdzieś po drodze pozbyłaby się auta i zmieniła swój wygląd. Wolałaby unikać pociągów, ale nie mogła całkiem z nich zrezygnować. Musiała zdobyć jakieś pieniądze, zanim w Nowym Jorku wsiądzie na statek do Europy... Po kolei. Najpierw trzeba się wydostać z Nowego Meksyku i oddalić jak najbardziej od Toma Bradleya.

Zanim wypaliła papierosa, ręce przestały jej drżeć. Zdusiła niedopałek i wyjechała na drogę. W lusterku wstecznym mignęły jej własne wytrzeszczone z przerażenia oczy.

Zatrzymała wóz i poświęciła chwilę na uregulowanie oddechu, znów zerknęła w lusterko: tym razem jej oczy miały wesoły wyraz.

Ruszyła na północ, w Lamy skręciła na wschód. Przed nią rozciągał się wąski płaskowyż w Teksasie, a dalej Kansas, Iowa, Illinois... i na końcu tej drogi Nowy Jork. A dalej już czekała Anglia i Fritz.

Rozdział 4

Ministerstwo Wojny Maj 1943

Kiedy Winterbotham wszedł do gabinetu, Taylor rozmawiał przez telefon; machnął ręką, dając gościowi znak, by chwilę poczekał. Winterbotham posłusznie usiadł – nie na bordowej sofie pod ścianą, lecz w fotelu przy biurku. Miał wrażenie, że wnętrzności zmieniły mu się w kłębowisko węży; oczy go piekły. Ostatniej nocy spał jeszcze mniej niż zwykle, czyli wcale.

Gdy tylko Taylor odłoży słuchawkę, dowiem się, czy moja żona żyje, pomyślał.

Nie potrafił się zmusić do tego, by pojechać wieczorem do Ham Common i słuchać na żywo przeznaczonej dla Schroedera odpowiedzi z Hamburga. Nie byłby w stanie wysiedzieć spokojnie ani chwili w ponurym, zawilgoconym pokoiku w towarzystwie tych dwóch ludzi – wroga i dziwnego przyjaciela. Co by było, gdyby się rozplakał? Straciłby resztki wiarygodności. Wolał więc spacerować nerwowo po mieszkaniu; próbował czytać, ale skończyło się na tym, że tylko pił: wysączył całą whisky, do ostatniej kropli – bez skutku. Potem palił fajkę, aż dym zaczął drapać go w gardle. Aż wreszcie wstało słońce.

Cały poranek miał wrażenie, że porusza się w kłębach niezwyklej, surrealistycznej mgły. Dojechał autobusem na Trafalgar Square, skąd przespacerował się do Whitehall, rozkoszując się świeżym powietrzem. Po drodze zwrócił uwagę, że wśród ruin i zgliszcz zakwitają pierwsze kwiaty. Na ich widok stanął jak wryty. Od stu lat nie było w Londynie tylu kwiatów, teraz zaś ich masowy wysyp zawdzięczali – o ironio! – bombardowaniom: saletra z wypalonych skorup wzbogaciła glebę. Wszędzie kwitły fioletowe krokusy, a gdzieś tam także stulisz lekarski, którego – o ironio nad ironiami! – nie widziano w Anglii od czasu wielkiego pożaru Londynu w 1666 roku. Po pożodze Matka Natura kolejny raz udawadniała swoją niezwykłą odporność.

Przybył do ministerstwa kilka minut przed umówioną godziną i musiał zaczekać do jedenastej w towarzystwie zgorzkniałego sekretarza, który uparcie unikał jego wzroku. Ale wreszcie oczekiwana chwila nadeszła: Taylor skończy rozmawiać i wszystko się wyjaśni: wóz albo przewóz. Miał wrażenie, że jest o krok od kompletnego załamania nerwowego. Chryste, jaki czuł się zmęczony... Ileż on jeszcze będzie tak gadał? Mówił właśnie coś o sabotażu i zanosilo się na to, że nie skończy przez najbliższych parę minut.

W głębi duszy Winterbotham się z tego cieszył: dopóki Taylor rozmawiał, on mógł żywić cień nadziei; dopóki Taylor nic nie powiedział, Winterbotham nie miał pewności, że Ruth, jego ukochana Ruth, nie żyje...

Ironia losu nie zna granic: oto siedzi dziś tu, w tym gabinecie, skupiony na jednej, jedynej kwestii: czy Ruth żyje. Ta sama Ruth, która z początku wcale nie była w jego typie.

Przede wszystkim jej rodzina miała długie tradycje aktorsko-musica-lowe; już podczas pierwszego spotkania uwagę Winterbothama zwróciło cokolwiek wodewilowe zachowanie Ruth. Wpadł z wizytą do jej brata – niezłego drania, nawiasem mówiąc – którego znał jeszcze z czasów wojny. Przywitała go w drzwiach niewybrednymi, niegodnymi prawdziwej damy żarcikami z jego nienagannej postury, eleganckiego parasola i sztywniackiego sposobu bycia.

Potrafiła doprowadzić człowieka do szału, ale jakimś cudem właśnie te najbardziej drażniące cechy jej charakteru z czasem zaczęły go coraz bardziej pociągać, aż kompletnie dał się oczarować. Na przykład sposób, w jaki grała na fortepianie: przyspieszała i zwalniała rytm według własnego widzimisię, w środek utworów wklejała własne improwizowane wstawki... Kompletne wariactwo. I to jak bez cienia wstydu czytała najgorsze szmatławce – najchętniej „The People” – bynajmniej się z tym nie kryjąc.

Taylor odłożył słuchawkę.

– Jest w Dachau – powiedział.

Winterbothamowi zaszklily się oczy. Próbował otrzeć je wierzchem dłoni, Taylor zaś udawał, że niczego nie zauważył.

– Abwehra nie jest za bardzo skora do wymiany jej za twoje usługi, Harry, ale najwyraźniej nie wykluczają takiej możliwości. Kazali Schroederowi poinformować cię, że Ruth żyje i natychmiast zażądać w zamian jakichś informacji. Sprawdzą je i jeżeli wszystko będzie w porządku, zrobią następny krok: zorganizują *treffi* obejrzą cię na własne oczy.

Winterbotham bez słowa skinął głową, gmerając po kieszeniach w poszukiwaniu chusteczki.

– Trzymaj – powiedział Taylor, a kiedy Winterbotham podniósł wzrok, ujrzał w jego ręku niebieską chustkę. Przyjął ją i otarł łzy.

– Wszystko w porządku, staruszk?

Winterbotham ponownie pokiwał głową, oddał Taylorowi chusteczkę i wyprostował się na krześle.

– W jak najlepszym, dzięki.

– To dobra wiadomość, Harry, ale musisz sobie zdawać sprawę, że nic jeszcze nie znaczy. Szanse, że zgodzą się ją wymienić...

– Rozumiem.

– Mimo to cieszę się razem z tobą, Harry.

– To miło – przytaknął Winterbotham i nagle, nieoczekiwanie wybuchnął płaczem. Zakłopotany Taylor poruszył się niespokojnie na krześle. Nadal trzymał chusteczkę w pogotowiu, ale Winterbotham przestał się nią interesować; twarz miał mokrą od łez. Taylorowi pozostało tylko czekać, udał więc, że z zainteresowaniem przegląda piętrzącą się na biurku stertę notatek służbowych.

W końcu Winterbotham doszedł trochę do siebie: pociągnął nosem, wytarł go rękawem jak uczeń i uśmiechnął się.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj.

– Bo stracę opinię wrednego łobuza? Taylor roześmiał się szczerze.

– To była dobra wiadomość – powtórzył, poważniejąc. – Ale mam i złą.

– Słucham.

– Nie jest bezpośrednio związana z tobą i twoim zadaniem, ale może mieć jakiś wpływ na to, co

planujemy.

– Mów dalej.

– Wystąpiło coś w rodzaju sytuacji awaryjnej, której powinniśmy poświęcić wszystkie nasze wysiłki. Całkiem możliwe, że sprawa się wyklaruje, zanim za dwa tygodnie Schroeder wyśle następny meldunek, a wtedy w niczym nam nie przeszkodzi. Gdyby jednak tak się złożyło, że jeszcze nie rozwiążemy tamtej zagadki, utrzyma się jej najwyższy priorytet, a wtedy ty i twoja misja zejdziecie na dalszy plan.

– Mogę coś na to poradzić?

– Mam nadzieję – odparł Taylor. – Bo w tej sprawie każda pomoc będzie nieoceniona.

Taylor stał przy oknie i palił papierosa.

– Przed trzynastoma dniami naszym amerykańskim przyjaciołom zginęły pewne bardzo cenne materiały – zaczął. – Chcą, żebyśmy je dla nich odzyskali.

Winterbotham nabijał fajkę; szło mu to wolniej niż zwykle, bo przez zażawione oczy nie widział dobrze, co robi.

– Nawiasem mówiąc, Harry, nie muszę ci chyba przypominać, że to, co ci zaraz powiem, jest ściśle tajne?

– Chyba powinienem się przyzwyczaić.

– Doskonale. Znasz takie określenie jak „reakcja łańcuchowa”?

Winterbotham pokręcił przecząco głową.

– Ja też do niedawna go nie znałem i dalej nie mogę uczciwie powiedzieć, że bym je rozumiał. Ma coś wspólnego z cząsteczkami, pierwiastkami i takimi tam... Niektóre z tych pierwiastków potrafią wydzielać energię, kiedy zbierze się ich dostateczną ilość; każda drobinka pierwiastka może uwolnić ociupinkę energii. Zjawisko reakcji łańcuchowej polega na tym, że kiedy jedna cząstka wypuszcza swoją porcję energii, zmusza tym samym inne, znajdujące się w pobliżu cząstki, żeby zrobiły to samo. One z kolei wymuszają ten proces u swoich sąsiadów i tak dalej. Najważniejsze, że wszystko to dzieje się praktycznie w jednej chwili, tak że uzyskuje się wiele energii naraz. Tak w każdym razie mówi teoria.

– Na razie chyba nadażam...

– Kiedy mówię „wiele energii”, mam na myśli naprawdę ogromną jej ilość: wystarczyłoby, żeby zmieść Londyn z mapy, a w każdym razie zrobić solidną dziurę w East Endzie.

Winterbotham pyknął dwa razy z fajki, wypuszczając dwa nieforemne kółka – wciąż nie mógł się skoncentrować.

– Bomba – stwierdził.

– Właśnie: bomba. Niemcy nad nią pracują i my też. A właściwie nie my, tylko Amerykanie. Gdzieś tam na pustyni zebrali swoich najlepszych naukowców i zagonili ich do roboty. Z tego, co wiem, wynika, że na razie bijemy Niemców na głowę. Jak pewnie wiesz, Hitler ma własne, specyficzne poglądy na naukę: teorie Einsteina uważa za bzdurne i jest zdania, że „względność” to jakaś żydowska koncepcja, która ma tylko zamieszać prawdziwym Aryjczykom w głowach. Jego podejście nie pomaga im w pracach nad bombą... Chociaż początkowe trudności już pokonali i chyba znajdują się na dobrej drodze. Na szczęście nie zaszli nią jeszcze zbyt daleko.

– Dzięki Bogu.

– Dzięki Bogu. Ale pojawił się pewien problem, Harry.

– Jak zwykle, co?

– Hmm... Chyba tak. Tyle że ten jest poważniejszy niż zwykle. Jankesi zaniedbali kwestie bezpieczeństwa: młoda kobieta, żona jednego z naukowców, wymknęła się z tego laboratorium. Podejrzewają, że mogła mieć dostęp do ważnych danych technicznych związanych z projektowaną bronią. Oczywiście to, co ma, nie pozwoli jeszcze Niemcom skonstruować bomby; nawet amerykańska nie jest jeszcze gotowa. Gdyby jednak hitlerowcy weszli w posiadanie tych informacji, zrównaliby się w wyścigu z Amerykanami. Tego zaś, naturalnie, chcielibyśmy za wszelką cenę uniknąć.

– Kim ona jest?

Taylor odwrócił się od okna i spojrzał Winterbothamowi w oczy.

– To akurat wiemy. Nazywa się Catherine Danielson Carter; Carter po mężu: wyszła za profesora Richarda Cartera, jednego ze specjalistów zatrudnionych przy badaniach nad bombą. W 1933 roku zatrudniła się u niego, jeszcze w Princeton, jako gosposia. Jej matka, która zmarła w 1925 roku, znała go ze szkoły. Po dwóch latach wspólnego mieszkania Carter oświadczył się Catherine. Pobrali się. Problem polega na tym, że mamy powody przypuszczać, iż wcale nie była prawdziwą Catherine Danielson.

– Przykro mi, ale chyba nie nadażam...

– Pozwól, że ci to wyjaśnię. Zanim Catherine Danielson trafiła do Cartera, pracowała w nowojorskiej firmie Owen and Dunn. Tak się złożyło, że w tym samym czasie, kiedy Catherine wyjechała do Cartera, z firmy zniknęła jeszcze jedna pracownica, niejaka Katarina Heinrich, imigrantka z Niemiec. Do Nowego Jorku przyjechała w 1932 roku.

– Zniknęła?

– Jak kamfora. Nie miała rodziny w Stanach, więc nikt się tym nie zainteresował. Teraz jednak wiemy, że zniknęła nie ona, lecz Catherine Danielson: Katarina Heinrich zamordowała ją i zajęła jej miejsce. Carter nie miał szans się zorientować, bo ostami raz widział Catherine, kiedy była małym brzdącem.

Winterbotham zaciągnął się dymem z fajki. W głowie mu się kręciło. Nie wiedział tylko, czy powodem był tytoń, nowiny o Ruth, czy może opowieść Taylora.

– Zamordowała ją – powtórzył.

– Bez wątplenia. Dwa dni temu FBI porównało odciski palców Catherine Danielson pobrane w Los Alamos z odciskami Katariny Heinrich w aktach Owen and Dunn. Są identyczne; mamy więc absolutną pewność, że to jedna i ta sama osoba. Nie wiemy tylko, czy podszywając się pod Danielson, Heinrich chciała się wycofać, czy też szukała naprawdę głębokiego kamuflażu. Mniejsza z tym: odkrycie, którego dokonała w laboratorium, okazało się widać zbyt kuszące. Zabrała dokumenty i uciekła.

– FBI nie może jej znaleźć?

– Próbuje, ale jeżeli Katarina Heinrich jest tą osobą, o której myślimy, przeszła doskonałe szkolenie. A skoro jesteśmy przy jej szkoleniu, wyjaśnię ci teraz, dlaczego uważamy, że możemy pomóc Jankesom ją złapać.

– Dobrze, mów.

– Jednym ze szpiegów, z którego usług korzystamy w ramach „Podwójnego agenta”, jest niejaki Fritz Meissner. Przyjechał do Anglii w 1932 roku, na długo przed szpiegami Canarisa.

– W tym samym czasie Katarina Heinrich zjawiała się w Stanach.

– Właśnie. Oboje osiedlili się w nowych krajach pod swoimi nazwiskami; oboje wyemigrowali,

zanim Abwehra zabrała się do rozsyłania szpiegów po świecie. Meissner, który przez ostatnie dziesięć lat lojalnie z nami współpracuje, twierdzi, że był jedynym takim szpiegiem; pracował bezpośrednio dla Himmlera, a wyszkolił go człowiek nazwiskiem Hagen. Prawdziwy potwór z tego Hagen: były członek SA, hołubiony bandzior; tacy świetnie radzą sobie w hitlerowskich Niemczech. W tej chwili jest prawą ręką Himmlera w gestapo. Ale wracajmy do rzeczy: do tej pory wierzyliśmy Meissnerowi bez zastrzeżeń, że faktycznie nie było więcej takich jak on. Jednakże teraz, po tym, co stało się za oceanem, dochodzimy do wniosku, że chyba troszkę nas oszukiwał. Niewykluczone, że na zlecenie Himmlera Hagen pracował z całą grupą szpiegów, których następnie rozesłano po świecie; być może Katarina Heinrich była jednym z nich. Wyjaśniałoby to, dlaczego zatrudniła się w budownictwie morskim, jak również czemu w 1933 postanowiła zniknąć: zorientowała się, że przysyłani do Stanów agenci Abwehry są kiepscy i nie miała ochoty dać się złapać razem z nimi. Zniknęła więc ze sceny.

– Rozumiem, że nie macie nic konkretnego, co wskazywałoby na związek Meissnera z Heinrich.

– Nic konkretnego. Mamy za to jedną intrygującą wskazówkę. W zeszłym roku Meissner zaczął nagle otrzymywać listy: dostał trzy na przestrzeni dwóch miesięcy. Oczywiście nie dostał ich od razu, bo najpierw trafiły do nas. Wysłano je z New Jersey, a podpisała się pod nimi niejaka Anna Wagner. Meissner wyjaśnił nam, że poznał ją w Niemczech w 1928 roku: była mężatką i wraz z mężem przeprowadziła się później do Ameryki. Przysięgał nam, że te listy są bez znaczenia, a ich treść zdawała się to potwierdzać: czułościowy bełkot pozbawiony, naszym zdaniem, jakichkolwiek wartościowych informacji. Nie znaleźliśmy nic, co mogłoby wzbudzić nasze podejrzenia.

– Może były zaszyfrowane?

– Naprawdę solidnie się nimi zajęliśmy, Harry. Jeżeli rzeczywiście są pisane szyfrem, to jest to prawdziwy majstersztyk. Wygląda na to, że Meissner nie łże: dostał trzy listy miłosne od swojej dawnej dziewczyny. Dopiero teraz, po zniknięciu Catherine Danielson, pomyśleliśmy, że może za łatwo je zlekceważyliśmy.

– I sądzicie, że Heinrich przyjedzie do niego, żeby przekazać mu tajemnicę bomby.

– To rozsądne założenie. Jeżeli nie wpadnie w łapy FBI i uda się jej dostać na pokład jakiegoś statku, wybór będzie miała ograniczony. Mogłaby popłynąć do Lizbony albo Madrytu, gdyby nie to, że w szpiegowskim fachu obowiązuje pewna żelazna zasada: im cenniejsze informacje, tym bardziej ulotne. Jeżeli Heinrich wie, co jej wpadło w ręce, nie będzie raczej ryzykować, że utknie w jakimś neutralnym kraju, tylko skieruje się prosto do Anglii. Jakkolwiek było, w każdym razie wygląda na Amerykankę. Na miejscu spróbuje znaleźć Meissnera, który, według niej, wciąż działa na własną rękę i pozostaje w kontakcie z Hamburgiem.

– I wtedy wpadnie w wasze sidła.

– Tak, o ile słusznie zakładamy, że Meissner jest jej łącznikiem.

– Rozmawiałeś z nim o tym?

– Po południu się do niego wybieram. Liczyłem na to, że może zgodzisz się ze mną pojechać.

– A co z listami?

– Kazałem je wygrzebać w aktach.

– Gdzie jest Meissner?

– W bezpiecznym miejscu, niedaleko stąd. Chodź, pokażę ci.

Z Whitehall droga do dzielnicy Highgate wiodła cały czas pod górę. Minęli Waterloo Park, gdzie w blasku słońca drzemały obstawione workami z piaskiem działka przeciwlotnicze; przejechali obok

omentarza Highgate, gdzie wiecznym snem spały tak szacowne osobistości, jak George Eliot i Karol Marks, całkowicie nieświadome niemieckich bomb.

– Na takie kryjówki zawsze wybieramy wysoko położone miejsca – wyjaśnił Taylor. – Sami szpiedzy też najchętniej ulokowaliby się właśnie w nich: większa wysokość ułatwia kontakt radiowy. Rzecz jasna nikt nie jest w stanie namierzyć, skąd dokładnie dochodzi sygnał, ale bardzo się staramy...

– Wiem – wszedł mu w słowo Winterbotham. – Zachować pozory.

– W każdym razie nie tracić czujności. Kiedy odwiedzam Meissnera, widzę to, co on by widział, gdyby przebywał na wolności. Dzięki temu łatwiej mi przygotowywać cotygodniowe raporty dla Hamburga.

– Jesteś jego oficerem prowadzącym.

– Zgadza się.

– Ale przecież on mieszka w Anglii już dziesięć lat, a ty, Andrew, całkiem niedawno zacząłeś pracę w wywiadzie. Mam rację?

Taylor uśmiechnął się półgębkiem.

– Tak szczerze, Harry? Byłem w MI-5 na długo przed tym, jak zacząłem pracować na uniwersytecie.

– Co takiego?!

– Zdawało ci się, że znasz mnie na wylot, co? Pewnie jeszcze parę razy cię zaskoczę, staruszk.

– Zaraz mi powiesz, że przegrywałeś ze mną regularnie w szachy, żeby nie wydało się, jaki jesteś świetny.

Taylor uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Jesteśmy na miejscu – stwierdził.

Dwupiętrowy wiktoriański dom z czerwonej cegły przycupnął na szczycie wzniesienia w rogu Pond Square. Przed drzwiami przywitał ich krępy, barczysty Anglik, który wyglądał, jakby naoglądał się za dużo filmów o Scotland Yardzie. Taylor przedstawił go jako Dickensa. Podali sobie ręce. Dickens miał miazdzący uścisk dłoni. Rewolwer w kaburze pod pachą wypychał mu tweedową marynarkę.

– Jak się miewa nasz gość? – zagadnął Taylor.

– Jak zwykle biadoli.

– O co tym razem chodzi?

– O to samo: nuda i klaustrofobia.

– Zobaczymy, czy uda nam się go trochę ożywić.

Weszli na wąskie, zakurzone schody, zostawiwszy Dickensa na straży na dole. Winterbotham wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć w to, co się działo i czego się dowiedział. W dodatku był taki niewyspany... Taylor od dawna pracował dla MI-5; Ruth była – żywa! – w Dachau, a on, jeśli dobrze zagra kartami, które mu się trafiły, miał szansę ją stamtąd wyciągnąć; w pokoju na górze czekał na nich szpieg, który miał własne sekrety; inny szpieg, kobieta, płynął właśnie przez ocean, wioząc tajne informacje. Tajemnica goniła tajemnicę, a każdy prowadził własną grę. Winterbotham miał zupełny mętlik w głowie.

Następny postawny mężczyzna siedział pod drzwiami na piętrze i czytał cienką książeczkę – Conan Doyle’a, jak zauważył Winterbotham. Wstał, gdy Taylor doszedł do szczytu schodów, i sprawiał wrażenie, jakby zaraz zamierzał zasałutować.

– Spocznij – rzucił z uśmiechem Taylor. – Harry, przedstawiam ci Alfa; Alf, to jest Harry Winterbotham.

Alf skinął głową, Winterbotham odpowiedział mu tym samym.

– Kogo to ja słyszę? – zapytał ktoś zza drzwi nienaganną angielszczyzną.

Dziesięć lat, pomyślał Winterbotham. Dziesięć lat w Anglii. Szpieg, który teraz szpiegował swoich przełożonych. Tajemnica za tajemnicą; każdy prowadzi swoją grę.

– Chodź – mruknął Taylor. – Przedstawię cię człowiekowi, z którego jesteśmy w „Podwójnym agencie” szczególnie dumni. Zobaczymy, czy uda nam się wydusić z niego całą prawdę.

Fritz Meissner był bardzo wysoki, blady i okropnie chudy. Miał rzednące blond włosy i wyraziste błękitne żyłki na skroniach. Leżał na łóżku przy otwartym oknie, ciesząc się świeżym, wiosennym powietrzem i paląc papierosa. Kiedy Taylor z Winterbothamem weszli do pokoju, spojrzeli na nich, nie wykonując przy tym najmniejszego ruchu. W jego sposobie bycia było coś lekceważącego, co napawało Winterbothama szczerym niesmakiem.

– Fritz! – zawołał wesoło Taylor. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy.

– Przeszkadzacie? – Meissner się uśmiechnął. – Broń Boże! Chociaż to nie twój dzień, Andrew. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

– Chciałem ci przedstawić mojego przyjaciela: Fritz Meissner – Harry Winterbotham.

Meissner zaciągnął się papierosem.

– Miło mi pana poznać – powiedział.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł sztywno Winterbotham.

– Coś ci przyniosłem – rzekł Taylor i podał Meissnerowi przyniesiony z samochodu pakunek.

Meissner rzucił się na prezenty, rozkładając je na łóżku: karton papierosów, zapalki, czekoladki, butelka wódki i egzemplarz „Esquire’a”. Wziął magazyn do ręki i przyjrzał się krytycznie okładce, na której długonoga, biodrzasta modelka prężyła się w uwodzicielskiej pozie.

– Andrew! – jęknął. – Jak mogłeś?

– Prosto ze Stanów, Fritz. Ciesz się, póki możesz, niedługo amerykańscy cenzorzy zakazą takich fotek.

– Zwariuję przez ciebie – burknął Fritz, ale ostrożnie dołączył „Esquire’a” do leżących na łóżku darów.

Winterbotham zajął jedyne znajdujące się w pokoju krzesło, Taylor zaś stanął przy oknie. Na chwilę pograżyli się całkowicie w rytuale zapalania fajki i papierosów. Meissner przypalił sobie nowego od niedopałka poprzedniego. Winterbotham wydmuchnął kłęb pachnącego pomarańczami dymu.

– Może to okrutne z mojej strony – przyznał Taylor. – Ale sam przyznasz, że jest niczego sobie.

– Słucham?

– Mówię o tej dziewczynie. – Taylor skinął głową w stronę łóżka.

– Ach, ta... – Fritz podążył za jego spojrzeniem. – Niezła.

– Niezła? Tylko tyle?

– Widziałem lepsze.

– Na przykład Annę Wagner?

W oczach Meissnera mignął niespokojny błysk.

– Właśnie że tak: między innymi Annę Wagner.

– Opowiedz mi o niej.

– Już ci opowiadałem, Andrew. Aż tak nudzisz się w domu?

– Opowiedz jeszcze raz, Fritz – powtórzył Taylor z uśmiechem. – Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

– Anna... – Meissner się zamyślił. – Anna, Anna... To było tak dawno, ale chyba dobrze ją pamiętam. Była naprawdę piękna. Pracowała u męża w sklepie, w Berlinie...

– Co to był za sklep?

– Ciastkarnia.

– Mów dalej.

– Spodobałem się jej, a ona mnie; przez pewien czas byliśmy przyjaciółmi, a potem wyjechała z mężem do Stanów. I tak się to skończyło.

– A teraz, po dziesięciu latach, nagle do ciebie napisała.

– Mhm.

– Jak myślisz, Fritz, dlaczego czekała z tym aż dziesięć lat?

Meissner wzruszył ramionami.

– Może tyle czasu potrzebuje żona, żeby na dobre znudzić się mężem i zacząć wspominać dawnych adoratorów.

– Napisała trzy listy w ciągu dwóch miesięcy, a potem znów umilkła.

– Owszem.

– Jak ci się wydaje, dlaczego?

– Za dużo ode mnie wymagasz, Andrew. Któż zrozumie kobiety? – Meissner posłał Winterbothamowi porozumiewawczy uśmieszek.

– Cóż, rozumiem – rzekł Taylor. – Ale uprzedzam cię, Fritz: po raz kolejny badamy listy, które dostałeś od Anny Wagner. Naturalnie mam nadzieję, że nic nie znajdziemy, bo gdybyśmy znaleźli, znaczyłoby to, że mnie okłamałeś. Za długo się znamy, żeby się okłamywać.

Niewzruszony Fritz wydmuchnął obłoczek papierosowego dymu.

– Nic nie znajdziecie – powiedział. – Tylko smutne słowa smutnej kobiety, która żałuje, że mnie odepchnęła.

– Świetnie, to właśnie chciałem usłyszeć. Masz coś do dodania, Harry? Winterbotham pokręcił głową.

– W takim razie idziemy.

Winterbotham wstał z fajką w zębach i ruszył za Taylorem do drzwi.

– Ach, jeszcze jedno. – Taylor odwrócił się w progu, kładąc rękę na klamce. – Mówi ci coś nazwisko Katarina Heinrich?

– Katarina Heinrich? – powtórzył Meissner.

– Właśnie tak: Katarina Heinrich.

– Nie, nie wydaje mi się.

– Doskonale. Trzymaj się, spotkamy się za parę dni.

– Z przyjemnością.

Fritz Meissner odprowadził ich wzrokiem, krzywiąc się lekko.

– No i co o nim myślisz? – zagadnął Taylor.

– Kłamie.

– Przy odrobinie szczęścia w listach znajdziemy na to dowód. Wtedy będzie można wrócić i zobaczyć, jak się zachowa. – Taylor zgasił napoczętego papierosa i schował go ostrożnie do

kieszoni na piersi. – A już miałem nadzieję, że się mylę. Jeżeli ta kobieta jest równie dobra jak on, będzie ciężko.

– Jak sądzisz, kiedy się odezwie?

– Uciekła trzynaście dni temu. Myślę, że może dotrzeć do Anglii na początku przyszłego tygodnia.

– Rozumiem, że pilnujecie portów?

– Staramy się. Kłopot w tym, że zza oceanu przybywa ostatnio sporo ludzi i ładunku.

Winterbotham się zasepił. Mimo potwornego zmęczenia zaczynał ogarniać myślami czekające go zadania. Przede wszystkim powinien sprowadzić Ruth do Anglii. W tym celu jednak musi zaangażować się w maskaradę zaplanowaną dla Abwehry i przekonać Niemców, że ma informacje, które mogłyby ich zainteresować. Do tego zaś potrzebuje pełnej współpracy ze strony Schroedera, a zatem i całkowitego poparcia MI-5. Jeżeli chce na nich liczyć, musi im pomóc uporać się z najważniejszym dla nich zadaniem: znaleźć tę Heinrich, zanim przekaże swoje materiały do Berlina.

Zresztą jeżeli ona dostarczy plany do Berlina, pomyślał, Niemcy zbudują bombę przed Amerykanami, a wtedy ocalenie Ruth będzie bez znaczenia. Wszyscy zginiemy, a armia Hitlera przedefiluje po Downing Street.

– Chodź, obejrzymy te listy – zaproponował.

– Świetny pomysł. Tylko może byśmy najpierw coś zjedli? Mam w Savoyu kumpla...

– Najpierw listy – uciął Winterbotham.

Rozdział 5

Atlantyk, niedaleko wybrzeży Nowej Fundlandii Maj 1943

Brytyjski statek towarowy „Queen Mary” ciął fale oceanu. Była noc. W ładowniach wiózł drewno, mięso, cukier, olej napędowy, materiały wybuchowe, mleko w proszku, ropę, stal, tytoń i ołów. W kajutach i na pokładzie roilo się od ludzi. Spotykali się kupcy, żołnierze amerykańscy, katolicy misjonarze, pracownicy Czerwonego Krzyża i garstka cywilów, którzy z sobie tylko znanych powodów postanowili zaryzykować spotkanie z patrolującymi północny Atlantyk U-Bootami.

Siostra Abigail Harbert uznała, że właśnie udało się jej zaprzyjaźnić z jedną z najsympatyczniejszych osób na pokładzie „Queen Mary”, młodą kobietą nazwiskiem Eleanor Lewis. Określenie „młoda kobieta” brzmiało chyba trochę zbyt poważnie – Eleanor była mniej więcej jej rówieśnicą. Siostra Abigail uważała jednak, że całkowite oddanie Jezusowi przydaje jej powagi i mądrości; Eleanor Lewis zaś na razie nie przyjęła do serca Chrystusa jako swego zbawiciela. Była za to młoda i dzielna, siostra Abigail zaś uznała, że jeżeli dobrze wykorzysta sześć dni rejsu, to może uda się jej nawrócić przyjaciółkę.

Eleanor istotnie wyglądała młodo, ubierała się dość konserwatywnie, miała krótkie, brązowe włosy i smutne szarzielone oczy. Ten smutek właśnie budził współczucie siostry Abigail. Miała wrażenie, że Eleanor lada chwila wybuchnie płaczem, nawet jeśli opowiadała właśnie historię tak wciągającą, jak ta, którą przed chwilą skończyła.

– W ubiegłym miesiącu mój kochany Al został ranny – zaczęła Eleanor, gdy siostra Abigail zapytała, dlaczego postanowiła zaryzykować spotkanie z wilczą sforą U-Bootów. – Oślepl, kiedy jakiś szeregowiec rzucił niedopałek prosto w skład amunicji. Dwa tygodnie temu dostałam od niego list, więc zaklepałam sobie miejsce na pierwszym statku płynącym do Anglii. Al mnie teraz potrzebuje, chociaż nie jestem nawet pewna, czy zdaje sobie z tego sprawę. Wiesz, co zrobił? Napisał, że powinniśmy zerwać zaręczyny, bo inaczej będzie dla mnie nieznośnym brzemieniem, skoro jest niewidomy.

Siostra Abigail chrząknęła ze zrozumieniem.

– To musi być wspaniały chłopak – stwierdziła. – Czy przyjął Chrystusa do swego serca?

– Nie sądzę, żeby specjalnie zawracał sobie tym głowę – odparła niedbale Eleanor. – Chociaż teraz, straciwszy wzrok, mógł się zmienić. Szkoda, że ten statek tak się wlecze; z listu Ala wprost wiało poczuciem beznadziei. A przecież niewidomi też mogą prowadzić interesujące życie. Całkiem niedawno czytałam o niewidzącym mężczyźnie, który również ma swój udział w wojnie. Pisali o nim

w „Timie”: wstąpił do Korpusu Łączności i uczy chłopców z serwisu dokonywać niezbędnych napraw po ciemku.

– Niesamowite – przyznała siostra Abigail. – Al ma szczęście, że trafiła mu się taka narzeczona.

– O nie, to ja mam szczęście, że on mi się trafił. Al jest cudowny.

Ten właśnie altruizm Eleanor wywarł na siostrze Abigail największe wrażenie. W tych czasach niełatwo było znaleźć kobietę w jej wieku, która tak jak Eleanor bez wahania poświęciłaby się dla męża. Kobiety wolały grać w baseball, pracować w fabrykach i nosić dwuczęściowe kostiumy kąpielowe; mało obchodziły je dawne, chrześcijańskie wartości. Wojna zmienia ludzi na rozmaite sposoby. Jeśli jednak znajdzie się jeszcze trochę takich osób jak Eleanor Lewis, to kto wie, może uda się ludzkości ocalić z tej zawieruchy coś naprawdę cennego.

Historia, którą Katarina jej opowiedziała, była w połowie prawdziwa.

Eleanor Lewis rzeczywiście miała narzeczonego imieniem Al, który stracił wzrok na wojnie. Do wypadku doszło jednak na Guadalcanal: postrzelił go japoński żołnierz. Al napisał do Eleanor list, w którym wspominał o zerwaniu zaręczyn, żeby nie utrudniać jej życia; wysłał go jednak ze szpitala marynarki wojennej w San Diego, gdzie wracał do zdrowia. Później wrócił do domu w Dennison w stanie Ohio, a Eleanor obiecała mu, że zostanie z nim na dobre i złe. Zaręczyny pozostały więc w mocy, a ślub zaplanowali na czerwiec. Lekarz przekazał im nawet dobrą wiadomość: istniała szansa, że Al częściowo odzyska wzrok, na razie w jednym oku.

Katarina dowiedziała się tego wszystkiego od Eleanor na krótko przed tym, jak ją zamordowała.

W tej chwili ciała Eleanor Lewis i Ala Burke’a rozkładały się z wolna w piwnicy małego domku, należącego do dziewczyny. Katarina spotkała ją w kinie Palace w Dennison – żeby wejść na film, wydała na bilet ostatnie pięćdziesiąt centów. Była zdesperowana i zagubiona, a spotkanie z Eleanor Lewis pozwoliło jej znaleźć wyjście z beznadziejnej sytuacji. To, że jej narzeczony był niewidomy, dodatkowo ułatwiało sprawę. Gdyby Katarina pozostawiła go przy życiu, mógłby wszczać alarm i jej nowa tożsamość szybko zostałaby odkryta. Eleanor jednak z radością zaprosiła ją do siebie na kolację, by pochwalić się swoim wspaniałym, bohaterskim, na wpół ślepym chłopakiem.

Najpierw zabiła właśnie ją – jak by nie patrzeć, Eleanor łatwiej mogła przysporzyć jej kłopotów. Z Alem poszło już łatwiej; kiedy próbował przyjść narzeczonej z pomocą, przewrócił się o jej zwłoki.

Katarina chciała być z siebie dumna. Przecież okazała się zaradna, skuteczna i zrobiła to dla *Vaterlandu*, ale ilekroć wracała myślami do Ohio, czuła tylko niesmak i wstyd.

Zabiła leżącego ślepcę, który płakał nad ciałem narzeczonej.

Potem mogła zarezerwować bilet na „Queen Mary”: pod łóżkiem, w pudełku po cygarach El Duelo, znalazła prawie trzy tysiące dolarów. Przed wejściem na pokład ufarbowała włosy, ścięła je krótko i kupiła nowe ubrania. FBI nie miało pewnie pojęcia, dokąd udała się Catherine Danielson Carter. Wydawało się, że szanse Katariny na spotkanie z Fritzem w Londynie rosą z każdą chwilą.

A jednak nie umiała się z tego cieszyć.

Przez te dziesięć lat zrobiła się miękka.

Ta myśl nie dawała jej spokoju.

Wohldorf, północny Hamburg

Zgrabna limuzyna marki mercedes dowiozła Hageną krętą drogą do eleganckiego dworku. Wsiadając z samochodu dostrzegł kątem oka jakiś ruch: wśród drzew z prawej strony ganku stał odziany na czarno człowiek. Dopiero po chwili Hagen zdał sobie sprawę, że mężczyzna daje mu

znak, by podszedł bliżej.

A dopiero po następnej chwili rozpoznał nieznajomego.

Uśmiechnął się – jak zwykle na widok Himmlera.

– *Herr Reichsleiter* – powiedział. – *Heil* Hitler!

– *Heil* Hitler!

Heinrich Himmler był niepozornym, choć nadgorliwym człowieczkiem; bardziej wyglądał na księgowego czy może bankiera, niż na szefa SS. Tego dnia miał na sobie czarny mundur gestapo, ozdobiony rzucającą się w oczy trupa czaszką. Widocznie zamierza kogoś przestraszyć, uznał Hagen, choć za duży mundur źle leżał na Himmlerze, co trochę psuło cały efekt. Człowiek, który nie wiedział, na co Himmlera stać...

Hagen wiedział.

Himmler był jego zdaniem zarówno największym architektem, jaki najdoskonalszym wytworem Trzeciej Rzeszy. Hitler, znakomity mówca, świetnie nadawał się na figuranta, lecz słabość do przepychu i pewna opieszałość przy podejmowaniu ważnych decyzji sprawiały, że do zarządzania Niemcami potrzebował silniejszych ludzi.

A Himmler, niegdyś właściciel kurzej fermy, był takim właśnie silnym, twardym człowiekiem. Co więcej, jego siłę doskonale równoważyły wrodzona wrażliwość i urok osobisty. Nie tak dawno Hagen przekonał się o tym osobiście, kiedy Himmler wrócił z wizytacji na froncie wschodnim. Był tam świadkiem egzekucji setki rosyjskich Żydów, w tym także kobiet i dzieci, co przyprawiło go niemal o rozstrój nerwowy – a przecież szczyił się tym, że uchodzi za człowieka o stalowych nerwach. Jego reakcja na egzekucję dowodziła zarówno wrażliwości, jak i przedsiębiorczości: zalecił SS opracowanie bardziej humanitarnych metod zagłady i osobiście podsunął swoim ludziom pomysł konstrukcji komór gazowych.

Bez słowa ruszyli spacerkiem przez okalający posiadłość park. W dworku znajdowało się największe niemieckie centrum nasłuchu radiowego: dwa rozległe podziemne bunkry mieściły dziesiątki pomieszczeń z odbiornikami obsługiwanymi przez wykwalifikowanych radiowców. W tym samym budynku miała swoje dowództwo Abwehra, toteż Hagen łamał sobie głowę, dlaczego Himmler wyznaczył mu spotkanie właśnie w tym miejscu. Teraz zdał sobie sprawę, że oddalają się od centrum i Himmler czeka, aż znajdą się w odpowiedniej odległości, by móc swobodnie rozmawiać. Ściany miały uszy, a w Niemczech miały ich więcej niż gdzie indziej.

Dzień był prześliczny – ciepły, suchy, wiał lekki wiaterek; Hagen uznał, że spacer zapowiada się całkiem przyjemnie. Szli już pięć minut, a Himmler wciąż milczał. Minęli niewielki stawek i znaleźli się na skraju lasu, Himmler przystanął i obejrzał się przez ramię. Nikt ich nie śledził.

– W tym miejscu są w stanie wyłowić szept człowieka, który mówi coś tysiące kilometrów stąd, a jednak, mimo tak wyrafinowanego sprzętu, nas nie słyszą – powiedział cicho Himmler.

Miał czterdzieści dwa lata i zazwyczaj na tyle właśnie wyglądał, tego dnia jednak wydał się Hagenowi starszy. Skórę na policzkach miał bladą i ściągniętą, włosy w nieładzie. Pewnie zarwał noc, domyślił się Hagen.

– Chociaż mają swoje metody – ciągnął Himmler. – Stawaj tyłem do budynku, kiedy mówisz. Mają swoje metody.

– Wygląda pan na zmęczonego, *Herr Reichsleiter* – zauważył Hagen.

– Nie mam czasu na sen. – Himmler machnął lekceważąco ręką. – Wrogowie są wszędzie, nawet tu, w tym domu, *Herr* Hagen. Wątpi pan w to?

– *Nie, Herr Reichsleiter.* – Hagen pokręcił przecząco głową. – Ani przez moment w to nie wątpię.

– Bez przerwy zdobywam nowe dowody ich obecności. – Himmler uśmiechnął się pogardliwie. – Tej nocy doszły mnie słuchy, jakoby Canaris szykował nową sztuczkę: znalazł ponoć jakiegoś angielskiego specja od szyfrów, który oferuje mu swoje usługi w zamian za uwolnienie jego żony. Ale oficjalnie nic nie wiem; Canaris miałby mnie o tym poinformować? Nigdy.

– Nie jest lojalny.

– Na szczęście zdążyłem przyjechać przed porą kontaktu: stałem i patrzyłem, jak odbierali z Anglii meldunek na temat tego człowieka. Canaris na pewno wiąże z nim jakieś własne plany i bez wątpienia knuje zdradę. Przypuszczam, że usiłuje nawiązać bezpośredni kontakt z Brytyjczykami, co pozwoliłoby mu wynegocjować własne warunki kapitulacji.

Zdegustowany Hagen pokręcił z niedowierzaniem głową. Himmler zerknął na niego z ukosa; w jego oczach błysnął cień rozbawienia, chociaż się nie uśmiechnął.

– Nie boi się pan Canarisa – zauważył.

– Ani trochę, *Herr Reichsleiter.*

– Dlatego właśnie będzie pan moim agentem. Odda się pan do dyspozycji Canarisa w związku z tą sprawą; proszę dać mu do zrozumienia, że nie ma wyboru i musi się zgodzić na współpracę. A potem proszę obserwować i składać raporty bezpośrednio mnie.

– Rozumiem.

– Niewykluczone, że to Churchill próbuje nam spłatać figla – ciągnął Himmler. – I że ten człowiek tylko udaje zdrajcę. Gdyby znalazł pan dowody potwierdzające tę teorię, proszę o nich nie informować Canarisa, tylko mnie. Sam zadecyduję, jak najlepiej wykorzystać takie informacje.

– Tak jest, *Herr Reichsleiter.*

Himmler z zadowoleniem odął wargi i nagle spojrzał na Hagenę tak, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

– Zapominam o dobrym wychowaniu – zreflektował się. – Jak się czujesz, stary druhu?

– Nie najgorzej, *Herr Himmler.* A pan?

– Jestem zmęczony. – Himmler wzruszył ramionami. – Czułbym się lepiej, gdybyśmy mieli wrogów tylko poza granicami Niemiec, ale dopóki musimy z nimi walczyć także na własnym podwórku...

– Cierpliwości – uspokoił go Hagen. – Sami się ujawnią.

Himmler nie całkiem przekonany zmrużył oczy i spojrzał w słońce.

– Czasem zdaje mi się, że nadszedł już nasz koniec, że nie działaliśmy dość szybko. Albo że byliśmy zbyt pochopni. Czasami tracę nadzieję, przyjacielu.

– Przydałby się panu odpoczynek, *Herr Reichsleiter.* To wszystko.

– Może i masz rację... Ale tak naprawdę dobrze by mi zrobił widok Canarisa dyndającego na haku do mięsa.

– Jeśli pan sobie życzy, możemy tymczasem zadowolić się jednym z jego psów.

– Gdyby to było możliwe... – Himmler rozpromienił się i roześmiał. – Gdyby tylko było to możliwe.

Ministerstwo Wojny

W gabinecie Andrew Taylora znajdowało się trzech ludzi. Stali przy biurku, pochyleni nad niewielką kupką listów na blacie. Jednym z mężczyzn był sam Taylor, dopalający papierosa, którego

zgasił po wyjściu z domu w Highgate; drugim był Winterbotham, który – dla odmiany – nie zapalił na razie fajki; trzeci zaś nazywał się David Smith i był ekspertem wywiadu wojskowego do spraw deszyfracji. Przesłano go z Bletchley.

Winterbotham doszedł do wniosku, że Smith jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, w każdym razie w ramach fikcji operacji „Podwójny agent”. Był doskonałym szachistą – znacznie lepszym niż on sam – i wraz z grupą innych cywilnych geniuszy został zwerbowany na samym początku wojny. Udało mu się dotąd złamać dwa ważne niemieckie szyfry – jeden używany przez marynarkę i jeden awaryjny szyfr Luftwaffe. Na razie jednak ani on, ani żaden inny geniusz z Bletchley nie umiał doszukać się ukrytych treści w prostych, krótkich listach Anny Wagner do Fritza Meissnera.

List, nad którym w tej chwili ślęczeli, niczym szczególnym się nie wyróżniał. Był napisany po angielsku:

Kochany Fritzu,

Wiem, że ja nie powinnam do Ciebie pisać, ale nie mogę się powstrzymać. Tej nocy śniłam o Tobie. Nie mam pojęcia, dlaczego śnisz mi się po dziesięciu latach, ale to fakt. Ja wymówiłam przez sen Twoje imię i rano mąż mnie zapytał, kogo miałam na myśli. A ja mu odpowiedziałam, że postać ze słuchowiska radiowego! Chyba mi uwierzył.

Czy to możliwe, żebyś myślał o mnie równie często, jak ja myślę o Tobie? Na pewno nie. Ożeniłeś się pewnie z jakąś uroczą Angielką i macie dzieci.

Ale ja w głębi duszy wciąż marzę o Tobie. I chcę, żebyś o tym wiedział. Nawet jeżeli masz rodzinę, to jeszcze nie znaczy, że nie moglibyśmy sobie dać nawzajem tego, czego rodzina dać nie może. Nie sądzę, żebyśmy się jeszcze spotkali, ale pamiętaj, że ja nie przestanę o Tobie myśleć.

Całuję Anna

– Hmm... – mruknął Taylor, zaciągając się papierosem. – Grafomania.

– Z początku intrygowało mnie nadużywanie zaimka, ja” – powiedział Smith, smukły, śniady mężczyzna, któremu mars nie znikał z czoła. Zdumiony Winterbotham stwierdził, że Smith pachnie wodą morską. – Widzicie, ile razy go wstawiła? W co drugim zdaniu. Ale nawet jeśli jest w tym jakaś prawidłowość, to ja jej nie widzę.

– Może tu nie chodzi o szyfr? – zasugerował Winterbotham. – Atrament sympatyczny?

Smith pokręcił głową.

– Niemcy używają trzech takich atramentów: wszystkie trzy można wywołać roztworem chlorku żelaza. Próbowaliśmy, ale nic z tego. Jest jeszcze inna możliwość: mikrotekst. Wiadomość zmniejsza się do wielkości znaczka pocztowego, a potem fotografuje przez odwrócony obiektyw mikroskopu. Negatyw smaruje się kolodium i igłą przenosi na papier. Następna porcja kolodium wygładza włókna papieru. Ale taka zminiaturyzowana wiadomość jest widoczna gołym okiem, ma wielkość kropki nad „i”. Niestety, sprawdziliśmy wszystkie literki, co do jednej. Ani śladu mikrotekstu.

– Coś tu musi być – stwierdził Taylor.

– Dlaczego „musi”? – zdziwił się Smith.

– Bo jeśli nic nie ma, to kobieta, której szukamy, nie nawiązała kontaktu z Meissnerem. Skoro tak, to nie widzę powodu, żeby teraz do niego przyszła z tym, co ma. A to by znaczyło, że mamy poważne kłopoty.

– Może to coś bardziej oczywistego – myślał na głos Winterbotham. – Może wystarczyła wzmianka o „słuchowisku” albo „uroczej Angielce”?

– Zgadywanki to za mało, staruszku.

– Obawiam się, że nic więcej nie mamy – zauważył Smith. – To, że czegoś potrzebujemy, nie znaczy jeszcze, że łatwiej to znaleźć.

– Jakiś nowy atrament? – podsunął Taylor. – Taki, z którym się jeszcze nie spotkaliśmy?

– Mówiłeś, że zerwała wszelkie kontakty na długo przed wysłaniem tych listów... – powiedział zadumany Winterbotham. – Jeśli to faktycznie ona jest ich autorką. Poza tym nigdy nie była szpiegiem Abwehry. Dlaczego miałyby nagle jako pierwsza zacząć używać nowego rodzaju atramentu? I skąd by go wzięła?

– Jeżeli...

– Cicho – przerwał Smith.

Taylor z Winterbothamem spojrzeli na niego zdumieni: zmarszczki na jego czole pogłębiły się, jedną rękę podniósł w geście mającym ich uciszyć, nie odrywając wzroku od listu. Tylko nozdrza drgały mu rytmicznie.

– To jest to – powiedział wreszcie i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając popsute, pożółkłe zęby. – To jest to. A niech mnie...

– To znaczy? – zapytał Taylor.

– To jest to, właśnie to – powtórzył Smith. – Nie nowy atrament, tylko stary. Tak stary, że nie przyszło nam do głowy go tu szukać.

Winterbotham zrozumiał pierwszy i też wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Od lat się nie odzywała – przypomniał. – Nie miałyby skąd wziąć nie tylko najnowszego atramentu sympatycznego, ale w ogóle żadnego.

– Zwłaszcza jeżeli w którymś momencie naprawdę usiłowała się zaszyć i zejść wszystkim z oczu – uzupełnił Smith, szczerze podekscytowany.

Chyba bardziej się cieszy, że rozwiązał kolejną zagadkę, pomyślał Winterbotham, niż że właśnie oddał Anglii nieocenione usługi. – Dawno temu pozbyła się pewnie wszelkiego sprzętu i teraz musiała improwizować.

– Hagen przykładą wielką wagę do improwizacji – wtrącił Taylor.

– Niech mnie diabli! – wykrzyknął Smith. – To jest to! Na pewno: jodyna!

– Co takiego?

– Jodyna, do ciężkiej cholery! Jodyna!

Atrament sympatyczny, którego użyła Katarina Heinrich, pierwszy raz zastosowano w czasie pierwszej wojny światowej. Podstawowym jego surowcem był roztwór piramidonu, popularnego środka na ból głowy, dostępnego bez problemu w każdej aptece. Do wywołania atramentu stosowało się roztwór jodyny. Wystarczyło, że Smith posmarował nim odwrotną stronę każdego listu, a ich oczom ukazały się dowody, których tak poszukiwali.

Pierwszy list zawierał informacje o pogodzie: ciśnienie, temperatura, pułap chmur, widoczność, opady, kierunek wiatru.

– Ten meldunek przesłała, kiedy u brzegów New Jersey i Wirginii działały całe stada U-Bootów – powiedział Taylor. – W dwa miesiące zatopiły całkiem sporo alianckich statków, było niezłe zamieszanie. Pewnie spodziewała się, że lada chwila nastąpi inwazja. Oczywiście jej informacje nie miałyby wtedy wielkiej wagi, bo nie docierały do Meissnera wystarczająco szybko. Zobaczmy, czy potem miała mu coś ciekawszego do zakomunikowania.

Miała. W drugim i trzecim liście Katarina Heinrich przesyłała szczegółowe informacje na temat

stocznicy wojskowej w Kearny w stanie New Jersey: plany i specyfikacje dwóch budowanych właśnie niszczycieli. Listy opatrzyła swoim numerem kodowym: V. 1353.

– Musiała znaleźć sobie tam pracę, żeby mieć dostęp do takich szczegółów – zauważył Taylor. – Prawdziwa z niej emancypantka.

– No, to teraz ją mamy – stwierdził Winterbotham, myśląc już o następnym czekającym go zadaniu: spotkaniu z Abwehrą. Żeby tylko Ruth wytrzymała w piekle Dachau jeszcze kilka tygodni...

– Jeszcze nie – zmitygował go Taylor. – Nie lekceważ jej, staruszku. Meissner może jest dziś nieszkodliwy, ale niewielu spotkałem takich mistrzów jak on. A ona i on są z jednej paczki.

– Wiemy dokąd się wybiera. I w przybliżeniu wiemy, kiedy tam dotrze. Wystarczy ją zwabić w nasze sidła.

– Najpierw musimy je przygotować. Pamiętaj: trzeba naciągnąć sprężynę w sidłach.

Od dogasającego niedopałka Taylor zapalił sobie nowego papierosa.

Część 2

Rozdział 6

Londyn Czerwiec 1943

Znowu wyły syreny. Ze swojego miejsca na stacji metra przy Picadilly Circus Clive Everett słyszał je głośno i wyraźnie, mimo wszechobecnego gwaru rozmów. Słyszał też regularny, stłumiony łoskot artylerii przeciwlotniczej, chrapliwe pokrzykiwania pracowników obrony cywilnej i wysokie, owadzie buczenie maszyn Luftwaffe – chociaż nie był pewien, czy to ostatnie nie rozlega się jedynie w jego wyobraźni.

Wiedział, że hitlerowcy nasilili bombardowania w odpowiedzi na wzmożone naloty aliantów; Anglicy, Francuzi i Amerykanie zamierzali rozmiękczyć Niemców przed nieuniknionym desantem. Anglia była dla Niemców jak kwaśne winogrona z ezopowej bajki. Clive dziękował w duchu wrogowi za spadające na Londyn bomby: przez ostatnie dwa lata poznał na dworcach metra więcej kobiet niż wcześniej przez dziesięć lat. Większość młodych mężczyzn wyekspediowano za granicę, przez co ci nieco starsi (tacy jak on) znaleźli się w uprzywilejowanej, godnej pozazdrosczenia sytuacji.

Właśnie obserwował młodą kobietę, przykucniętą na ziemi na wyciągnięcie ręki od niego. W przelotnych błyskach światła czyjejs latarki odbijających się w jej oczach zauważył, że dziewczyna lada moment się rozplacze. Pod sukienką rysowały się jej pełne piersi. Miała około trzydziestu lat, dobrą figurę, niebrzydką twarz. A najlepsze było to, że wyglądała na śmiertelnie przerażoną.

Przysunął się bliżej. Gdzieś z lewej strony ktoś zapłakał, ale Clive nie zwracał na to uwagi. Oparł dłoń na udzie dziewczyny i szepnął:

– Wszystko będzie dobrze, kotku. Hitler się mści za kwaśne winogrona. Pociągnęła nosem i podniosła wzrok.

– Kwaśne winogrona?

– Tak to widzę. Wujcio Adolf się wścieka, bo wojna go dopadła, więc próbuje się odgryźć.

– Właśnie, psiakrew! – zawtórował mu jakiś głos za plecami.

– Kwaśne winogrona – powtórzył ktoś inny. – Nic więcej, prawda? Właśnie tak: kwaśne winogrona.

Słowa „kwaśne winogrona” obieły stłoczonych ludzi. Zawsze tak się działo, kiedy spadały bomby: wszyscy się bali, kulili ze strachu i szukali pocieszenia, gdzie tylko się dało. Czasem zaczynali śpiewać, czasem obracali w ustach przypadkową frazę. Clive poczuł się przez moment dumny, że tym razem podchwycili – i to jak szybko! – jego słowa, ale zaraz o tym zapomniał. Wolał skupić się na młodej kobiecie, którą miał przed sobą. Doszedł właśnie do wniosku, że jest nie tyle

ładna, co po prostu piękna. Miała krótkie, ciemne włosy, wyraziste kości policzkowe, urocze, zielonoszare oczy.

– Tak się boję – powiedziała.

– Cśś, skarbie, wszystko będzie dobrze. Chodź, Clive cię przytuli. Chodź, nie bój się.

Wtuliła się w jego ramiona; czuł, jak drży pod cienką warstwą bawełny. Przycisnął ją mocno do siebie.

– Mój dom... – Znów pociągnęła nosem.

– Co się stało, maleńka?

– Nie ma go. Mojego domu już nie ma. Byłam na targu, kiedy usłyszałam syreny. Prawie zdążyłam wrócić, ale zobaczyłam, jak spada bomba... Widziałam ją... Jeszcze chwila i byłabym w środku...

– Cśś, maleńka. Wszystko będzie dobrze.

– Ale m-m-mój dom...

– Nie bój się. Rano wszystko będzie wyglądało inaczej. Uwierz Clive'owi.

– Ale... – Łkanie nie pozwoliło jej dokończyć zdania. Przełknęła, chrząknęła i zaczęła jeszcze raz:

– Ale gdzie ja... dziś... będę spała? Clive się uśmiechnął.

– Nie martw się, skarbie. U mnie jest mnóstwo miejsca.

Clive Everett mieszkał w Highgate, nieopodal skrzyżowania kilku ulic zwanego Pond Square. Wzdłuż południowej granicy trapezoidalnego placu stał szereg nowych domków – jeden z nich należał właśnie do niego. Od północy ciągnęły się większe i starsze gmachy z cegły, wśród nich także dwupiętrowy wiktoriański dom, w którym mieszkał Fritz Meissner.

Katarina stała w oknie sypialni Clive'a Everetta, wsłuchana w jego ciężkie pochrapywanie: uwiął się z seksem w rekordowo krótkim czasie, apotem szybciotko zasnął. Patrzyła na stojący po drugiej stronie placu wiktoriański dom.

Może Fritz jest właśnie tam, myślała.

Ale jeśli był, to miał liczne towarzystwo.

Przekonała się o tym poprzedniego dnia, kiedy znalazła to miejsce. Już po pół godzinie obserwacji stwierdziła, że przed domem regularnie zmieniają się wartownicy: dwóch przyjeżdża, dwóch odjeżdża. Pierwszą zmianę warty oglądała zaraz po przybyciu na Pond Square, a potem dwóch facetów spacerowało po okolicznych uliczkach, regularnie spotykając się przed wejściem do ceglanego gmachu. Byli z wywiadu wojskowego: poznała to po tym, jak nerwowo się rozglądają. I po tym, jak dowożono zmienników – samochodem, nie rowerem. Kogo oni chcieli oszukać?

Ją?

Czyżby zastawili pułapkę na Katarinę Heinrich? Czy może obserwowała właśnie fragment większej operacji, wymierzonej przeciw Abwehrze? Nie zdziwiłaby się, gdyby faktycznie tak było. Abwehra składała się z samych idiotów; Anglicy, mimo charakterystycznego zachowania i ostentacyjnego wożenia się samochodami, mogliby pewnie przekabacić całą niemiecką siatkę szpiegowską, a nikt u Canarisa by tego nie zauważył.

Nie ulegało w każdym razie wątpliwości, że musi poobserwować dom dłużej i dokładniej, niż było to możliwe z ulicy. Rozejrzawszy się po okolicy, szybko zwróciła uwagę na dandysa po czterdziestce, który mieszkał w domku naprzeciwko: Clive Everett, który w tej chwili chrapał donośnie, ubierał się elegancko, lubieżnie spoglądał na młode dziewczyny i najwidoczniej uważał się za seksualnego wyczynowca.

Bez trudu nawiązała z nim kontakt; kilka bomb, rzuconych w odpowiednim czasie przez jej rodaków, bardzo jej w tym pomogło.

Teraz przyszedł czas na podjęcie kilku decyzji. Przede wszystkim musiała się zastanowić, czy zabić Clive'a Everetta póki śpi.

Na jej czole pojawiła się pionowa zmarszczka.

Clive mówił, że pracuje na poczcie. W związku z tym należało przyjąć założenie, że jeśli nie przyjdzie do pracy, ktoś się tym zainteresuje. Ale czy to znaczy, że od razu przyjdą szukać w domu? Czy może raczej odczekają dzień czy dwa? Jeśli zaś nie zabije go od razu, jak długo uda jej się zostać w tym domu, zanim ją wyrzuci?

Wszystko jedno, czy była tam pułapka czy nie, czy czekał na nią Fritz, czy angielscy agenci – musiała się dostać do domu naprzeciwno. Przebyła pół świata, by przekazać komu trzeba tajemnice poznane w Los Alamos. Został jej ostatni etap, najkrótszy, ale i najtrudniejszy. Musiała jakoś zyskać dostęp do *klamotten* – AFU, walizkowego nadajnika radiowego, używanego w kontaktach z Hamburgiem, który to nadajnik prawdopodobnie znajdował się w budynku po drugiej stronie placu.

Ale czy na pewno?

Roilo się tam od angielskich agentów. Najwidoczniej Fritz został zdemaskowany, ale jeżeli prowadzili jakąś akcję wymierzoną przeciw Abwehrze, mogli mu zostawić radio. Może Fritz wysyłał regularne meldunki pod czujnym okiem MI-5. Katarina wiedziała doskonale, że styl nadawania morsem jest równie niepowtarzalny, jak odciski palców człowieka; jeżeli chcieli korzystać z kanałów Fritza, musieli zachować go przy życiu.

Istniała, oczywiście, szansa, że nie zgodził się na kolaborację i był już martwy. Tylko po co wtedy trzymać przed domem straż?

Żeby mnie złapać, doszła do wniosku. Przechwycili moje listy i wiedzieli, że wybieram się do Anglii.

Musiała się pogodzić z możliwością że właśnie pakuje się prosto w zasadzkę, nie widziała jednak innego wyjścia. W domu mógł się znajdować i Fritz, i radio – jeśli tak, to musiała się tam dostać. I całe MI-5 jej nie powstrzyma.

Nie spuszczała wzroku z ceglanej fasady; dom był ciemny i dziwnie pozbawiony życia. Ilu ludzi było w środku? Jaką mieli broń? Gdzie siedzieli? Jak się porozumiewali?

Jakaś część jej natury podpowiadała, że powinna natychmiast ruszyć do akcji: nocą zakraść się do wiktoriańskiej budowli, zabić wszystkich agentów, znaleźć Fritza i AFU. Przy okazji spaceru po placu odkryła kilka możliwych dróg wejściowych. Na tyłach domu znajdowało się zaokrąglone wykuszowe okno z ażurową balustradką; z lewej rósł stary, powykrzywiany dąb, którego gałęzie sięgały niemal dachu i okien drugiego piętra; no i zawsze zostawały drzwi frontowe – niebezpieczne, ale nie bardziej, niż całe to szalone przedsięwzięcie. Przez ostatnie kilka tygodni ryzykowała bez przerwy – z niezłym skutkiem. Ryzykant jest nieprzewidywalny.

Druga, mądrzejsza część Katariny sugerowała jednak, że dodatkowe dwadzieścia cztery godziny mogą ogromnie zwiększyć jej szanse; gdyby mogła przez cały dzień swobodnie obserwować dom naprzeciwno, dowiedziałyby się dość, by z nastaniem nocy wkroczyć do akcji.

Clive zachrapał głośno i Katarina odwróciła się od okna.

Wiedziała, że mu się podoba i przypuszczała, że pozwoli jej zostać do wieczora, zwłaszcza gdyby udawała należycie roztrzęsioną utratą domu.

Może będzie musiała jeszcze raz się z nim przespać... To bez znaczenia. Dwadzieścia cztery

godziny obserwacji będą bezcenne.

Znów wyjrzała przez okno. Fritz: tak blisko, i tak daleko zarazem.

Poradzę sobie z dziesięcioma, uznała. Może z dwunastoma. Jeżeli w tamtym domu jest mniej niż dwunastu ludzi, jutro w nocy wszyscy umrą.

Ministerstwo Wojny

– Nie ma siły, żeby wykiwała ośmiu moich ludzi – stwierdził stanowczo Taylor.

– Sam mnie ostrzegalesz, żebym jej nie lekceważył.

– Zgadza się. Dlatego wyznaczyłem ośmiu naszych najlepszych agentów do roboty, którą normalnie zleciłbym czterem. Dramatyzujesz, Harry, to do ciebie niepodobne. To pewnie wpływ MI-5.

– Nie dramatyzuję, po prostu jestem ostrożny.

– Ale nie myślisz zbyt realistycznie.

– Przypominam, że to ty mówiłeś, iż ta sprawa ma najwyższy priorytet.

– Naturalnie. To się nie zmieniło. Problem polega na tym, że machina MI-5 nie przestaje działać z dnia na dzień, kiedy przychodzi zawiadomienie o sprawie najwyższej wagi. Wojna na nikogo nie czeka.

– Jeżeli ona się nam wymknie...

– Jeżeli się nam wymknie, nie będziesz miał szansy odegrania bohatera. A przy okazji przegramy wojnę i przez następne tysiąc lat będziemy żreć kiszoną kapustę, zapijając sznapssem. Za bardzo kombinujesz, Harry. Spójrz na to tak: zrobiłeś już swoje, dzięki tobie mamy większe szanse złapać tę Heinrich. Powiem więcej: twoja pomoc okazała się bezcenna, a teraz możesz o niej spokojnie zapomnieć. Nauczyłeś się już wszystkich informacji, które masz przekazać podczas spotkania?

– Na razie nikt nie zaaranżował *treffu*. I o to mi właśnie...

– Kiedy przyjdzie co do czego, będziesz miał mało czasu. Posłuchaj mnie, staruszkule, i skup się na swojej robocie.

Winterbotham westchnął ciężko i odruchowo sięgnął po fajkę, ale nie znalazł jej w kieszeni kamizelki: na wieść o tym, że Ruth żyje, postanowił rzucić palenie. Picie zresztą też. A najdziwniejsze było to, że tej nocy spał jak zabity od zmierzchu do świtu – bez alkoholu i tytoniu, mimo huku bomb i wycia syren.

– Chcę tylko mieć pewność, że wszystko pójdzie dobrze – powiedział. – I że będę miał swoje pięć minut.

– Harry... Idź do domu. Popracuj nad książką szyfrów i zostaw nam Katarinę Heinrich.

Wbrew radzie Taylora Winterbotham pojechał prosto do Highgate.

Na rowerze.

Odkąd wybuchła wojna, dopiero czwarty raz wsiadł na rower – tego ranka czuł się jednak tak świeży i pełen energii, że nie potrafił oprzeć się pokusie. Czuł się tak, jak w czasie pierwszej wojny światowej, kiedy jako dwudziestopięcioletni chłopak przewoził rowerem meldunki z linii frontu do dowództwa i z powrotem; nogi pracowały coraz szybciej i szybciej, czerpiąc z pozornie niewyczerpanych zasobów sił.

Teraz był sporo starszy, ale czuł się jak czterdziesto-, może nawet trzydziestolatek. Jadąc pod górkę stawał na pedałach i z radością przyspieszał.

Jak tak dalej pójdzie, to może nawet schudnę, pomyślał i uśmiechnął się pod nosem. Czas najwyższy. Nie miał pojęcia, jak zdołał utrzymać swoją tuszę, żywiąc się tylko rzepą, ziemniakami

i rzadko trafiającym się mięsem.

Zanim dojechał na Pond Square, światło nabrało złocistej barwy. Okolica wyglądała wręcz sielankowo, gdyż nie spadły tu dotąd żadne bomby. Przez chwilę Winterbotham poczuł się głupio; przejechał taki szmat drogi, a wszystko wyglądało tak spokojnie i niewinnie. Przecież wziął sobie do serca uwagi Taylora, nieprawdaż? Jedna kobieta nie przechytrzy ośmiu wyszkolonych agentów wywiadu, choćby była nie wiedzieć jak dobra. Taylor się nie mylił: to musiał być wpływ MI-5.

Tym niemniej podjechał do drzwi frontowych wiktoriańskiego domu, zsiadł z roweru i dwukrotnie zastukał.

Otworzył mu Dickens – znajoma, krępa sylwetka, ta sama tweedowa marynarka, ta sama wypukłość pod pachą.

– Dzień dobry – powiedział Winterbotham. – Pamięta mnie pan?

– Jest pan kumplem Taylora – odparł Dickens, marszcząc brwi.

– Nie mówił wam, że przyjadę?

– Nie, nic takiego nie słyszałem.

– Ależ on potrafi być roztrzepany! Za dużo pije. Wpadłem, żeby pomóc wam przypilnować Meissnera. Spodziewa się ponoć odwiedzin, tak?

– Wszyscy się spodziewamy, ale jesteśmy przygotowani na...

– Może niech mnie pan lepiej wpuści do środka, Dickens. Tu tylko niepotrzebnie zwracamy na siebie uwagę.

Dickens nachmurzył się jeszcze bardziej, ale skinął krótko głową i przepuścił Winterbothama w drzwiach.

– Proszę pana... – zaczął, kiedy znaleźli się w sieni. – Powinienem chyba podkreślić, że jesteśmy...

– Macie tu ośmiu ludzi, Dickens?

– Tak jest, ośmiu ze mną włącznie.

– Gdzie?

– Dwóch na parterze – jeden od frontu, drugi na tyłach; czterech na pierwszym piętrze i dwóch na drugim, tak samo: z przodu i z tyłu.

– Meissner jest u siebie?

– Jak zawsze.

– Coś mi się widzi, że przydałaby się wam jeszcze jedna para oczu – zauważył Winterbotham. – Na zewnątrz, żeby obserwować teren.

– To należy do obowiązków ludzi z drugiego piętra.

– Doskonale, doskonale – mruknął Winterbotham. – Zanoszą się na to, że trochę sobie poczekamy, prawda, panie Dickens? Gra pan w szachy?

Clive Everett nigdy dotąd nie znalazł się w takiej sytuacji: w jego domu przebywała piękna kobieta, która wcale nie miała ochoty się wynieść.

Właśnie robiła obiad. Siedział przy kuchennym stole i patrzył, jak pod sukienką poruszają się jej zgrabne pośladki. Zapachy dolatujące z kuchenki całkiem przyjemnie drażniły nozdrza, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, jak mizernymi surowcami dysponowała. A w świetle dnia prezentowała się równie uroczo, co w półmroku tunelu metra. Właściwie miał ochotę zatrzymać ją u siebie przynajmniej przez kilka dni, ale o tym nie było nawet co marzyć: sąsiedzi zaraz zaczęliby gadać. W dodatku nie miała chyba własnych kartek żywnościowych; w każdym razie nic o nich nie

wspominała. Czasy były trudne i Clive nie mógł sobie pozwolić na filantropię. Nawet w zamian za najwspanialsze doznania seksualne.

Poza tym paliła, a dym z papierosa działał mu na nerwy.

Zebrał się na odwagę.

– Catherine... – zagadnął.

– Tak?

Stała schylona nad deską i siekała cebulę. Nóż w jej ręku śmigał błyskawicznie, gdy kroїła warzywa w kostkę. Może wcześniej była gdzieś kucharką, przeszło mu przez myśl. Powiedziała, że straciła męża na wojnie, ale żadna z jego przelotnych znajomych nie mówiła więcej o sprawach osobistych.

– Pamiętam, co powiedziałaś: że nie wyobrażasz sobie jeszcze powrotu do domu – zaczął Clive.

– Rozumiem cię, doskonale cię rozumiem. Zastanawiam się tylko...

Zawiesił głos, mając nadzieję, że dokończy to zdanie za niego.

– Nad czym? – Odłożyła nóż, żeby spokojnie zaciągnąć się papierosem.

– Eee... Tak się zastanawiam... Jak ci się wydaje, kiedy dasz radę się tam przejść i zorientować w rozmiarach zniszczeń? No bo chodzi mi o to...

– Może jutro. Jeśli się zbiorę, to może jutro.

– Ach tak... Widzisz, kłopot w tym, że... Udało ci się coś uratować z domu? Cokolwiek?

– Cholera! – zakłęła Catherine, gdy popiół z papierosa spadł jej na sukienkę. Strzepnęła go palcami.

– Na przykład kartki na żywność? Mówiłaś, że wyszłaś na targ... Odwróciła się od stołu i uśmiechnęła do Clive'a.

– Tak się wystraszyłam... Nie mam pojęcia, co się z nimi stało.

– Ależ tak, tak, naturalnie... Nie o to mi chodziło. Widzisz, Catherine, przykro mi, że to mówię, ale żyjemy w ciężkich czasach. Szczególnie trudno jest...

– Clive? – przerwała mu.

– Tak?

– Chcesz, żebym sobie poszła?

– Nie, Boże! Oczywiście, że nie. To znaczy, prawdę mówiąc, tak szczerze... No, chciałbym z grubsza wiedzieć, tak w przybliżeniu, kiedy...

Ruszyła w jego stronę z nożem w jednej i papierosem w drugiej ręce. Nie przestawała się uśmiechać.

– Catherine... – Wstał i odpowiedział jej uśmiechem. – Jesteś śliczną dziewczyną, ale czasy są naprawdę trudne, kotku. Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę.

– Oczywiście – przytaknęła. – I nie chcę być dla ciebie ciężarem.

– Nie chcę, żebyś odeszła, Catherine. W żadnym wypadku. Byłem tylko ciekaw, czy masz jakiś pomysł, kiedy może... to znaczy, jak sądzisz, że kiedy będziesz mogła...

Podeszła jeszcze bliżej, chcąc go pocałować. Odsunął się, gdyby zgodził się na ten pocałunek, straciłby resztki silnej woli. A w tak ciężkich czasach nie można sobie na to pozwolić. Właśnie, w ciężkich czasach. Jakkolwiek by patrzeć, wyświadczył jej przecież przysługę: zabrał ją do siebie, bo nie miała gdzie spać, ofiarował jej ciepłe łóżko, swoje towarzystwo... Ale nie mógł sprawy przeciągać. Gdyby zaś dał się jej pocałować...

– Clive... – wymruczała.

– Proszę cię, Catherine. Nie mogę...

– Odejdę jeszcze dziś.

– Dziś?

– Tak, dziś wieczorem – przytaknęła i wbiła mu nóż między czwarte i piąte żebro, prosto w serce.

Winterbotham obudził się nagle.

Usiadł gwałtownie i szachownica spadła mu z kolan. Figury rozsypały się po podłodze.

Nie od razu zorientował się, co wyrwało go ze snu. W domu było ciemno, przespał cały wieczór.

Nieźle, co? Po trzech latach koszmarnej bezsenności, teraz zasypiał przy każdej okazji. Jeżeli pamięć go nie myliła, tym razem zdarzyło mu się to w samym środku partyjki szachów. Dickens okazał się znacznie lepszym graczem, niż mu się z początku wydawało. A właśnie, gdzie on się podział? Bo to dlatego się obudził: Dickens gdzieś wyszedł. Tylko dokąd? Otworzyć komuś drzwi? Tak, ktoś pukał. A teraz...

Dickens wrócił do pokoju z latarką w ręce. Niechcący mignął nią Winterbothamowi w oczy i na chwilę go oślepił.

– Zgaście to, psiakrew! – zaklął Winterbotham.

– Przepraszam pana. – Światło się przesunęło.

– Ktoś pukał?

– Jedna z tych pielęgniarek-wolontariuszek.

– Wolontariuszek?

– Szukała kawałka czystego płótna. Podobno spodziewają się dziś w nocy nalotu.

– Hmm...

Winterbotham zamrugał, próbując się rozbudzić. Przypomniawszy sobie, że figury szachowe spadły na podłogę. Uklęknął więc – z większym trudem niż niegdyś, bo stęknął ciężko – i zaczął szukać ich po omacku.

– Może panu poświecić?

– A nie lepiej byłoby włączyć światło i zaciągnąć story w oknach?

– Przykro mi, proszę pana. To rozkaz Taylora.

– Szlag by go trafił! Dlaczego uważacie, że ciemność sprzyjałaby wam, a nie jej?

Dickens nie odpowiedział, a Winterbotham nie naciskał dłużej; zdawał sobie sprawę, że zrzędzi, bo jeszcze się całkiem nie obudził. Namacał resztę figur, schował je do pudełka i wstał. Ziewnął rozziewając.

– Która godzina? – zapytał.

– Parę minut po dziesiątej.

– Trochę się zdrzemnąłem.

– Może po prostu wróci pan teraz do domu? Poradzimy sobie.

Winterbotham czuł nieprzepartą pokusę, by posłuchać Dickensa. Jego ludzie byli od niego o połowę młodszy i zasypiali dopiero w łóżkach, po służbie. Poza tym byli uzbrojeni, wyszkoleni i gotowi do akcji. Na co zda im się stary profesor, nawet gdyby ta kobieta się pokazała? Pewnie tylko by przeszkadzał. Poza tym w domu miał co jeść: kawał rzepy i pół wołowej galaretki, którą chował na specjalną okazję. Przestał pić i palić, więc mógł sobie przynajmniej pozwolić na w miarę przyzwoity posiłek.

– Na pewno dacie sobie radę beze mnie?

- Nie ma obawy.
- Skoro tak, Dickens...
- Może pan być spokojny.
- No dobrze. Zajrzę do was z samego rana.
- Mam służbę do południa.
- I dzięki za grę, Dickens. Świetnie rozgrywa pan otwarcie.
- Cała przyjemność po mojej stronie.
- Może następnym razem uda nam się zagrać całą partię.
- Mam nadzieję.
- Dobranoc panu.

Winterbotham wziął szachownicę pod pachę i wyszedł.

Katarina patrzyła, jak starszawy grubasek wychodzi z wiktoriańskiego budynku.

Wróciła do domu Clive'a i obserwowała plac z okna. Była naga: właśnie się przebierała, gdy jej uwagę zwrócił wychodzący mężczyzna. Miała szczęście – o jednego mniej.

Po całodniowej obserwacji miała właściwie pewność, że w domu przebywa od siedmiu do dziesięciu ludzi; teraz jeden z nich wyszedł. Drzewa zasłaniały jej trochę widok z okna, ale zmieniając kilkakrotnie punkt obserwacji zdołała wyciągnąć pewne wnioski. Na parterze kręciło się dwóch strażników – trzech, jeśli liczyć tego grubego; przed chwilą sama się o tym przekonała, kiedy zastukała do drzwi. Na piętrze siedziało co najmniej trzech ludzi, w tym dwóch niskich i krępych. Jeden z nich miał brodę, drugim zaś mógł być sam Fritz, ale nie miała pewności.

I jeszcze dwóch na drugim piętrze – co do tego nie było cienia wątpliwości. Wypatrywali jej: regularnie wyglądali przez okna. W ich żargonie „obserwowali teren”; sęk w tym, że obserwując teren tak starannie, zdradzali własne pozycje.

Ten, który jej otworzył, był uzbrojony (w kaburze pod pachą nosił rewolwer), musiała więc przyjąć, że wszyscy mają broń. Ale skoro podchodząc do drzwi, nie wyjął rewolweru z kabury, widocznie nie bardzo się przejmowali swoim zadaniem.

Trochę się denerwowała.

Odprowadziła wzrokiem grubasa na rowerze i wróciła do przebierania się. Założyła ubranie Clive'a – workowate, co jej odpowiadało, i czarne, co odpowiadało jej jeszcze bardziej. Nie brała ze sobą nic oprócz dwóch noży, po jednym w każdej ręce. Ukryła je w rękawach rękawicami do przodu.

Dwa noże kuchenne – jednym z nich zabiła Clive'a Everetta – źle wyważone i nie najlepsze do jej celów, chociaż w ciągu dnia przynajmniej porządnie naostrzyła. Uznała, że wystarczą, pod warunkiem, że będzie celnie uderzać. Miała wyjątkowo mały margines błędu.

Wokół talii owinęła sobie spory kawałek sznurka do bielizny, zabranego z podwórka na tyłach domu. Nie był tak ciemny, jak by chciała, ale przynajmniej cienki i z wyglądu całkiem mocny. Doskonale nada się na potykacz rozciągnięty w poprzek schodów, które przed chwilą widziała, kiedy pytała tego przy drzwiach o czyste prześcieradła.

Dlaczego tak się denerwowała? Było ich niespełna dziesięciu, więc nie powinno być problemów.

Panika to twój najgorszy wróg, powtarzał Hagen.

Poświęciła chwilę na zapanowanie nad nerwami i wyrównanie oddechu. Wkrótce miała ryzykować własnym życiem, ale zdarzało się jej to już w przeszłości; bywała w gorszych tarapatkach,

choć tylko w czasie ćwiczeń. Nie było powodu, żeby teraz coś poszło nie tak. Dopóki nie wpadnie w panikę.

Nagle przypomniała sobie sen, który dręczył ją poprzedniej nocy. Ten sam, co zwykle, z drobnymi zmianami. Fritz był jej wrogiem: miał na sobie mundur lotnika RAF-u i żuł churchillowskie cygaro. Clive dobierał się do niej, a krew płynęła mu z uszu i oczu. Hagen stał niewzruszony i wykrzykiwał rozkazy; opaska ze swastyką na jego ramieniu lśniła nowością. No i niezawodna szubienica – poskrzypywała na wietrze, kiwała się zapraszająco...

Katarina odsunęła od siebie te obrazy. Czas rozmyślań się skończył; nadszedł czas działania.

Za Vaterland.

Rozdział 7

Zapukała dwa razy. Nerwy znów dawały znać o sobie: chciały ją osłabić, stępić czujność... Nic z tego. Drzwi się otwierały.

Wysunęła nóż z rękawa i obróciła go w dłoni, ostrze pojawiło się w jej prawej ręce niczym za sprawą magicznej sztuczki.

Mężczyzna trzymał w ręku rewolwer, ale nie miało to wielkiego znaczenia, bo i tak zareagował za późno. Nóż prześliznął mu się po gardle, wycinając w nim głęboką szramę. Krew trysnęła Katarinie na twarz.

Padła na ziemię i przetoczyła się w lewo, do przodu, w ciemność. Na parterze był jeszcze jeden, pilnował tylnej części domu. – Pierwszego zabiła bezszelestnie. Stojący nad nią Dickens chwiał się na nogach, nie rozumiejąc, że już nie żyje. Szybko rozważyła dalsze możliwości działania. Nie wiedzieli jeszcze, że przyszła; ten pierwszy ledwie zagulgotał, nikt nic nie słyszał. Co jednak powinna teraz zrobić: szybko przeszukać dom, zachować absolutną ciszę, czy ukryć się w mroku? Postanowiła zaryzykować lekki hałas, podniosła się z ziemi, złapała Dickensa wpół i wciągnęła go do środka. Położyła ciało na prawo od wejścia i delikatnie pchnęła drzwi stopą.

Snop światła przeciął ciemność: ktoś szedł w stronę wejścia. Z latarką.

– Ed? – rozległ się męski głos.

Głos i światło dobiegały z półotwartych drzwi, prowadzących na tyły domu. Katarina cofnęła się, usunęła w lewo, schodząc z drogi właścicielowi latarki. Uderzyła o coś plecami, ale poruszała się cały czas tak cicho i gładko, że w chwili, gdy światło padło na potrącony przez nią mebel, znajdowała się już za plecami człowieka z latarką. Krew Dickensa ściekała jej do oczu, więc zamrugowała wściekle, żeby nie dać się oślepić. Zapowiadał się kolejny łatwy cios, tak jak przy drzwiach, tyle że od tyłu. Pozostawało tylko pytanie: w żebra czy w gardło? Wolałaby w żebra, ale...

Odwrócił się i snop światła padł na ostrze noża.

Zamiast sięgnąć po broń, rzucił się na nią i złapał ją za rękę, w której trzymała nóż. Katarina zakłęta w duchu, dała mu się chwycić i trzymanym w drugiej ręce nożem uderzyła go prosto w ucho. Nie trafiła, gdyż zrobił unik. Latarka wypadła mu z ręki i odtoczyła się w bok. Za chwilę obójce padli na podłogę, spleceni w uścisku. Psiakrew! Tego jeszcze brakowało, zgubiła nóż, a mężczyzna całym ciężarem przygniatał ją do podłogi, był ciężki, oddychał z trudem, ale mocno uderzył ją pięścią w skroń. Popęłniła błąd: zawahała się. Teraz traciła najcenniejsze chwile; zamiast się z nim bić, powinna właśnie rozciągać sznurek w poprzek schodów. Znów ją uderzył, tym razem mocniej, jej własna krew zmieszała się z krwią mężczyzny, który zginął przy drzwiach.

Panikujesz, zbesztala się w duchu.

I wyłączyła świadome myśli, pozwalając, by wsparty szkoleniem instynkt przejął władzę nad ciałem. Przeciwnik był od niej cięższy o dobre pięćdziesiąt kilogramów, straciła oba noże, a krew zalewała jej oczy. W dodatku narobili hałasu i jej szanse na przeszukanie domu zmalały tysiąckrotnie. Lecz wszystko to nie miało znaczenia.

Panika to twój najgorszy wróg.

Mężczyzna przyciskał ją lewą ręką do podłogi, prawą zaś wznosił właśnie do kolejnego ciosu. Katarina odczekała, aż jego pięść zacznie spadać, a potem zrobiła blok, uderzając go od wewnątrz w łokieć, tak jak uczył ją Hagen. Zbiła jego rękę w bok, tak że z donośnym chrzęstem wyrznął dłoń w ziemię. Potem udała, że próbuje się spod niego wyśliznąć, a gdy przeniósł cały ciężar ciała na lewą rękę, żeby nie dać się jej wymknąć, zapomniał na moment o własnej równowadze.

To był jego ostatni błąd w życiu.

Trzy błyskawiczne ciosy wylądowały kolejno na jego gardle, nosie i skroni. Z jękiem zsunął się w bok i leżał bez ruchu na podłodze, gdy Katarina chwyciła latarkę, znalazła jeden z noży i dokończyła dzieła.

Wyłączyła latarkę.

Dyszała ciężko. Hałas na pewno zwabi resztę.

Daj sobie spokój, pomyślała. Odpuść.

Nie ma mowy: teraz albo nigdy.

Czterema długimi krokami zbliżyła się do schodów. Zaczęła rozwiązywać sznurek opleciony wokół talii. Na obu końcach zawczasu zawiązała samozaciskowe węzły, wystarczyło więc teraz założyć je po omacku najwyżej jak sięgała rękami – na wysokości szóstego stopnia od dołu – i umocować do barierki.

U szczytu schodów mignęła latarka. Katarina usunęła się w mrok, znalazła świeżego trupa i przeszukawszy go, wyjęła mu rewolwer z kabury na piersi. Wzięła go do prawej ręki – nóż przełożyła do lewej – i kciukiem odbezpieczyła.

Kroki na schodach: dwóch ludzi, w milczeniu. Byli ostrożni.

Niezdalnie z planem, pomyślała chłodno, spokojnie. Niezdalnie z planem, ale sobie poradzimy.

Pierwszy z mężczyzn potknął się o sznurek i z krzykiem spadł ze schodów. Katarina opróżniła magazynek, omiatając rewolwerem całe schody, z góry na dół. W błyskach ognia z lufy widziała, jak człowiek na schodach podryguje w dziwacznym tańcu. Dostał dwa razy – w pierś i w rękę, co powinno wystarczyć. Drugi, zwinięty na podłodze do góry nogami, przetoczył się i sięgnął po broń. Kula roztrzaskała mu czaszkę i rozbryznęła jego mózg na drzwiach wejściowych.

Katarina jednym skokiem znalazła się przy schodach.

Jeszcze co najmniej trzech. Nie mogła na nich czekać – musiała przejąć inicjatywę. Najbardziej wystawiona na strzał będzie na schodach; powinna była je pokonać, zanim ktokolwiek się dowiedział, że w ogóle tu jest. Trudno; stanęła na pierwszym stopniu, przeszła nad śliskim od krwi ciałem, wyminęła drugiego mężczyznę – jeszcze się poruszał, charcząc ciężko, ale uznała, że później się nim zajmie – i, dzięki Bogu, schody się skończyły. Na piętrze też panowała ciemność.

Rwało ją w boku, ale podejrzewała, że złapał ją skurcz, bo raczej nie została trafiona. Oparła się o ścianę, zmusiła do uspokojenia oddechu. Gdzieś w ciemności czekali następni...

Są.

Cichutki dźwięk: metr przed nią, trochę z boku.

Rzuciła rewolwer z pustym magazynkiem w głąb korytarza.

Rozległ się szcęk i mężczyzna zaczął strzelać – a właściwie, jak stwierdziła, mężczyźni, bo było ich dwóch, zaczęli strzelać. Oddali łącznie osiem strzałów, ona zaś przez ten czas podkraśniała się do bliższego z nich, ustawiając się tak, by znalazł się między nią a tym drugim. Ludzka tarcza.

Cholera! Sprawy nie wyglądały najlepiej, zwłaszcza jeśli pozostała dwójka zbiegała z góry, ale nie miała przecież wyboru. Nie mogła się już wycofać.

Trzymała się blisko niego, tak jak uczył ją Hagen, tak jak wbijał jej to do głowy, prawie w zwarciu, żeby nie mógł użyć broni. Całe jej ciało poruszało się w idealnej harmonii. Wolną rękę przycisnęła do piersi, żeby nie narażać się na przypadkowy chwyt. Zrobiła unik, klasyczny manewr w walce na noże, upozorowała lukę w obronie i wykonała płynne, okrężne pchnięcie. Poczula, jak jego ręka blokuje cios, ale pchnęła mocniej, a kiedy zbił jej dłoń, przecięła mu ścięgno w barku. Zawył z bólu. Rozcięła mu tętnicę ramieniową, a potem zadała sześć szybkich ciosów w twarz, krtań i głowę. Odsunęła się, gdy padał na podłogę i stanęła przed kolejnym problemem, tym razem poważniejszym. Naprzeciwko niej stał uzbrojony człowiek, a jej ludzka tarcza właśnie runęła na ziemię. Celował do niej, nic ich nie dzieliło...

Gdzieś blisko otworzyły się drzwi; drewno wyrznęło głucho w ludzkie ciało.

Fritz.

– Fritz! – krzyknęła.

– Katarina?

– *Riickzug!*

Usłyszała, jak drzwi się zamykają, ale przed oczyma wciąż majaczyły jej tylko powidoki rewolwerowych błysków. Oparła się plecami o ścianę i ruszyła korytarzem przed siebie, aż natknęła się na coś ciepłego na podłodze: mężczyznę, którego Fritz uderzył drzwiami. Żył jeszcze. Oddychał. Uklękała przy nim i obmacała jego pierś.

– Niech cię diabli! – powiedział. – Ciebie i twojego...

Wbiła mu nóż między czwarte i piąte żebro i obróciła ostrze. Wstała. Zakręciło się jej w głowie. Ilu jeszcze? Dwóch, odpowiedziała sobie w myślach. Dwóch na drugim piętrze. Na co oni tam czekają? Powinni dawno zejść, tchórze...

Nagle przypomniała sobie rosnące przy domu drzewo. Mogli po nim zejść, obejść dom dookoła i zaskoczyć ją z parteru.

Wymacując przed sobą drogę, wróciła do schodów i stanęła z boku.

Minęły trzy minuty.

Dom pograżył się w okropnej ciszy. Katarina czuła, jak krew pulsuje jej w tętnicy na szyi, na nadgarstku. Czy oni nigdy nie zjedną na dół? Tchórze! A może właśnie złażą po drzewie, uchylają drzwi od frontu, wchodzi na schody... Wyteżyła słuch. Może powinna dać sobie z nimi spokój, porwać Fritza i brać nogi za pas. Ale nie: AFU jest na górze, a ona go potrzebuje. Musi więc wdrapać się po ciemku na schody i zabrać nadajnik.

To samobójstwo.

Cofnęła się do najbliższego trupa i obszukała go, ale nie znalazła rewolweru. No tak: przecież strzelał, kiedy rzuciła broń na podłogę w korytarzu. Ręce też miał puste – widocznie upuścił go, kiedy Fritz uderzył go drzwiami. Wreszcie znalazła rewolwer leżący kawałek dalej w kałuży krwi. Ile zostało w nim nabożów? Złamała go i pomacała: trzy.

Znów zamarła, nasłuchując. Czy tamci dwaj wciąż siedzieli na górze? Schodzili? A może już zeszli... Czy w takim razie szli już na górę?

Nie mogła czekać całą noc.

Podeszła do drzwi, mówiąc:

– Fritz, to ja. Wchodzę.

Czas nie był dla Fritza łaskawy.

Widziała go w smudze księżycowego światła: blada, wymizerowana twarz, przerzedzone włosy, małe, przerażone oczka.

– Katarino – powiedział zaleknionym głosem. – Przyszłaś po mnie.

Minęła go bez słowa i wyjrzała przez okno: dolną część dębu widziała stąd jak na dłoni – niestety, bez śladu agentów MI-5 na gałęziach drzewa. Cofnęła się i rozejrzała po pokoju. Improwizuj, upomniała samą siebie. Jakiś odblask światła przyciągnął jej wzrok: butelka wódki, prawie pusta. Wzięła ją do ręki.

– Katarina... – odezwał się znów Fritz. – Tak myślałem, że to na ciebie czekają. Modliłem się. Ale nigdy bym...

– Zamknij się – syknęła.

Wyszła z pokoju i zbliżyła się do schodów prowadzących na parter. Weszła w kałużę krwi, pośliznęła się, ale zaraz złapała równowagę, po czym na ostatnim stopniu rozbiła butelkę. Niech no teraz spróbują ją zaskoczyć, jeśli faktycznie taki mieli zamiar. Niech tylko spróbują.

Wróciła do sypialni Fritza, który od razu w progu ujął ją za ramiona.

– Tęskniłem za tobą – powiedział i nachylił się, żeby ją pocałować. Śmierdział wódką i tytoniem.

– Na miłość boską! – Odepchnęła go. – Nie dotykaj mnie! *Verrat!* Pokręcił głową.

– *Ich bin ein Gefangener.*

– Ty zdrajco!

– Nie, Katarino, to nie tak. Ja naprawdę nie miałem wyboru.

– Gdzie sprzęt? Masz go tutaj?

– Nie, jest na górze, na poddaszu. Zmusili mnie, żebym...

Coś zachrząściło na korytarzu. Katarina mocnym pchnięciem otworzyła drzwi, podniosła rewolwer na wysokość piersi, wymierzyła w stronę schodów i nacisnęła spust. Pierwsza kula poszła górą: agent przykucnął na stopniach. Drugi pocisk trafił go w gardło. W błysku wybuchającego prochu Katarina dostrzegła jeszcze fontannę krwi, a potem zapadła ciemność. Coś kapało miękko na podłogę.

Został jeszcze jeden. Na górze?

Odwróciła się do Fritza.

– Pokaż mi, gdzie to jest – rozkazała mu.

– Na górze...

– Pokaż mi.

Fritz wyszedł z pokoju i się zawahał.

– Czekaj ananas.

– Nie, wszyscy już są martwi. Pospiesz się!

Wyczuła, że ruszył w kierunku wąskich schodów na drugie piętro. Szła tuż za nim. Kiedy wszedł na schody, trzymała się dwa stopnie z tyłu. W bębenku została jej jedna kula. Z rewolwerem w prawej ręce, obróciła trzymany w lewej nóż, ujmując czubek ostrza między kciuk i palec wskazujący. Przygotowała się do rzutu. Nóż był może źle wyważony, ale innego nie miała. Fritz

wszedł już na czwarty stopień, na piąty... Jego głowa znalazła się już chyba nad poziomem podłogi poddasza...

Padł strzał.

Fritz zatoczył się do tyłu i zaczął osuwać się na nią, ale pchnęła go brutalnie do przodu. Rozległy się dalsze dwa strzały. Jego ciałem szarpnęło dwukrotnie.

Prześliznęła się pod padającym Fritzem, obróciła, namierzyła cel, strzeliła. W tej samej chwili jej lewa ręka zatoczyła łuk i nóż ze świstem pomknął w ślad za kulą. Z głuchym chrzęstem wbił się w pierś ostatniego strażnika.

Fritz zacharczał.

Spojrzała obojętnie w jego stronę.

Zmiękł. I zdradził.

Odczekała jednak te kilka chwil, aż jego ciało do reszty znieruchomiało, i dopiero wtedy weszła na górę. Czowała, że jest mu to winna. Przez wzgląd na dawne czasy.

Ministerstwo Wojny

Taylor umilkł, zawahał się, a potem zapalił trzymanego w ręce papierosa. Światło zimnego poranka wpadało do pokoju przez okno za jego plecami. Dym zdawał się w nim zamarać.

– Jak daleko może uciec? – zapytał natychmiast Winterbotham.

– Pewnie już uciekła dalej, niż powinna – odparł zatroskany Taylor. – Ale szczęście przestanie jej sprzyjać. Chłopcy z kryminalnej chodzą od drzwi do drzwi, na wszystkich drogach wylotowych z miasta stoją policyjne blokady, nasi ludzie obserwują wszystkie dworce kolejowe w Londynie.

– Rozmawialiście z sąsiadami?

– Nikt nic nie widział, co chyba jest oczywiste. Nie zdobyliśmy jej aktualnego rysopisu, odkąd wyjechała z Los Alamos. OSS stara się ściągnąć jakieś jej zdjęcie z Nowego Jorku.

– Andrew... – Winterbotham oparł łokcie na biurku. – Byłem tam wczoraj. I pewnie jako ostami widziałem tych chłopców żywych. – Zawahał się. – Tuż przed tym, jak wyszedłem, do drzwi zapukała jakaś kobieta.

– Widziałeś ją? – Taylor się ożywił.

– Nie.

– To może słyszałeś?

– Nie, ale Dickens powiedział, że wolontariuszka przyszła zapytać, czy nie mają czystych prześcieradeł.

– Do wszystkich diabłów! To ona.

Zadzwoił telefon. Taylor odebrał go, chwilę słuchał, a potem zaklął i odłożył słuchawkę.

– Kryminalni znaleźli trupa w mieszkaniu po drugiej stronie placu. Mężczyznę. Zasztyletowanego. Winterbotham bez słowa skinął głową.

– Może uda nam się odtworzyć drogę, którą przebyła – myślał głośno Taylor. – Dowiemy się, gdzie go spotkała, jak tam trafiła... – Zgasił papierosa. – Rozumiesz, Harry, że to oznacza koniec twojej misji. Przynajmniej na razie. Po tym jak widziała Meissnera pod naszą opieką, stawka w grze wzrosła. Na pewno wyrobiła sobie jakieś pojęcie na temat tego, co tu kombinujemy.

Jeżeli nawiąże łączność... „Podwójny agent” jest nam absolutnie niezbędny, Harry. Zaczęliśmy już przygotowywać inwazję. Cały plan opiera się na tym, że uda nam się wyprowadzić Niemców w pole.

– Czyli nie mam co liczyć na to, że wejdę do akcji.

– Dopóki ona jest na wolności, nie. Ostrzegałem cię, że może tak być. Winterbotham się zamyślił.

– A jak Heinrich przekaze swoje informacje do Niemiec? – zapytał po chwili.

– Musi je zawieźć osobiście. Jasne, mogłaby próbować je przesłać przez radio, ale nie zrobi tego, jeśli jest sprytna. A wiemy, że jest. Wie, że jeżeli za długo będzie w eterze, namierzemy ją. Nie, na pewno nie będzie chciała przekazać w ten sposób wszystkiego, co ma. Nada krótki komunikat i umówi się z nimi na spotkanie.

– Złamaliście ich szyfry, prawda? Nie moglibyście przechwycić jej sygnału i poznać szczegółów tego spotkania?

– Możliwe, że nam się uda, ale nie zapominaj, Harry, o jednym: od dziesięciu lat nie miała kontaktu z Abwehrą. Nie wiemy, jakiego szyfru używa, ale może się okazać, że nie mamy o nim zielonego pojęcia.

– A jak będą organizować takie spotkanie? U-Boot po nią przyplynie?

– Przyplynie U-Boot albo przyleci hydroplan – przytaknął Taylor. – Mogłaby jeszcze próbować przedostać się do siebie przez jakiś kraj neutralny, ale wątpię, żeby chciała tak zwlekać.

– Dużo okrętów podwodnych kręci się u naszych wybrzeży?

– Pewnie że nie! Królewska marynarka wojenna patroluje nasze wody terytorialne.

– Właśnie. Gdybym zatem ja miał umówić *treff*, i ona też... W oczach Taylora pojawił się nagły przebłysk zrozumienia.

– Dobry Boże... – wyszeptał.

– Mogłoby się okazać, że mamy się spotkać w tym samym miejscu.

– Dobry Boże...

– Za dwa dni Schroeder prześle do Hamburga próbkę moich informacji, Andrew. Jeżeli uznają, że wszystko gra, zorganizują spotkanie. W tym samym miejscu i o tej samej godzinie znajdziecie Katarinę Heinrich.

– To możliwe – zgodził się Taylor. – Tak, całkiem możliwe.

– Powiedziałbym nawet, że prawdopodobne.

– Dobry Boże – powtórzył jeszcze raz Taylor i podniósł słuchawkę telefonu.

Rozdział 8

Bendlerstrasse, Berlin Czerwiec 1943

Hitler miał zwyczaj przechadzać się, mówiąc. Im bardziej angażował się emocjonalnie w to, co chciał powiedzieć, tym szybciej się poruszał. Teraz też kręcił się po gabinecie Canarisa w takim tempie, jakby odbijał się od ścian. Mówił równie szybko i gwałtownie; drobinki śliny leciały mu z ust; gestykulował obiema rękami z takim ożywieniem, że człowiek zaczynał się zastanawiać, jakim cudem szary mundur jest w stanie utrzymać w ryzach ten wulkan energii.

– Genewa! – wykrzykiwał szyderczo Hitler. – Genewa! Jęki słabeuszy. Żydowskie sztuczki. Genewa, też coś! Co nas obchodzi Genewa? Nie damy sobie związać rąk!

Obserwujący go w milczeniu Hagen pokiwał głową. Bez zastrzeżeń zgadzał się ze ściśle tajnym rozkazem *Führera* wydanym w 1942 roku, zgodnie z którym wszystkich złapanych angielskich i amerykańskich komandosów należało bez procesu rozstrzeliwać. „W żadnym wypadku nie powinni spodziewać się traktowania zgodnego z Konwencją Genewską”, stwierdzał rozkaz.

Przed Hagenem Hitler nie musiał się usprawiedliwiać: wojna to wojna, a zwycięstwo to cel, który uświęca środki. Jednakże kilku innych ludzi, znajdujących się w tej chwili w gabinecie – przede wszystkim ten zdrajca Canaris – to byli słabeusze, których wojna napełniała poczuciem winy. Hitler postanowił na początek wygłosić umoralniającą przemowę, lecz Hagen czuł, że wkrótce ujawni im prawdziwy cel swojej wizyty. A o ile Hagen wiedział, *Führer* przybył tu na rozmowę o szpiegach i zbliżającej się alianckiej inwazji. Mały austriacki kapral nie byłby jednak sobą, gdyby przepuścił taką okazję.

Strzelał słowami jak z karabinu wprost do stojącego za biurkiem Canarisa. Poza nimi w pokoju znajdowało się jeszcze dwóch ludzi: von Hassel, który siedział na skórzanej kanapie i udawał znudzonego, jakby słowa Hitlera w najmniejszym nawet stopniu nie odnosiły się do niego, oraz marszałek polowy Hermann Goering, który, zamyślony, wyglądał przez okno.

Führerowi piana niemal wystąpiła na usta; jego głos robił się z każdą chwilą coraz bardziej chrapliwy:

– Musimy mieć odwagę, męstwo, odporność i siłę, by bez litości zadać cios! – Każde słowo podkreślał uderzeniem pięści w otwartą dłoń. – Nie wolno nam zwątpić we własne siły! Nie możemy tchórzyc! Nie możemy się cofać! I nie wolno nam wierzyć w kłamstwa naszych wrogów! Canaris ze znużeniem kiwał głową.

– Za tysiąc lat Niemcy nas ocenią – ciągnął Hitler. – Ocenią to, jak zachowaliśmy się w tych najczarniejszych dniach i zobaczą, że sienie ugięliśmy! Walki o Stalingrad to nasz najlepszy czas; tam właśnie zatriumfujemy, zmierzywszy się z przeciwnościami losu! Nie wolno nam teraz zawieść!

Musimy bez wahania wykorzystać nasze wszystkie atuty!

Kiedy mówił, ręce trzepotały mu dziko, jak spłoszone ptaki, aż Hagen zaczął się zastanawiać, czy z *Führerem* na pewno wszystko jest w porządku. Żył w potwornym napięciu, to oczywiste – nie tylko za sprawą wrogów, ale i podkomendnych: wielu jego generałów i popleczników czyhało na dogodny moment, żeby przejąć władzę. Ale on do tego właśnie dążył: chciał posiać niezgodę wśród swoich ludzi. Dopóki skakali sobie do gardeł, miał pewność, że żaden za bardzo nie urośnie w siłę.

Jednakże gorączkowe ruchy rąk zdradzały coś więcej, niż zwykłe napięcie – zdradzały poważne kłopoty nerwowe. Hitler był chory; to nie ulegało wątpliwości.

– Alianci niedługo dokonają inwazji! – krzyczał. – Dobrze, niech lądują! Niech przybędą tu na własną zgubę! Kiedy ich rozbijemy, nikt już nie stanie nam na drodze! Nikt się nie odważy!

Hagen czuł, że te słowa trafiają mu do serca – był przecież patriotą.

– Nigdy ich stopa nie postanie na europejskiej ziemi! – grzmiał dalej *Führer*. – Urządzimy im krwawą łaźnię na plażach! Utopimy ich w morzu! Poślemy ich na dno!

– *Heil* Hitler! – ryknął Hagen.

– *Heil* Hitler! – zawtórowali mu von Hassel i Goering.

– *Mein Führer* – rzekł spokojnie Canaris – niewykluczone, że wobec spodziewanych znacznych rozmiarów armii inwazyjnej taki optymizm nie jest uzasadniony.

– Znacznych rozmiarów? – powtórzył Hitler. – Tysiąc amerykańskich psów nie dorównuje jednemu niemieckiemu żołnierzowi! To amerykańskie i żydowskie pionki! Żydowskie pionki, ot co! Znaczne rozmiary? Nawet gdyby było ich dziesięć razy więcej, niż naprawdę jest, nic by to nie zmieniło! Gdyby byli dwadzieścia, trzydzieści razy...

– Istotna byłaby również informacja, w którym rejonie nastąpi inwazja – napomknął Canaris.

Hitler spiorunował go wzrokiem.

– Tak – przyznał. – Naturalnie. Po to się tu dziś zebraliśmy.

– Jeżeli mój *Führer* sobie tego życzy, mogę natychmiast złożyć raport.

– Proszę bardzo.

Gniew Hitlera minął równie szybko, jak przedtem wybuchnął. *Führer* wyprostował się, założył ręce za plecy i skupił się na słowach Canarisa. Admirał przejrzał papiery na biurku, odchrząknął i zaczął mówić:

– Informacje, jakie dostajemy z Anglii, nie są zbyt optymistyczne. Wynika z nich, że atak nastąpi w najbliższej przyszłości, czyli w tym albo najdalej – przyszłym roku. Do Anglii przybywają duże grupy żołnierzy; jak wszyscy wiemy, coraz więcej bomb spada na Niemcy.

Część zebranych wymieniła niewesołe uśmiechy; w kwestii spadających na Niemcy bomb mieli spore osobiste doświadczenie. Goering się nie uśmiechnął.

– Czego można spodziewać się po tchórzach, jak nie tchórzowskiego zachowania? – prychnął Hitler.

– Naturalnie, *mein Führer*. Jednakże z wojskowego punktu widzenia alianci postępują słusznie. Na szczęście bombardowania nie tylko przygotowują im grunt pod inwazję, ale też zdradzają co nieco z ich zamiarów. Musimy postawić sobie pytanie: gdzie wylądują? Jeżeli uda się nam to ustalić, wygramy tę bitwę; a jeżeli wygramy tę bitwę, wygramy również wojnę.

– Proszę mówić dalej, admirale.

– Kiedy alianci zaczną gromadzić armię inwazyjną, nasi agenci w Anglii z pewnością nas o tym poinformują. Nie możemy im jednak wierzyć bez zastrzeżeń; musimy być przygotowani na celową

dezinformację.

– Churchill wylądował w Calais – odezwał się spod okna Goering. Hagen posłał mu nienawistne spojrzenie; miał wrażenie, że go rozumie, i to zrozumienie kazało mu o nim myśleć z pogardą. Jedynym zmartwieniem Goeringa w razie ewentualnego desantu będzie wywiezienie za granicę posiadanych skarbów, biżuterii, dzieł sztuki. Kiedyś był żołnierzem, nawet bohaterem, ale czas i obżarstwo zrobiły z niego chciwego tłuściocha. Nie będzie sobie zawracał głowy odpieraniem ataku. Był niemal równie godny wzgardy jak Canaris – słaby, samolubny, leniwy. Dlaczego *Führer*, skądinąd tak dalekowzroczny jako polityk i dowódca, nie dostrzegął niekompetencji swoich najbliższych doradców?

– Admirale? – ponaglił Hitler Canarisa.

Canaris wzruszył ramionami.

– Calais istotnie wydaje się być najbardziej oczywistym miejscem lądowania – przyznał. – Tym bardziej zatem musimy być przygotowani na inne warianty, przede wszystkim Dunkierkę i Normandię.

– Nie wrócą do Dunkierki – powiedział Goering. – Uciekali z podkulonymi ogonami. A Normandia? Stamtąd nie da się wyprowadzić uderzenia. Nie, wylądują w Calais.

– A jednak... – mruknął Hitler. – A jednak...

Znow zaczął chodzić po pokoju, tym razem wolniej, z marszem na czole. Pozostali uczestnicy narady zamilkli w oczekiwaniu. Hagen zwrócił uwagę, że *Führer* lekko kuleje; ciekaw był, jak bardzo posunęła się jego choroba. Ostatnio rzadko przyjeżdżał do Berlina, spędzając znacznie więcej czasu w Wilczym Szańcu, chroniony całymi metrami zbrojonego betonu, gdy tymczasem na Niemcy sypały się alianckie bomby. Właściwie mógłby się bardzo rozchorować i nikt by tego nie zauważył, pomyślał Hagen. Ogromna większość Niemców nie miała okazji oglądać go na własne oczy.

– Ma pan w Anglii ponad stu szpiegów, admirale. Prawda? – zapytał Hitler.

– Tak jest, *mein Führer*.

– Ufa im pan?

– Niestety nie – odparł bez wahania Canaris. – Żadnemu z nich nie ufam bez zastrzeżeń.

– Dlaczego?

– Szpiegzy to bardzo specyficzny gatunek ludzi, *mein Führer*. Cechuje ich brak silnie wpojonych zasad, wrodzona skłonność do nieczystej gry; tylko nieliczni czują się silnie związani z krajem...

Hagen aż się zjeżył. Co za ironia losu, że nie kto inny, ale właśnie Canaris tomowi...

– Tym bardziej więc nie są skorzy ryzykować własnej skóry. Nie starają się tak, jak byśmy tego chcieli. W wielu wypadkach zabrakło nam czasu, żeby należycie ich przeszkolić... Poza tym nie wolno lekceważyć wpływu tak długiego przebywania na terytorium wroga na psychikę naszych ludzi. Wielu z nich może zapomnieć, komu w pierwszym rzędzie winni są lojalność.

– To śmiecie – warknął Hitler.

– Niezupełnie, choć nie można na nich tak polegać, jak byśmy sobie tego życzyli.

– Może powinniśmy szkolić następnych? Najlepiej spadochroniarzy? Pozostało mało czasu, a Brytyjczycy z pewnością mają się na baczności.

– Niewykluczone, że istnieje inne wyjście, *mein Führer*. Jeden z członków ostatniej grupy, niejaki Schroeder, nawiązał wstępny kontakt z człowiekiem, który pracuje dla brytyjskiego wywiadu wojskowego. Jego żona znajduje się w obozie w Dachau. Dał nam niedwuznacznie do zrozumienia, że w zamian za jej uwolnienie byłby gotów z nami współpracować.

W gabinecie zapadła cisza.

– Człowiek z wywiadu wojskowego – powtórzył Hitler.

– Właśnie.

– Mógłby się nam przydać.

– Owszem.

– Można mu zaufać?

– Już przesłał nam pewne wstępne informacje. Sprawdziliśmy je.

– W takim razie musimy zagwarantować sobie jego współpracę – stwierdził Hitler. – Cena nie gra roli.

– Zgadzam się, *mein Führer*. Mógłby nam odpowiedzieć na wiele pytań.

– Ale nie zapominajmy, że to może być jedno wielkie oszustwo. Może on wciąż pracuje dla Anglików?

Canaris pokręcił głową.

– Otrzymane od niego informacje znalazły potwierdzenie w raportach naszych pozostałych agentów – wyjaśnił. – Gdyby kłamał, wszyscy musieliby kłamać, a w to nie wierzę.

– Sprowadźcie go do mnie – polecił Hitler. – Gdzie teraz jest?

– W Londynie, *mein Führer*. Za dwa dni nawiążemy znów kontakt ze Schroederem i zorganizujemy *treff*.

– Doskonale.

– Tak jest, *mein Führer*.

– Każcie przewieźć jego żonę do Cecilienhof. Pokażemy mu, że jesteśmy chętni do współpracy.

– Rozumiem.

– Churchill! – prychnął Hitler. – Nie potrafi sobie nawet zapewnić lojalności własnych ludzi. I przez to właśnie źle skończy.

Hagen, który śledził całą scenę lodowatym spojrzeniem, nic nie powiedział.

Wohldorf, północny Hamburg

Trzysta kilometrów na północny wschód od Berlina młody mężczyzna zmarszczył brwi, wsłuchując się w trzaski dobiegające z odbiornika radiowego.

Znajdował się głęboko pod ziemią, w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu bunkra, i ze słuchawkami na głowie prowadził nasłuch ruchu w eterze. Pięć metrów ponad nim promienie letniego słońca ogrzewały stojący nad bunkrem dworek, ale słoneczny blask nie docierał na dół; światło w podziemiach było sztuczne i dziwnie mętne, powietrze zaś gęste od dymu – radiowiec palił bowiem papierosa za papierosem. Palenie w bunkrze było wprawdzie surowo zabronione, lecz mężczyzna się tym nie przejmował i w wieku dwudziestu dwóch lat cierpiał z powodu chronicznego suchego kaszlu.

Spoważniał jeszcze bardziej, czytając powtórnie spisaną przed chwilą wiadomość: była zaszyfrowana, to nie ulegało wątpliwości, ale takiego szyfru jeszcze w życiu nie widział. Natomiast sygnał, który ją niósł, rozpoznał bez trudu: pochodził z jednego z tych przenośnych, walizkowych nadajników, w które Abwehra wyposażała swoich agentów.

Może coś źle zanotowałem, pomyślał. Przeczytał wiadomość jeszcze dwa razy, ale ponieważ nadal nic nie rozumiał, poszedł pokazać kartkę człowiekowi przy sąsiednim stanowisku.

Jego sąsiad był o pięć lat starszy – i też nie rozpoznał szyfru.

– Ale masz rację – przyznał. – To jest szyfr. Bez dwóch zdań. Młodszy zakaszłał.

– Kto by go mógł używać?

– Chodź, zapytamy Kruppa. Jeżeli ktoś ma wiedzieć, to on najprędzej. Znaleźli Kruppa w jego własnym boksie ze słuchawkami na uszach.

Podsunęli mu wiadomość pod nos. Zaczęli już zwracać na siebie uwagę: z boksów ciekawie wyjrzało dalszych dwóch radiooperatorów.

– Wiesz, co to jest? – zapytał ten, który odebrał wiadomość. Krupp zmarszczył brwi, przeczytał tekst dwa razy i pokręcił głową.

– Nie – odparł. – Może Neumann nam coś powie.

Neumann był najstarszym z radiowców zatrudnionych w Wohldorf: dobiegał siedemdziesiątki, miał siwe włosy i cały czas lekko się garbił. Siedział u siebie w boksie z zamkniętymi oczami: trudno powiedzieć, czy spał, czy w skupieniu wsłuchiwał się w dźwięki dobiegające ze słuchawek.

– Neumann! – zawołał Krupp. – Mamy coś dla ciebie! Zagadkę! Neumann podniósł wzrok, a potem wstał, wziął kartkę do ręki i odczytał notatkę.

– Stary – powiedział bez wahania.

– Co stare?

– Szyfr. Nie możecie go pamiętać. Sprzed Enigmy, sprzed wojny, sprzed tego całego bałaganu.

– Odczytasz to?

– Zaczekajcie chwilę.

Zajął mu to znacznie więcej niż chwilę, ale znalazł w końcu niemal zabytkową książkę szyfrów, zawilgoconą i zalatującą pleśnią. Zaczął ją szybko przeglądać; młodszy koledzy zagłądali mu niecierpliwie przez ramię.

– Wracamy do pracy – polecił Krupp i, lekceważąc własny rozkaz, nie ruszył się z miejsca.

Upłynęło dziesięć minut, zanim Neumann znalazł szyfr; odczytanie meldunku zajęło mu kolejne pięć minut, w końcu wyprostował się dumnie, spojrzawszy triumfalnie na Kruppa i rzekł:

– Połączcie mnie z Himmlerem.

Ham Common, Surrey

Rudolf Schroeder wziął paczkę z krzywym uśmiechem i zabrał się do rozwiązywania sznurka, ale po chwili przerwał i spojrzawszy na Winterbothama.

– Andrew będzie zazdrosny – zauważył.

Winterbotham uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Wszyscy się chcemy tobą nacieszyć, Rudolfie. Mam rację?

Schroeder wzruszył ramionami i znów skupił się na paczusce. Otworzył ją delikatnie i wyjął ze środka bombonierkę, butelkę szkockiej whisky i kilka paczek papierosów. Od razu rozpakował czekoladki i na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech.

– Skąd pan wiedział?

– Intuicja – odparł oschle Winterbotham. Bombonierka była pełna białych czekoladek.

– Niegrzeczny chłopiec – mruknął zachwycony Schroeder. Włożył jedną z czekoladek do ust. – Cudowne... Nie wiem, czego pan ode mnie chce, profesorze, ale już mnie pan kupił.

Znajdowali się w tym samym pokoju, w którym spotkali się po raz pierwszy – mrocznym, wilgotnym, surowym. Brakowało tylko nadajnika na stole i Andrew Taylora pod oknem.

Tego wieczora Winterbotham przyjechał do Latchmere House bez zapowiedzi i zażyczył sobie spotkania ze Schroederem; swoje żądanie poparł przepustką najwyższej klasy bezpieczeństwa, alfa.

Dał strażnikowi jednoznacznie do zrozumienia, że nie ma potrzeby rejestrować faktu odwiedzin, i poparł to stwierdzenie najgroźniejszym wyrazem twarzy – też co najmniej klasy alfa – na jaki mógł się zdobyć.

– Jedno jeszcze tylko by mi się przydało – ciągnął Schroeder, żując leniwie. – Roślina, która dotrzymywałaby mi towarzystwa. Jak pan sądzi, dlaczego Andrew nie chce mi dać kwiatka w doniczkę? Tyle razy go przecież prosiłem.

– Może uważa, że żartujesz.

– Dlaczego miałby tak myśleć?

– Mówiłeś coś o Żydzie Wiecznym Tułaczem, prawda? – Winterbotham oparł się łokciami o biurko i konfidencjonalnie zniżył głos:

– Coś mi się widzi, że w żyłach Andrew też płynie taka krew, pamiątka po dawnych przodkach. Teraz rozumiesz?

– Ależ profesorze!

– Po prostu jestem z tobą szczery.

– Profesorze! Nie wiem, jak mam to rozumieć.

– A wiesz coś na temat moich poglądów politycznych, Rudolfie?

– Co nieco...

– Powinieneś zatem zdawać sobie sprawę, że nie jestem takim... patriotą... jak Andrew.

– Mhm... – Schroeder wsunął do ust następną czekoladkę.

– Powiem więcej: jestem zwolennikiem waszej sprawy; uwierzyłbyś?

– Popiera pan hitlerowców?

– A to jest wasza sprawa? Twoja sprawa?

– Jak się panu wydaje?

– Wydaje mi się, że obaj jesteśmy wolnomyślicielami, Rudolfie, przede wszystkim ludźmi, a dopiero potem patriotami.

– Kiedy tak pan o tym mówi, brzmi to bardzo egoistycznie.

– Nie, po prostu szczerze.

– Coś zebrało się dziś panu na szczerłość, profesorze.

– Uznam to za komplement.

– Czy Andrew wie, że pan tu jest?

– Naturalnie że nie.

– Po co właściwie pan przyjechał, profesorze?

– Żeby porozmawiać z tobą o przysługach, jakie możemy sobie nawzajem wyświadczyć.

Przysługach, które nie spodobałyby się Andrew.

Schroeder odłożył bombonierkę, zapalił papierosa i uśmiechnął się słabo.

– Zaciekawia mnie pan – przyznał.

– Jutro składasz meldunek Hamburgowi, prawda?

Schroeder skinął głową.

– Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, zorganizują *treff*, w którym wezmę udział – ciągnął Winterbotham.

– Zgadza się.

– Jak sądzisz, pójdziesz ze mną?

– Tak mi się wydaje. Będą pewnie chcieli, żebym pana eskortował.

– Też tak myślę. Razem wybierzemy się na spotkanie przygody, co, Rudolfie?

Niemiec wzruszył ramionami.

– Na to wygląda.

– Właśnie że nie. Andrew nigdy do tego nie dopuści.

– Nie?

– Nie. Nie dość, że ci nie ufa...

– Nie ufa? Mnie nie ufa? – zdziwił się Schroeder z udawanym cierpieniem na twarzy.

– Nie dość, że ci nie ufa, to jeszcze zajmuje się w tej chwili inną, znacznie ważniejszą operacją.

Powiem więcej, Rudolfie: zorganizujemy to spotkanie, ale żaden z nas się na nie nie uda – ani ja, ani ty. Andrew chce nas wykorzystać jako przynętę... Na szpiega.

Schroeder zmrużył oczy i zaciągnął się papierosem.

– Na szpiega...

– Właśnie.

– Ustalimy szczegóły...

– Tak.

– Ale nie stawimy się w umówionym miejscu.

– Istotnie.

– Ponieważ znajdzie się tam inny szpieg, który interesuje Andrew znacznie bardziej niż pan czyja?

– Tak jest.

– Dlaczego pan mi to mówi? Oczywiście pytam, zakładając, że to prawda.

– Bo jeśli połączymy siły, Rudolfie, Andrew nas nie ruchnie.

– Nie ruchnie... – powtórzył Schroeder, rozkoszując się brzmieniem tych słów. – Proszę mi wybaczyć, profesorze, ale... Kiedy Andrew nie ma w pobliżu, okazuje się pan o wiele ciekawszą osobą.

Winterbotham milczał, uśmiechając się tylko.

– Ach tak! Tak! Na czym to stanęliśmy? Tak, już pamiętam: Andrew nas nie ruchnie. – Niemiec zachichotał. – Nie ruchnie nas!

– Rudolfie...

– Rany, naprawdę, to takie... Przepraszam, ale...

– Chcesz wrócić do domu? – zapytał znienacka Winterbotham.

Schroeder spoważniał.

– To wysłuchaj szczegółów mojej oferty. Sami, na własną rękę, bez wiedzy Andrew, ustalamy miejsce i czas spotkania; to jedyny sposób, żebyśmy w ogóle weszli na pokład tego U-Boota. Po dotarciu do Niemiec rozstajemy się. Najważniejsza jest moja żona, Rudolfie; jeśli o mnie chodzi, wojna może potem toczyć się dalej.

Po twarzy Schroedera widać było, że nie wie, co myśleć o słowach Winterbothama.

– Na pewno macie jakieś ustalone miejsca na wypadek *treffu* – ciągnął profesor. – Przez radio podadzą ci tylko numer, prawda? Powiedzmy „punkt numer pięć” albo „metoda siódma”, albo „kraj numer sześć”. Tylko że ty nie zdradziłeś chłopcom z MI-5 szczegółów tego systemu, prawda? Andrew dawno powinien był to z ciebie wyciągnąć, ale z zapisów wynika, że na razie mu się nie udało. Może jest za leniwy; a może za bardzo cię lubi.

– Albo zyczajnie mi ufa.

– Może... Ale nie na tyle, żeby puścić cię wolno do domu, Rudolfie, nie łudź się. Moja propozycja jest bardzo prosta: kiedy Hamburg poinstruuje cię, żebyś stawił się w miejscu numer pięć, powiedz Andrew, że piątka oznacza Plymouth, choć w rzeczywistości będzie to na przykład Dover. Andrew z chłopakami pojedą do Plymouth, a my dwaj do Dover.

– Jak się tam dostaniemy, profesorze? Trzymają i pilnują mnie tu jak więźnia... Jeżeli jeszcze pan tego nie zauważył.

– A co sprawiło, że możemy w tej chwili rozmawiać? Przepustka alfa.

– Nie mówi pan całej prawdy – oświadczył Schroeder.

– Tak uważasz?

– Ja to wiem. Niech się pan bardziej postara, profesorze.

– Co masz na myśli?

– Chyba naprawdę nie ma pan najlepszego zdania o mojej inteligencji, profesorze; uważa mnie pan za idiotę. Przyznaję: nie do końca rozumiem, czemu ma służyć cała ta zabawa, ale...

– Andrew nie chce mnie wysłać do Niemiec, więc wziąłem sprawy w swoje ręce.

Widać było, że Schroeder się waha.

– Powiedz mi, jaki macie system z Abwehrą – ciągnął Winterbotham. – Miejsce numer jeden?

– Musiałbym zwariować!

– To twoja jedyna szansa na powrót do domu. Schroeder pokręcił głową. Zdusił niedopałek pod butem.

– Mówi pan serio?

– Jak najbardziej.

– Musi pan naprawdę kochać żonę... Albo nienawidzić swojej ojczyzny.

– Miejsce numer jeden?

– Numer jeden... – Schroeder wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ipswich, niedziela, między północą a czwartą rano. Wychodzisz na plażę i dwa razy błyskasz latarką, a oni przysyłają po ciebie ponton.

– Numer dwa?

– Naprawdę jest pan zdecydowany, co?

– Jak nigdy w życiu.

– Na południe od Dogger Bank: pięćdziesiąt trzy stopnie czterdzieści dwie minuty szerokości północnej, trzy stopnie dziesięć minut długości wschodniej, dwadzieścia sześć sążni, poniedziałek, od północy do czwartej rano. Zapamięta pan?

– Zapamiętam.

– I zabierze mnie pan do domu?

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Numer trzy... – Schroeder oparł się o stół i zapalił następnego papierosa.

Londyn

Wiedziała, że jej szukają.

Byli wszędzie – mundurowi i w cywilu, starzy, młodzi i w średnim wieku, bezczelni i dyskretni; wszyscy mieli błyszczące, głodne oczy. Widziała, jak zatrzymują i wypytywają dziewczyny i młode kobiety; dwie z nich zabrali gdzieś, pewnie na przesłuchanie. Na nią jednak nikt na razie nie zwrócił uwagi; nawet nie sprawdzili jej dokumentów, chociaż niosła walizkę, co musiało zwracać powszechną uwagę.

Zdawała sobie sprawę, że dotychczasowy spokój zawdzięcza habitowi.

Mimo to jakoś nie mogła odzyskać zwykłej pewności siebie – na to była zbyt inteligentna; zamieszanie wywołane poszukiwaniami wcale jej nie pomagało. Jedyne habit dawał jej jakąś nadzieję. Okazał się naprawdę idealnym przebraniem: dzięki niemu nikt nie tylko z nianie rozmawiał, ale nawet się do niej nie zbliżał. Co więcej, nie musiała nikogo zabić, żeby go zdobyć – tylko siostra Abigail straciła część swego bagażu.

Jednak z każdą godziną przebranie stawało się coraz mniej doskonałe, głównie dlatego, że nie miała gdzie się zatrzymać, żeby odpocząć czy wziąć kąpiel. Wyglądała – i śmierdziała – jak uciekinierka; nie uszłoby to uwagi nikogo, kto by się nią bliżej zainteresował.

– Przepraszam, siostrze – zagadnął ją jakiś mężczyzna. – Może mi siostra powiedzieć, gdzie jest katedra świętego Pawła?

– Przykro mi – odparła z przepraszającym uśmiechem. – Też jestem tu przejazdem.

Spuściła głowę i odeszła w przeciwnym kierunku, zanim zdążył przyjrzeć się jej twarzy.

Szła przed siebie.

Szła od ponad dwudziestu godzin – miała za sobą całą noc marszu, ale nie pozostawało jej nic innego. Mogła tylko iść. Odważyła się wrócić na chwilę do mieszkania Clive’a Everetta. Zmyła z siebie krew, zabrała walizkę, przebrała się w habit i uciekła.

Zbeształa się za to, że uległa panice. Gdyby starczyło jej odwagi, by zostać w mieszkaniu choćby chwilę dłużej, znalazłaby pewnie inne ubrania, pozostałe po poprzednich zdobyczach Clive’a. Teraz zaś miała w walizce tylko AFU, torebkę i bawełnianą sukienkę, zabraną z Los Alamos.

Po zachodzie słońca znajdzie miejsce, z którego będzie mogła spokojnie nawiązać łączność z Hamburgiem. Jeżeli jej poprzednia wiadomość dotarła do kogo trzeba, jeżeli rozpoznali szyfr i odczytali treść meldunku, jeżeli Anglicy go nie przechwycili, a ludzie w Hamburgu docenili wagę posiadanych przez nią informacji... jeżeli, jeżeli, jeżeli... Wiele warunków musiało zostać spełnionych, żeby mogła otrzymać odpowiedź, a w niej wskazówki dotyczące miejsca i czasu spotkania.

Była śmiertelnie zmęczona, ale cały czas szła naprzód.

Przy pomniku nieopodal Whitehall dwóch policjantów w cywilu wypytywało właśnie jakąś kobietę. Minęła ich. Grupa mężczyzn sprzątała gruz, pozostały po nocnym bombardowaniu; jeden z nich płakał. Ich też minęła obojętnie. Nie umiałyby powiedzieć, czy bardziej bolą ją ręce, czy jednak nogi. Walizka ciążyła jej jak wypełniona ołowiem, stopy miała poobcierane do krwi; dawno już minęła chwila, w której wydawało jej się, że nie zdoła uczynić ani kroku więcej, ale nie miała wyboru: musiała iść, unikać zwracania na siebie uwagi. I czekać na porę kontaktu.

Była tak zmęczona, że nie czuła nawet strachu, tylko pulsujący ból w ramionach i nogach.

Od czasu do czasu wracała myślami do Fritza; chwilami pamiętała go takiego, jakim był dawniej: młodego i smukłego, jak wtedy na balkonie hotelu. Ale zaraz przypominał jej Fritz, jakiego widziała w Highgate: przedwcześnie postarzały, wymizerowany, blady, słaby i miękki. Zdrajca.

Nie żałowała go; gdyby nie pomyślny zbieg okoliczności, zabiłaby go własnoręcznie. Nie miała wątpliwości, że Fritz – ten prawdziwy – zgodziłby się, by jego żalosna ostatnia inkarnacja została zmieciona z powierzchni ziemi. Winni byli Anglicy. Zrobili mu pranie mózgu, zhańbili go.

A może zmienił go sam fakt, że tak długo żył wśród nich? Bała się, że po tylu latach w Ameryce ją też spotka podobny los. Krążąc jednak po Londynie, nie znalazła wielu powodów by polubić Anglików. Byli bladzi jak Fritz, pokrzywieni, chudzi i słabi. Nie zadbali o siebie należycie po

pierwszej wojnie i całe pokolenie wyrosło im nie takie, jak trzeba. Jakże różnili się od Niemców, jej rodaków – dobrze zbudowanych, przystojnych, zaradnych, inteligentnych idealistów!

Zanosiło się na deszcz, ale miała nadzieję, że nie zacznie rychło padać.

Szła dalej.

Jej rodacy rozwinęli się wspaniale, mimo klęski poniesionej na wojnie. Mimo nędzy, brudu i nienawiści wyrosli na wspaniałych, silnych ludzi. Być może, to właśnie niezwykle spłot przeciwności losu zmobilizował ich najlepsze cechy. W przeciwieństwie do Anglików nie spoczęli na laurach, lecz pracowali, z uporem walcząc o lepszą przyszłość. Mieli też, rzecz jasna, niezaprzeczną przewagę: w ich żyłach płynęła krew aryjskich przodków. Wystarczyło spojrzeć, z jaką łatwością ona sama pokonała blisko dziesięciu brytyjskich agentów! Kiedyś może i oni mieli jakieś zalety, lecz stulecia bezczynności i mieszania ras rozwodniły ich krew.

Ale przecież Fritz był Aryjczykiem, jak więc mógł stać się taki słaby? Nie dość, że pozwolił się wziąć do niewoli, to jeszcze im służył!

Może na skutek intensywnego kontaktu z Anglikami przyswoił sobie ich cechy? A może użyli jakichś okrutnych, sobie tylko znanych sposobów, którymi przekonali go do współpracy?

Bo Fritz z pewnością był podwójnym agentem i przysyłał do Hamburga fałszywe informacje wywiadowcze. A skoro on to robił, to niewykluczone było – ba, nawet prawdopodobne – że inni zachowywali się tak samo. Porozmawia o tym ze swoimi przełożonymi, gdy tylko znowu ich zobaczy; wyjaśni im, jak mało godni zaufania są ich rezydujący w Anglii podopieczni.

Zagrzmiało. Odruchowo podniosła wzrok i zmarszczyła brwi.

Czasem nie mogła oprzeć się wrażeniu, że sam Bóg jest przeciwko niej.

Przyszło jej jednak na myśl, że na razie jej ucieczka to nieprzerwane pasmo sukcesów: wydostała się ze Stanów Zjednoczonych, dotarła do Fritza... A przede wszystkim, na samym początku, zdobyła te informacje! Gdyby cofnąć się jeszcze dalej w przeszłość – też miała szczęście: urodziła się jako biała kobieta, Niemka, Aryjka, w określonym momencie historycznym, kiedy jej naród zerwał się do walki z niewyobrażalnie silniejszym przeciwnikiem, by upomnieć się o należne mu miejsce i rolę przywódcy. Wtedy nie miała wątpliwości, że Bóg jej sprzyja.

A jeśli teraz za szybko nie cofnie swych łask, Katarina dowiedzie wiadomość do Berlina i jej wrogowie zostaną rozbici w pył.

Holland Park

Winterbotham przesiedział całą noc w bibliotece; był wyczerpany, ale nie mógł spać. Wyczekiwanie pchnęło go z powrotem w ramiona starych nałogów.

Następnego dnia Schroeder miał dostać odpowiedź z Hamburga.

A wkrótce potem, jeśli Bóg pozwoli, Winterbotham znajdzie się w Wilczym Szańcu.

Ta myśl napawała go śmiertelnym przerażeniem.

Starał się myśleć o Ruth, w nadziei, że doda mu to siły i odwagi – przecież robił to właśnie dla niej – ale ku swemu bezgranicznemu rozczarowaniu nie był w stanie odtworzyć w pamięci rysów jej twarzy. Widział zarys jej głowy, jej włosy, czuł zapach perfum, których używała, lecz twarz pozostawała rozmazana. Tyle czasu minęło...

Zdał sobie nagle sprawę, że od miesiąca nie oglądał nawet jej zdjęć. Dlaczego? Bał się, że nie zniesie bólu? Czy raczej dlatego, że ostatnio udawało mu się przesypiać całe noce i nie chciał ryzykować zmiany tego stanu rzeczy?

Dziś w każdym razie nie spał.

Odstawił drinka, otworzył szufladę i wyjął z niej ślubne zdjęcie swoje i Ruth. Patrzyła prosto w obiektyw z tym niezwykłym półuśmiechem, który tak łatwo umiała przywołać na twarz. Dzięki niemu człowiek czuł się zaszczycony, że ją zna, jak gdyby został dopuszczony do niezwykłego sekretu.

Ten uśmiech był jednak bez znaczenia. Winterbothamowi udawało się wywołać na jej twarzy prawdziwy uśmiech, nie ten grzeczny, nieśmiały, połowiczny. Chociaż niezbyt często.

Musiał sobie nań zasłużyć.

Zastanawiał się, jak sobie radzi w Dachau. Jeśli tylko tego chciała, co zdarzało się niezwykle rzadko, potrafiła być uroczą kobietą. Nie kryła pogardy wobec wrogów, a w ostatnich latach szczególną niechęcią darzyła hitlerowców. Czy bardzo uprzykrzali jej życie? Czy sama sobie nie zaszkodziła?

Nieznosna kobieta, zdolna doprowadzić człowieka do obłędu.

Schował fotografię do szuflady, zamknął ją i wziął do ręki szklaneczkę. Burza słabła, choć, jak sądził, zapewne tylko chwilowo.

Na biurku miał jeszcze jedno zdjęcie. Pociągnął łyk whisky i spojrzał na nie sponad okularów.

Przedstawiało wyjątkowo ładną dziewczynę, dziewiętnasto-, może dwudziestoletnią, uśmiechającą się niewinnie do aparatu. Miała długie, jasne włosy, ostro zarysowane kości policzkowe, smukłą szyję i bystre oczy. Przy dużym powiększeniu widać było pojedyncze punkciki rastra. Z boków kadru widniały łokcie i ramiona kobiet, z którymi wspólnie pozowała do zdjęcia. Dziesięć lat temu.

Dziewczyna nazywała się Katarina Heinrich; OSS przesłało jej zdjęcie Taylorowi.

Ciekawe, gdzie ona spędza tę noc, pomyślał. W łóżku jakiegoś mężczyzny? Po tym, jak od Clive'a a Everetta dostała wszystko, co mogła? Czy może mokła gdzieś i marzła, kuląc się na wietrze i w deszczu?

To zdjęcie było prawdziwym darem niebios. Taylor miał je zaledwie od ośmiu godzin, ale jego kopie już docierały do rąk wszystkich policjantów, agentów, strażników i detektywów w całym kraju. Taylor rozpiął się; teraz pozostało tylko czekać, aż któraś z nici, potrącona, drgnie obiecująco.

Ludzie Taylora znali się na rzeczy. Na pewno złapią ją, zanim dojdzie do *treffu*.

A jeśli nie?

Zabiła ośmiu agentów. Czy on, Winterbotham, poradzi sobie z nią sam, gdy nadejdzie chwila prawdy?

Pokręcił głową i uśmiechnął się niewesoło sam do siebie.

– Co za idiotyzm – powiedział głośno i uniósł szklaneczkę do ust.

Ham Common, Surrey

Taylor skończył notować, podniósł głowę i spojrzał triumfalnie najpierw na Schroedera, a potem na Winterbothama. Niemiec posłał mu służalczy uśmiech, Winterbothama zaś nagle całkowicie pochłonęło nabijanie fajki.

Taylor zdjął słuchawki i wrócił wzrokiem do leżącego przed nim notatnika.

– Spotkanie cztery – przeczytał na głos. – Bardzo pilne.

– Zatoka Whitley – powiedział Schroeder. – Plaża naprzeciw baru Highland, niedziela, między trzecią a piątą rano. Dwa mrugnięcia latarką.

– Highland – powtórzył Taylor i zapisał coś w notesie. – A zatem mamy ją – Schroeder nie

przestawał się uśmiechać, a Winterbotham ze spuszczoną głową wciąż upychał tytoń w cybuchu.

– Nie popełnimy drugi raz tego samego błędu – uspokoił ich Taylor. – Będziemy dobrze przygotowani. Teraz nam się nie wymknie.

– Pewno, że nie – przytaknął Schroeder. – Prawda, profesorze?

– Nie ma szans – zgodził się z nim Winterbotham, nie podnosząc wzroku.

Rozdział 9

Essex

Katarina zmarszczyła brwi i wyjrzała przez okno. Krajobraz za oknem składał się głównie z pastwisk i mokradeł; tu i ówdzie z płytkiej wody wyrastało łagodne, zielone wzgórze z wiejskim domkiem pod szczytem. Dalej, na horyzoncie, majaczył kolczasty żywopłot i rozrzucone kępy buków. Niebo miało jaskrawoniebieski kolor.

Rozpoznał mnie, pomyślała.

To niemożliwe.

No, nie tyle niemożliwe, co bardzo mało prawdopodobne. Przez ostatnich dziesięć lat skrzętnie niszczyła i wyrzucała wszystkie swoje zdjęcia – taką przynajmniej miała nadzieję. Nauczyła się zacierać ślady.

Ale ten człowiek na dworcu tak się jej przyglądał...

Zaczynała się denerwować.

Znudzona wyglądaniem przez okno, odwróciła się i ogarnęła wzrokiem współpasażerów w przedziale. Obok niej siedział starszy mężczyzna o mocno opalanej twarzy i ramionach. Spał, a jego głowa obijała się o drewnianą okładzinę oparcia w rytm ruchu pociągu. Naprzeciwko młoda kobieta czytała dwójce dzieci *Matkę gęś*. Niewygodnie wciśnięty obok dzieci czarnowłosa mężczyzna przeglądał „Illustrated London News” – był przystojny, muskularny, trochę może za niski.

Zauważył, że mu się przygląda, i uśmiechnął się do niej.

Odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem i wróciła do obserwacji widoków za oknem.

W Northampton młoda matka z przychówkiem wysiadła; przez chwilę Katarina miała wrażenie, że zostaną w przedziale we dwoje z muskularnym brunetem – zniknął bowiem także śpiący staruszek – ale właśnie wtedy w drzwiach zjawił się inny starszy jegomość, a za nim wysoka młoda kobieta w zbyt dużej kurtce.

Pociąg ruszył, z wolna nabierając szybkości.

Jeżeli ten człowiek w Londynie naprawdę ją rozpoznał... Niemożliwe, żeby zdążyli do Northampton przed pociągiem, prawda? Musieliby znaleźć jakiś samochód, ściągnąć ludzi...

Chyba że mieli agentów także w Northampton.

Narastający niepokój przeradzał się w panikę.

Spojrzała na mężczyznę naprzeciwko. Znów wymienili uśmiechy.

Katarina założyła nogę na nogę; bawełniana sukienka podjechała jej wyżej na udzie.

Konduktor podszedł do dwóch mężczyzn, którzy najwyraźniej upodobili sobie przejście między wagonami. Obaj stali na szeroko rozstawionych nogach i trzymali się kurczowo przypadkowych

uchwyty, starając się utrzymać równowagę w rozhuśtanym pociągu.

– Panowie! – zwrócił im uwagę. – Jeżeli wszystkie miejsca w przedziałach są pozajmowane, proszę się jakoś ulokować w korytarzu. Tutaj nie wolno stać.

Jeden z mężczyzn pokazał mu legitymację.

– Agent Knox – przedstawił się. – A to agent Boyle. Z wywiadu wojskowego.

Boyle pokazał konduktorowi zdjęcie.

– Widział ją pan w tym pociągu? – zapytał.

Konduktor nachylił się ku niemu i zmarszczył brwi; Boyle miał problemy z utrzymaniem fotografii nieruchomo.

– Ładna dziewczyna – mówił dalej agent. – Koło trzydziestki. Podróżuje sama. Włosy może mieć ciemne i trochę krótsze, do ramion. Przypuszczamy, że wsiadła na Liverpool Station, z biletem do Leicester.

– Owszem – przytaknął konduktor. – Jest w tamtym wagonie. Mam ją panom pokazać?

Knox i Boyle wymienili porozumiewawcze spojrzenia i Knox pokręcił przecząco głową.

– Ona jest niebezpieczna, kolego; nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo. Mamy mieć ją na oku do czasu, aż wysiądzie w Leicester.

– Proszę nam dać znać, gdyby wyszła z przedziału – dodał Boyle. – I za żadne skarby proszenie zwracać na siebie jej uwagi.

– W porządku, panowie. Rozumiem.

– Świetnie. – Knox odwrócił się do Boyle'a. – No to ją mamy.

Katarina chciała właśnie wciągnąć krępego chłopaka do rozmowy – pochwalić go, że tak młodo wygląda i zapytać, jak to się stało, że nie służy w wojsku – gdy nagle jej uwagę zwrócił konduktor, który badawczo się jej przyglądał.

Przechodził właśnie korytarzem, starając się nie wejść na żaden z rozstawionych na podłodze pakunków, ale nie odrywał przy tym oczu od jej twarzy. Kiedy spojrzała na niego, odwrócił szybko wzrok, zarumienił się i przyspieszył kroku.

Przebiegł ją dreszcz. Wstała, przestąpiła nad nogami starszego mężczyzny i sięgnęła do klamki.

– Wychodzi pani? – spytał zaciekawiony młodzieniec.

– Tylko na chwilę – odparła z uśmiechem i wyszła na korytarz. Przeszła spokojnie do samego końca i otworzyła drzwi do przejścia między wagonami: było puste, śmierdziało dymem i rozgrzanym powietrzem. Głośny łoskot zagłuszył inne dźwięki, gdy stanęła na rozchwianej, metalowej podłodze.

Rozejrzała się. Ściany łącznika były elastyczne, żeby zginać się swobodnie, gdy pociąg skręca; z obu stron wbudowano w nie drzwi – jedno i drugie były zamknięte. Uderzyła pięścią w klamkę tych bliższych, po prawej. Zamek nie puścił od razu, ale gdy uderzyła z całej siły po raz drugi, rozległ się cichy szcęk, a po następnym uderzeniu drzwi otworzyły się na oścież. Przed oczami Katariny przesuwała się – z szybkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę – podmokła łąka.

Sukienka na pewno się zniszczy, pomyślała.

Ale nie ma co wybrzydzać. Wzięła głęboki wdech, skoczyła, skuliła się i zaczęła turlać po miękkiej, wilgotnej ziemi.

Knox gwizdał pod nosem *South of the Border*.

Boyle, który dawno już przestał liczyć, ile razy słyszał *South of the Border* w wykonaniu Knoxa, usilnie starał się go zignorować. Zapalił papierosa i wyjrzał przez przybrudzone okno. Mignęło mu – takie przynajmniej miał wrażenie – jakieś kolorowe zielsko.

Zamrugął. Właśnie tak to wyglądało: kolorowy krzak, niesiony wiatrem, jak kadr żywcem wyjęty z filmu Gene'a Autry. Tylko że ten był tak intensywnie żółty, że aż nienaturalny...

– Widziałeś? – zapytał Knoxa.

– Co?

– Wyglądało jak... – Boyle wciąż patrzył przez okno. – Nieważne. Oczy mi się na starość psują.

– Ja tam się nie dziwię. Daj fajkę.

Boyle podał Knoxowi papierosa, którego ten zatknął sobie za ucho.

– Przejdę się na drugi koniec wagonu – powiedział. – Zajrzę do przedziału, czy nasz ptaszek nie wyfrunął.

Boyle patrzył, jak Knox otwiera drzwi, przestępuje przez próg i zagłębia się w korytarz. Pociąg właśnie wychodził z zakrętu na prostą i musiał opierać się ręką o ścianę. Minał pierwszy przedział, potem drugi, trzeci; doszedłszy do końca, zaczął wracać.

Boyle spochmurniał. Za chwilę dureń nas sypnie, pomyślał, jak się będzie tak kręcił w tę i z powrotem. Nie dość zresztą, że przeszedł koło przedziału, to jeszcze gapił się bezczelnie do środka – nawet nie próbując ukryć zainteresowania. A teraz otworzył drzwi i zagadywał do kogoś, kto siedział w środku!

Boyle zaklął, wszedł do wagonu i stanął obok Knoxa.

– Nawet mi tego nie mów – ostrzegł go.

Knox bez słowa sięgnął po pistolet.

Rozdział 10

Huntingdon, Suffolk

Katarina zatrzymała się przy płytkim stawie: zrzuciła sukienkę, zmoczyła ją w wodzie i rozłożyła na kamieniach, żeby wyschła. Przez ten czas sama się wykapała.

Z przyjemnością spędziłaby trochę więcej czasu w chłodnej wodzie i w promieniach popołudniowego słońca, ale nie mogła sobie pozwolić na dłuższą zwłokę. Ruszyła więc w dalszą drogę, na przełaj przez wrzosowiska kierując się mniej więcej na północny wschód. Zastanawiała się, ilu ludzi jej szuka, czy mają psy, gdzie mogłaby zdobyć jakąś broń, znaleźć dach nad głową i coś do jedzenia, czy ma realne szanse pozostać na wolności aż do zmroku.

W pewnym sensie czuła się cudownie – była zmęczona i głodna, za to wszystkie zmysły i nerwy miała wyostrzone do granic możliwości. Bała się – a w każdym razie wiedziała, że powinna się bać – lecz żyła, wykonywała niezwykle doniosłą misję i jak dawniej, musiała polegać tylko na sobie. Niosła swoim rodakom sekret atomowego ognia; na pewno doceniają jej wysiłek i należycie ją uhonorują. Zmieni bieg historii. Owszem, okoliczności sprzysięgły się przeciwko niej, ale z tym liczyła się od samego początku i na dobrą sprawę już w tej chwili mogła stwierdzić, że dotarła dalej, niż można by się spodziewać.

Dodatkową zaś nagrodę stanowił fakt, że Richard już nigdy w życiu jej nie dotknie.

Szła już ponad godzinę, gdy na skraju jednego z pól dostrzegła stojącego mężczyznę. Znajdował się kilkaset metrów od niej i patrzył w przeciwnym kierunku, na falujące, sięgające mu do pasa morze traw. Szybko, ale spokojnie przemknęła do zacienionego zagajnika blado kwitnących drzewek, skąd przez blisko pół godziny obserwowała nieznanego, który wolno i metodycznie przemierzał łąkę.

Kiedy zniknął jej z oczu, odczekała jeszcze pięć minut i ruszyła dalej, rozważając, co mogła oznaczać jego obecność. Szedł w stronę, z której przyszła; czyżby należał do obławy? A zatem przemknęła się przez oka sieci i teraz mogła iść dalej przez nikogo nie niepokojona – chyba że natknie się na jeszcze jedną linię posterunków.

Ciekawe, czy okolicznym wieśniakom też podano jej rysopis? Odpowiedź na to pytanie mogła mieć ogromne znaczenie dla jej dalszych losów; nie da przecież rady pieszo dojść aż na miejsce spotkania. Nawet gdyby miała dotrzeć tam na czas – co było raczej wątpliwe – zbyt długo musiałaby pozostawać na otwartej przestrzeni. Nie, potrzebowała jakiegoś środka transportu... Może gdyby udało się jej jeszcze raz przebrać i ucharakteryzować, mogłaby znowu pojechać pociągiem; inaczej będzie musiała zadowolić się kradzionym samochodem. Albo rowerem, mniejsza z tym. Najważniejsze to przestać włóczyć się pieszo, oddalić się od miejsca, gdzie ją widziano i przedrzeć

się przez drugą sieć, jeśli ją zastawili.

Szła dalej. Słońce zaczynało się chylić ku zachodowi, gdy niespełna półtora kilometra dalej dostrzegła małe skupisko domostw.

Skierowała się prosto w jego stronę.

Zmierzchało. Taylor rozłożył mapę na masce bentleya. Mężczyźni otoczyli go ciasnym kręgiem, śledząc wzrokiem papierosa, którym pokazywał kolejne punkty na mapie.

– Tu wyskoczyła z pociągu – mówił Taylor. – Mniej więcej. Udaje się do zatoki Whitley, tutaj. Niestety, nie mamy pewności, że z punktu A uda się prosto do punktu B. – Papieros zatoczył kółeczko nad mapą. – Wygląda na to, że się nam wymknęła; nie wie tylko, że wojsko zastawiło drugą sieć. Nasze zadanie jest proste: musimy ją znaleźć i wyeliminować, zanim wpadnie w ręce komandosów. Nie możemy chyba pozwolić, by złapanie naszego ptaszka przypadło im w udziale, nie?

Odpowiedziało mu kilka stłumionych prychnięć.

– Mamy do dyspozycji dwudziestu czterech agentów. Obszar, który należy przeszukać, ma około szesnastu kilometrów średnicy, a zatem każdy dwuosobowy zespół będzie miał pod opieką nieco ponad dwa kilometry kwadratowe terenu; jedna ekipa na trzy dostanie psa tropiącego. Mamy silny ślad zapachowy z bagażu, który zostawiła w pociągu. Wszystkie okoliczności przemawiają na naszą korzyść, panowie. Nie chcę słyszeć, że się wam nie udało.

Mężczyźni szeptali między sobą; szarpiące się na smyczach psy skowyczały cicho.

– Pierwszy kwadrat to głównie pola uprawne; drugi wygląda uroczo, ale to prawie same mokradła; w trójce znajduje się rafineria ropy i tory kolejowe, a w czwórce – droga A380, kawałek lasu i kilka domów letniskowych. Macie strzelać bez ostrzeżenia. Są pytania?

Któryś z młodszych agentów chrząknął znacząco.

– Słucham, Kendall?

– Najmocniej przepraszam, ale... Chłopcy tak się zastanawiają, czy...

– Mów śmiało, co ci leży na wątrobie, chłopcze.

– No bo... Chodzi o Highgate. Jeżeli potrafiła zabić ośmiu... Winterbotham zrobił krok naprzód.

– Proszę mówić dalej – powiedział. Kendall wytrzeszczył oczy.

– Proszę kontynuować – nalegał Winterbotham.

– Skoro zabiła ośmiu chłopca, a my pójdziemy dwójkami, to...

– W Highgate miała sporo czasu na obserwację domu, panowie. Teraz znalazła się w obcym terenie – obcym dla niej, ale nie dla nas. Mamy nad nią przewagę liczebną: dwadzieścia cztery do jednego, nie licząc komandosów. Co was właściwie tak przeraża?

Kendall poczerwieniał na twarzy.

– Nic... Już nic.

– Patrole dwuosobowe nie są w porządku?

– Nie... To znaczy są.

– Pójdiesz ze mną, Kendall. Mogę cię nawet trzymać za rączkę, gdybyś nalegał.

Tym razem więcej ludzi parsknęło śmiechem.

– Dobra, tę sprawę mamy z głowy. Kwadrat pierwszy: Lee, Weaver, Davis, Cooper, Bennett, Nuffield. Dwójka: Hardwicke, Lipton, Lewis, Sayers, Kamsley, Benson. Trójka...

Katarina ostrożnie zbliżała się do zabudowań, starając się trzymać w cieniu i bez przerwy nasłuchując.

Naliczyła sześć domów stojących w luźnym półkolu; wszystkie zbudowano z surowego drewna.

Nie były to domy rolników, chociaż przy każdym znajdował się spory, trochę teraz zaniedbany ogród. Przypominały jej balansujące na skraju biedy gospodarstwa, które mijają po drodze z Los Alamos do Ohio. Ubóstwo czaiło się w rządkach schorowanych, pożółkłych pomidorów, w sypiących się dachówkach, w zamalowanych czarną farbą kawałkach tektury, które pełniły rolę prowizorycznych światłoszczelnych zasłon do okien. Może w ogóle nie było sensu tam zaglądać, tylko przyspieszyć kroku? I tak nie znajdzie nic użytecznego...

Właśnie wtedy jej wzrok padł na ciężarówkę.

Wyglądała cokolwiek złowieszczo, kiedy tak stała na skrawku trawnika pośrodku tworzonoego przez domy półkola. Katarina podkrađła się do niej ostrożnie. Gdzieś z całkiem bliska doleciał ją śpiew – *Kiss Me Goodbye, Sergeant Major*.

W skrzyni ładunkowej poniewierały się puste wiadra, zwinięty gumowy wąż i korkowy hełm – miała przed sobą sklecony naprędce wóz strażacki, którego załogę bez wątpienia stanowili ochotnicy, rekrutujący się z mieszkańców wioski. Dzięki temu mieli swój wkład we wspólny, narodowy wysiłek wojenny – oczywiście tylko w chwilach, gdy byli wystarczająco trzeźwi. To oni byli „bohaterami o brudnych twarzach”, których Churchill wychwalał pod niebiosa, od kiedy w 1941 roku londyńską straż pożarną wcielono do Narodowej Służby Pożarniczej.

Rozejrzała się dookoła. Przed najbliższym domem dumnie defilowała kura, ale poza tym w zasięgu wzroku nie było żywej duszy.

Katarina uchyliła drzwi szoferki, wśliznęła się na fotel kierowcy i schyliła się, żeby obejrzeć mechanizm zapłonowy.

Winterbotham prowadził.

Kendall siedział obok na fotelu pasażera, bębniąc palcami o boczną szybę. Agenci wysiadali z auta dwójkami: Lewisa i Hobbsa zostawili na skraju lasu, Richardsa i Tempie, a z psem imieniem Sad Sack przy A380. Teraz zaś zawrócili ku środkowi kwadratu i znajdującym się w nim domkom letniskowym.

– Odpręż się – poradził Kendallowi Winterbotham. Bębnienie ustało.

– Przepraszam.

– Nie masz mi chyba za złe, że trochę na ciebie naskoczyłem, co, Kendall? Chciałem wszystkim chłopakom pokazać, o co chodzi.

– Rozumiem.

– A tak między nami mówiąc: nie mylisz się. Nie mamy powodów, by przypuszczać, że dwuosobowe zespoły wystarczą.

Kendall spojrział na niego z niedowierzaniem w oczach.

– Daj mi pistolet ze schowka na rękawiczki, Kendall.

– Eee... Tak jest.

Bentley zatrzymał się piętnaście metrów od najbliższego z budynków.

Winterbotham naliczył w luźnym skupisku sześć domów, właściwie niewiele różniących się od dwupokojowych szop w zapuszczonych ogródkach. Na ironię zakrawał fakt, że liche domki zamieszkiwali uciekinierzy z najbardziej eleganckich dzielnic Londynu. Kiedy bombardowania się nasiliły, wszyscy, których było stać na kupno kawałka ziemi poza miastem, zrobili to i przeprowadzili się, lecz ich „domki letniskowe” z konieczności prezentowały się skromniutko. Brakowało materiałów budowlanych – stali, cegieł, drewna, farb – ale brak podstawowych chociażby wygód stawał się z biegiem czasu coraz bardziej uciążliwy.

– Trzymamy się razem – uprzedził Kendall Winterbotham. – Idziemy od domu do domu, zaczynamy od najbliższego – dodał szeptem.

– Tak jest.

– Denerwujesz się, Kendall?

– Nie.

– Mhm.

Winterbotham otworzył drzwi po stronie kierowcy.

Zaczęli skradać się ku pierwszemu z brzegu domostwu – ramię w ramię, każdy z bronią w ręku. Nagle zakaszłał uruchamiany gdzieś niedaleko silnik samochodu. Winterbotham zmarszczył brwi: skąd mógł dobiegać ten dźwięk? Wzniósł się wyżej, za chwilę znów ścichł. Gdzieś blisko, uznał, wciąż jednak nie widząc pojazdu.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Złapał Kendalla za kołnierz i pchnął go do przodu, rzucając się obok niego na ziemię.

Ciężarówka z wyłączonymi reflektorami minęła ich dosłownie o włos, wlokąc za sobą obłok oleistych spalin.

Winterbotham zerwał się na nogi i otrzepał; Kendall wstał bez pośpiechu.

– Sprawdź domy – polecił mu Winterbotham. – Może ktoś potrzebuje pomocy.

Ale oszołomiony Kendall gapił się na ciężarówkę, jakby w ogóle go nie słyszał.

– Sprawdź domy, do diabła! Kendall!

Winterbotham szturchnął go, a sam biegiem rzucił się w kierunku bentleya.

Silnik pracował głośno, z wyraźnym wysiłkiem, plując kłęбами czarnego, smolistego dymu. Katarina starała się odciąć od hałasu; musiała zebrać myśli.

Czy powinna jechać ciężarówką najdalej, jak się da? Czy raczej zostawić ją i uciekać pieszo?

Postanowiła na razie zatrzymać wóz. Pierścień obławy pewnie właśnie się zaciskał; gdyby uciekała na piechotę, łatwo by ją dostali.

Skreśliła w prawo, na północ, i dodała gazu. Robiło się coraz ciemniej. Samochód podskakiwał na starej, wyboistej drodze, tak że dwa razy omal nie zjechała do biegnącego równoległe do niej rowu. Za każdym razem z najwyższym trudem wracała na drogę, wzniecając tumany kurzu. Poczuliaby się trochę bezpieczniej, gdyby włączyła reflektory, ale tego w żadnym razie nie chciała ryzykować.

Nie panikuj, tylko myśl!

Może jednak powinna zostawić auto i schować się gdzieś wśród pól? A jeśli mają psy? Bała się psów, chociaż Hagen nauczył ją, jak sobie z nimi radzić... Ale nie, wiatr za często się zmieniał i prędzej czy później straciłaby orientację. Najlepiej byłoby...

No właśnie, kto to mógł wiedzieć? Bo Katarina na pewno nie.

To był jej koniec.

– Psiakrew! – zakląła głośno. – Myśl, do diabła!

Miała ochotę na papierosa, ale torebka została w walizce w pociągu.

Przecież ona, Katarina Heinrich, była od nich lepsza – poradziłaby sobie z dziesięcioma, dwunastoma naraz. Tylko że tym razem mieli jeszcze więcej ludzi; dopadną ją i rozszarpią jak psy walczące o smakowitą kość.

Wytarła nos ręką.

Rany boskie, nie panikuj tak. Zaczynj wreszcie myśleć!

Nie ma co: to koniec.

Żaden koniec!

Będą blokady na drogach? Na pewno. I to niedaleko stąd. Nawet gdyby się przedarła – nie sądziła, by było to w ogóle możliwe, ale gdyby – w okolicy znajdowały się tysiące żołnierzy, a wraz z nimi przyjechały setki czołgów, transporterów i dżipów. W końcu zablokują drogę wozem, którego nie zdoła staranować.

Jeżeli zostawię auto, pomyślała, dopadną mnie psy. Jeżeli będę nim jechać, w końcu wyrnę w czołg.

A może nie jechać drogą?

Wtedy poruszałaby się jeszcze wolniej; zyskałaby może kilka minut, zanim zorientowałiby się, co zrobiła, ale wcale nie byłoby jej łatwiej przedrzeć się przez drugą obławę.

Nagle dobiegł ją niski, buczący dźwięk. Nastawiła ucha, a wtedy buczenie przeszło w wysoki, przeszywający wizg. Zadrżała: to syreny wyły na alarm. Z jej powodu? Czy teraz wszyscy w tym zapomnianym przez Boga i ludzi zakątku Anglii zaczną jej szukać? A jak znajdą, to powieszają! Tak, na pewno: powieszają, powieszają, powieszają. Przez chwilę w to uwierzyła i dała się porwać fali paniki.

A potem ciemność przeszły snopy światła: szperacze. Cztery, sześć, dwanaście. Rozległ się rytmiczny terkot działek przeciwlotniczych.

To faktycznie alarm, pomyślała, ale przeciwlotniczy.

Z daleka dolatywał basowy pomruk samolotów. Wykręciła głowę, żeby przez boczne okienko spojrzeć w niebo.

Po co Niemcy mieliby bombardować takie pustkowia?

Tory kolejowe, przypomniała sobie, na pewno chcą zniszczyć tory.

Bomby przerwą sieć obławy.

Szarpnęła mocno kierownicę, zjechała z drogi i ruszyła na zachód, na przełaj przez kamieniste pole.

Kiedy spadły pierwsze bomby, Winterbotham zjechał bentleyem na pobocze i patrzył.

Padaly łukiem jakieś dwanaście, może piętnaście kilometrów na zachód od niego. Czyli celowali w tory. Część samolotów polecie też pewnie nad rafinerię, jeżeli zostanie im coś do zrzucenia.

Z rękoma wspartymi na kierownicy patrzył na przeszywające mrok gejzery ognia i usilnie starał się myśleć.

Gdyby nie zjechała z drogi, dawno by już ją dogonił – bentley z pewnością jeździł szybciej od zdezelowanej ciężarówki. Czyli pojechała gdzieś na przełaj. Tylko po co? Przecież przez pola będzie jechać dużo wolniej. Jak daleko mogła dotrzeć?

Postaw się na jej miejscu, przykazał sobie w duchu. Sieć się zaciska, czasu coraz mniej, nie masz dokąd iść.

W oddali wybuchła następna seria bomb. Pod niebo wzbily się słupy dymu. Przyszły mu na myśl ginące w tej chwili rośliny i zwierzęta – *Abies grandis*, *Taxis baccata*, *Cerastium glomeratum*, *Pteridium aquilinum*... I mnóstwo innych. Nawet lwie paszcze, chociaż z natury niezwykle uparte, z bombą nie miały szans.

Wszystko przez tę przeklętą wojnę.

Jak Katarina się czuła, widząc, co się dzieje?

Była dumna, że lotnicy z jej kraju przedarli się przez angielskie linie obronne? W to raczej wątpił. Jak by nie patrzeć, przez to bombardowanie sama znalazła się w niebezpieczeństwie; kilka kilometrów to za mało, by zupełnie nie przejmować się nalotem: wystarczyłoby, żeby jeden heinkel

czy dornier zoczył trochę z kursu i zrzucił swój ładunek akurat tutaj. Jej rodacy mogli ją zabić.

Wobec tego pewnie zawróciła, widząc eksplozje. Powinna przecież jechać na wschód, na wybrzeże.

Tylko że ona nie jest osobą, która łatwo traci głowę, pomyślał. Nie ucieka na oślep przed niebezpieczeństwem, przeciwnie: zbliża się do niego, godzi się z nim, przez co jest jeszcze bardziej nieprzewidywalna. Może dla niej słupy ognia nie były zagrożeniem, lecz zasłoną, która oddzieli ją od wścibskich agentów MI-5.

W takim razie pojechała prosto w ich kierunku.

Winterbotham też skręcił na zachód.

Cieżarówka przejechała przez rów, niemal zawiesiła się podwoziem na masywnym krzaku, wyrwała mu się, przechyliła na bok, aż wreszcie stanęła stabilnie na czterech kołach.

Wybuchy rozlegały się coraz dalej na wschód i na północ od miejsca, gdzie znajdowała się Katarina. Zakręciła kierownicą, kierując się prosto w ich stronę, i przycisnęła pedał gazu do podłogi. Musiała dostać się na tyle blisko, by wykorzystać lukę w sieci obławy, ale nie za blisko, bo wtedy mogłaby zginąć w wybuchu.

Przedarła się przez żywopłot, potem, rozbryzgując wodę, przez płytki stawek i wypadła na otwartą przestrzeń.

Bomby wybuchaly teraz znacznie bliżej, ale ona tylko mocniej zacisnęła ręce na kierownicy. Skręci w ostatniej chwili, ale nie wcześniej; gdyby zawiodły ją nerwy, straciłaby ostatnią szansę.

Hałas był ogłuszający, a widok iście apokaliptyczny, jakby noc zmieniła się w ognisty dzień.

Odruchowo skręciła kierownicę.

Zacisnęła usta w wąską kreskę.

Przywróciła kierownicę w poprzednie położenie i jechała dalej.

Prosto.

Eksplozje były na swój sposób piękne: wielobarwne fontanny ziemi i ognia, odłamków drzew i kamieni, strzępów darni i kłębow dymu... Dwadzieścia metrów przed maską, potem piętnaście, dziesięć...

Skręciła – za późno.

Cały świat stał się nagle cichym i spokojnym miejscem.

Winterbotham dostrzegł ciężarówkę na ułamek sekundy przed tym, jak wjechała w ścianę płomieni.

Z całej siły wcisnął hamulec, zamrugął i przetaił oczy.

Musiał się przygotować, zanim ruszy za nią, zanim skieruje bentleya prosto w ogniste piekło.

Zamiast tego siedział w samochodzie w bezpiecznej odległości od żaru, wsłuchany w dudnienie własnego tętna w skroniach.

Sieć obławy na pewno pękła, doszedł do wniosku. Nawet najbardziej zaprawiony w bojach komandos nie będzie stał bez ruchu, patrząc, jak bomba z junkersa spada mu na głowę. Gdy tylko bombardowanie się skończy, na pewno zewrą szeregi, ale jeżeli Katarina Heinrich przeżyła, to teraz właśnie miała swoją wielką szansę. Do świtu nie rozstawia nowych posterunków.

Patrzył na ścianę ognia, bezwiednie ogryzając paznokcie kciuka – chociaż tego nawyku pozbył się już dobre czterdzieści lat temu.

Co chwilę rozlegał się nowy wybuch.

Nikt by tego nie przeżył.

Katarina patrzyła, co się dzieje. Było jej przyjemnie lekko na duszy.

Czuła się tak, jakby ktoś przygniótł ją ogromną, miękką poduchą. Jakieś drobinki bębniły o dach samochodu, potem o podwozie, o dach, i znów o podwozie, gdy wolniutko, łagodnie toczył się i toczył.

A potem coś się stało: rozległ się huk i cały świat pociemniał. Głośny ryk wszystko zagłuszył.

Minał jakiś czas. Poczowała, że chce jej się pić; zrobiło się przecież całkiem gorąco. Jak to na plaży, kiedy słońce rozgrzewa piasek...

Samochód znów się przeturlał i cisnęło ją na wykonane chyba z tektury drzwi, które ustąpiły pod jej ciężarem i Katarina wypadła na trawę. Ziemia była pochlapana stopionym metalem, ale i tak było to lepsze, niż uwięzienie w dwutonowej, płonącej trumnie. Przycisnęła się do murawy; auto potoczyło się dalej. Bóg chyba nad nią czuwał, bo udało się jej nie dotknąć twarzą stopionych odłamków.

Ogłuszający ryk rozbrzmiewał teraz wysoko w górze.

To samoloty zawracały, szykując się do kolejnego nalotu.

Wstań i rusz się stąd, Katarino, pomyślała całkiem przytomnie.

Czy przed chwilą nie siedziała przypadkiem w szoferce samochodu?

Co się z nim stało?

Zastanawiała się jeszcze nad tym, gdy znów coś się wydarzyło: tym razem całkiem blisko, po lewej stronie, rozszalał się piekielny ogień. Ktoś otworzył drzwiczki... Słońce mocno ją już opaliło, za mocno – no, ale przecież to była naprawdę gorąca plaża i...

Czołgaj się przynajmniej.

Podpełzła kawałek do przodu, nie zwracając uwagi na poparzenia i wściekle płomienie dookoła.

Po chwili owionęło ją chłodniejsze powietrze – lekki, ulotny powiew, który znikł niemal w tym samym momencie, w którym na niego natrafiła. Był jednak zimny i dawał nadzieję. Błogosławiony chłód, cudowna ulga... Z trudem wstała na nogi. Zakręciło się jej w głowie, ale znalazła następny chłodniejszy skrawek ziemi – tym razem zimno biło z dołu, od trawy. Świeżej, nie spalonej trawy. Osunęła się na ziemię.

Chciała odpocząć.

Zebrała siły, przetoczyła się na plecy i spojrzała za siebie.

Ogień dogasał już, dym natomiast gęstniał z minuty na minutę. Dziesięć metrów od niej leżała dopalająca się ciężarówka, przewrócona do góry kołami.

To stamtąd się odczołgałam, dotarło do Katariny.

Złożyła sobie krótkie gratulacje, a potem znów ostrożnie wstała. W głowie jej dzwoniło, czuła się osłabiona i zmęczona, ale przynajmniej żyła i była cała.

Splachetek trawy biegł w ciemność, coraz dalej i dalej od ognia.

Chłodna, wilgotna, wspaniała trawa.

Katarina poszła po niej przed siebie.

W świetle poranka zniszczenia nie wyglądały zbyt poważnie.

Ziemia była popalona, cała zasłana zimnymi już odłamkami bomb, ciężarówka przypominała zgniecione pudełko, ale same tory pozostały nietknięte. Kiedy wstało słońce, jakiś ptak zaczął wesoło śpiewać wśród drzew.

Taylor i Winterbotham z cynowymi kubkami z kawą spacerowali po okolicy. Obaj palili papierosy. Inni agenci przeszukiwali pogorzelsko i okoliczne zarośla, rozmawiając półgłosem. Ze

dwadzieścia psów szarpało się na uwięzi, skamląc rozpaczliwie.

Po dłuższej chwili Kendall podszedł do Taylora, wyprężył się na baczność i zsalutował.

– Ani śladu – zameldował.

– Mogła spłonąć żywcem?

– Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek mógł ujść z życiem z tej ciężarówki.

Winterbotham prychnął lekceważąco, na co Taylor odwrócił się do niego i uniósł z zaciekawieniem brwi.

– Musiałaby mieć piekielny fart, żeby wyjść z tego cało – powiedział.

– Jeżeli faktycznie była w ciężarówce, Andrew, to gdzie jest ciało?

– Może znajdziemy je gdzieś w tych krzakach. Jeszcze szukamy.

– Nie znajdziecie. Musimy urządzić następną obławę, i to szybko. Ilu jeszcze ludzi możesz tu ściągnąć?

– Drugie tyle – odparł po chwili namysłu Taylor. – Część z kryminalnej, część z komandosów.

– A gdybyś powiedział, że znalazłeś się w sytuacji podbramkowej i wykorzystał uprzejmość wszystkich tych, którzy są ci winni przysługę, o czym nigdy nie zapominasz... Ilu wtedy?

Taylor wydmuchnął chmurę dymu.

– Osiemdziesięciu – uznał. – Ale nie na długo – zastrzegł się zaraz. – Dwadzieścia cztery godziny.

– No to zrób to.

Rozdział 11

Peterborough, Norfolk

Zdaniem Gladys Lockhart to właśnie naloty sprawiały, że warto było żyć w czasie wojny.

Gdy tylko niemieckie samoloty zapuszczały się nad Kanał, Gladys wraz ze swym pracodawcą, sir Johnem Frederickiem Baileyem, opuszczali obrośnięty bluszczem domek z cegły i udawali się do wybudowanego na podwórku schronu. Siedzieli w ciemności, rozmawiając przyciszonymi głosami i wsłuchując się w komunikaty płynące z małego radioodbiornika. Chwilami zdarzało się, że w ciasnym wnętrzu ocierali się o siebie kolanami – Gladys przebiegał wtedy dreszcz, zagryzała wargi i starała się nie rumienić. Modliła się wtedy, by wojna trwała wiecznie.

Na dźwięk syren, za każdym razem odczuwała to same nerwowe podniecenie; czym prędzej porzucała wykonywane właśnie obowiązki i czekała przy tylnych drzwiach na swojego pracodawcę, który przychodził tam wprost z gabinetu. Razem wychodzili z domu, przemykali przez ogródek, wymijali kilka kłujących krzaków róż i podwójny żywopłot, a potem sir John Frederick Bailey szarmancko przepuszczał ją przodem, gdy wchodzili do schronu. Schylała głowę i schodziła na dół, często stąpając wprost w kałużę, zbierającą się na podłodze po nocnym deszczu. Któż by się tym jednak przejmował? Mokre stopy były doprawdy niewygórowaną ceną za minuty, a czasem nawet godziny spędzone sam na sam z sir Johnem Frederickiem Baileyem.

Rzecz jasna, każdy nalot kiedyś się kończył. Wracali wtedy razem do domu – który oczywiście był znacznie skromniejszy, niż to, na co mógłby sobie pozwolić sir John (skromność pracodawcy była w oczach Gladys jego największą zaletą) – i do swoich zwyczajnych ról pana i służącej. Sir John Frederick Bailey udawał się do swego gabinetu, gdzie ślęczał nad książkami i papierami, starając się dotrzymać kolejnych terminów.

Gladys zaś odkurzała sofę, wyrzucała śmieci, zamiatała i marzyła o następnym nalocie.

Ta noc należała do szczególnie udanych.

Sir John zaczął jej opowiadać o swojej pracy. Rzadko poruszał ten temat w rozmowach z Gladys, a jeśli już mu się to zdarzyło, ograniczał się do zupełnych ogólników. Tym razem jednak zapalił się bardziej niż zwykle i wdał w szczegółowy opis wizji powojennej odbudowy kraju. Gladys nie miała wątpliwości, że od czasu śmierci żony nie miał innej pasji, której oddawałby się z takim zapałem. Zupełnie stracił poczucie czasu – minęła prawie godzina, odkąd ostatnia niemiecka maszyna wróciła nad kontynent, zanim zdał sobie sprawę, że się zapomniał.

Roześmiał się, zdjął okulary i zaczął je przecierać rękawem.

– Przepraszam cię, droga Gladys – powiedział. – Dałem się ponieść wyobraźni. Pewnie zanudziłem cię na śmierć.

– Ależ skąd, proszę pana – odparła z uśmiechem.

– Takie cierpliwe z ciebie dziecko? Nie, ja wiem, że po prostu jesteś dobrze wychowana. Chodź, wracamy; zdążymy jeszcze zjeść kawałek ciasta przed snem.

Wygramolili się ze schronu – jak zwykle sir John puścił ją przodem; w jego świetle rycerskość brała górę nad świadomością różnic klasowych – i niespiesznie wrócili do domu. W sercu Gladys zakiełkowała nieśmiała nadzieja. Spędzili razem tak wspaniały wieczór, cudowny wieczór; sir John Frederick Bailey zapomniał się zupełnie i opowiadał jej bez końca o swojej pracy – traktował ją przy tym jak równą sobie i wydawało się niemożliwe, wręcz niewyobrażalne, żeby przekroczywszy próg oplecionego bluszczem domu tak po prostu wrócili do dawnych ról. Osiągnęli jakiś ważny, przełomowy moment we wzajemnych stosunkach. Ta noc musiała wszystko zmienić.

Zatrzymała się przy drzwiach, czekając na sir Johna. Czowała unoszący się w powietrzu odór dymu, chociaż był słaby, ledwie wyczuwalny; bomby musiały spaść gdzieś dalej na południowy zachód. Słyszała bzyczenie cykad i rytmiczne łomotanie frontowej furtki. Przypomniała sobie, że powinna ją zamknąć na skobel, zanim się położy. Najpierw jednak zamierzała się przekonać, jak też sir John Frederick Bailey będzie ją teraz traktował. Może zaprosi ją, by wspólnie zjedli ciasto, zamiast oczekiwać, że – jak zwykle – poda mu je do pokoju? Jak mógłby tego nie uczynić? Przecież siedząc w schronie, połączyli się w tak osobisty sposób. Przez ten czas pełniła rolę... Cóż, rolę żony, tak, żony, jeśli nie było to zbyt daleko idące założenie: słuchała go, służyła wsparciem, czasem podsuwała celną uwagę lub zadawała odpowiednie pytanie. Tak głęboka bliskość nie mogła ot, tak po prostu zniknąć z minuty na minutę.

Kiedy jednak przekroczyli próg, sir John Frederick Bailey odwrócił się do niej i rzekł:

– Zjem ciasto u siebie w gabinecie, Gladys. Przynieś mi je, proszę, gdy tylko pozmywasz naczynia.

I powłócząc nogami, zniknął w głębi korytarza. Drzwi gabinetu otworzyły się i zamknęły ostatecznie.

Gladys wzięła głęboki oddech, z roztargnieniem otarła dłonią kącik oka i poszła do kuchni, gdzie czekały na nią talerze i garnki.

Nie była brzydka. Wprost przeciwnie: dopóki chłopcy w jej wieku kręcili się po okolicy, zawsze poświęcali jej sporo uwagi. Teraz oczywiście trochę już dorosła – za miesiąc skończy osiemnaście lat – i chłopców w jej wieku trudno było znaleźć. Większość z nich kulila się w błotnistych okopach gdzieś daleko od domu. Walczyli na wojnie.

Gladys uważała, że od tamtej pory nawet wyładniała – przez ostatni rok nogi jej się wydłużyły, wyzgrabniały i w ogóle zaczynały wyglądać bardziej kobieco, talia zarysowała się wyraźniej, biodra przyjemnie zaokrągliły, a pośladki urosły, stały się jędrne i rysowały się pod spódniczką w nader dojrzały sposób. Skórę miała gładką, mlecznobiłą, policzki zaróżowione, a włosy jasne, długie i lśniące.

Dlaczego więc sir John Frederick Bailey ani razu nie próbował jej jeszcze pocałować?

Oglądała się w lustrze nad toaletką ze wszystkich stron: wciągnęła brzuch, wypuściła go, skrzywiła się, uśmiechnęła, zmarszczyła brwi. Może nie podobały mu się jej zęby – były trochę żółtawe. Ale sam sir John Frederick Bailey też miał wcale niepiękne zęby, znacznie bardziej żółte niż ona.

Jego żona nie żyła od dwunastu lat. Samotność musiała mu przecież dokuczać; z pewnością miał swoje potrzeby – a jednak ani razu nie spojrzął na nią, tak, nawet nie spojrzął, z najlżejszym choćby

błyskiem pożądania w oku.

Furtka zgrzytnęła o ogrodzenie.

Może piersi za bardzo jej urosły? Ta groźba wydała jej się całkiem realna i trochę ją zaniepokoiła. Zawsze myślała, że mężczyźni wolą kobiety z dużymi piersiami – takie przekonanie panowało powszechnie w szkole, którą opuściła w wieku lat czternastu, a także w Bristolu, gdzie pracowała w sklepie, zanim trafiła do agencji pomocy domowych. Ale może nie zawsze tak było? Może mężczyznom podobały się różne piersi, tak jak lubili różne opery czy różne mięsne dania? I może sir John Frederick Bailey wołał kobiety o drobnych piersiach?

Westchnęła, podparła swoje piersi dłońmi, a potem przycisnęła je do żeber, rozmyślając o tym, jak by tu utrzymać je trwale w takiej pozycji.

A jeżeli wcale nie chodziło o jej ciało, tylko o samą twarz? Wciągnęła policzki i obejrzała się krytycznie najpierw z jednego profilu, potem z drugiego. Jej zdaniem nic jej nie brakowało, ale skąd miała wiedzieć, czy naprawdę jest ładna, czy tylko tak się jej wydaje? Skąd ludzie w ogóle mogą wiedzieć takie rzeczy? Chłopcy się za nią oglądali, to fakt, ale z kim mieli ją porównywać? Chłopcy...

Zmarszczyła brwi; coś się zmieniło.

Na dworze. Czyżby wiatr? Nie, zawodził jak dawniej.

Furtka. Furtka nie obijała się już o ogrodzenie.

Gladys podeszła do okna i wyjrzała na drogę. W świetle gwiazd ujrzała leżącą na ścieżce kobietę. Furtka, obojętna na jej obecność, bezgłośnie uderzała teraz o jej ciało. Raz za razem.

Początkowo zamierzali wnieść ją do sypialni dla gości, na piętro, ale okazała się cięższa, niż na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać. Zrezygnowali więc i zabrali ją do sypialni sir Johna. Ułożywszy ją na łóżku, jak na komendę cofnęli się o krok i zaczęli się jej przyglądać.

No i proszę, pomyślała rozgoryczona Gladys Lockhart. Jest w domu od pięciu minut i już wylądowała w łóżku sir Johna. A mnie się to w życiu nie udało.

Sir John zdjął okulary, wytarł je o rękaw, założył z powrotem i powiedział:

– Muszę przyznać, że pod tą warstwą brudu znajduje się chyba całkiem ładna kobieta.

Zdaniem Gladys dziewczyna miała jakieś dwadzieścia siedem, może dwadzieścia osiem lat – i rzeczywiście była ładna, ładniejsza od niej, choć miała zupełnie inną urodę: krótkie, modnie przycięte, ciemne włosy, wyraziste kości policzkowe, szczupłe ciało, które raczej sugerowało krągłości, niż się nimi szczyciło. Ale była też zwyczajnie brudna, umazana sadzą i zakrzepłą krwią, podrapana i poparzona. Prawą rękę miała całą zakrwawioną i owiniętą jakąś ohydną szmatą. Unosił się znad niej zapach potu i inny, gorszy jeszcze odór: smród przypalonego ciała. Sukienkę miała podartą w kilku albo nawet kilkunastu miejscach. Oddychała płytko, nierówno, a kiedy ją przenosili, obśliniła się doprawdy paskudnie.

– Skąd ona się tu wzięła? – zaciekawiała się Gladys.

– Sądząc po tych poparzeniach, musiała być gdzieś blisko, kiedy spadły bomby – stwierdził sir John. – Zgubiła się i błąkała bez celu, ale poza tym... Nie wiem.

– Wy dobrze?

Sir John z marszem na czole pochylił się nad dziewczyną, podniósł jej jedną powiekę i zajrzał w źrenicę.

– Nie jestem oczywiście lekarzem, ale... Chyba nic jej nie będzie. Poparzenia nie wyglądają na poważne. Pewnie miała wstrząśnienie mózgu. Trzeba by ją trochę umyć, żeby nie wdało się

zakażenie. Potem niech się wyśpi. Może rano będę ją mógł odwiedzić tam, skąd przyszła. To byłoby chyba uczciwe wykorzystanie przydziału benzyny, jak sądzisz?

– Zgadzam się z panem.

– Chociaż to pewnie kawałek stąd... – zafrasował się sir John. – Znam wszystkich mieszkańców Peterborough, tak mi się przynajmniej wydaje, ale jej na pewno jeszcze nie widziałem.

– Jest bardzo ładna.

– Może jej sienie spodobać, że ktoś obcy ją rozbierał i przemywał rany, ale przypuszczalnie zyczliwiej przyjmie pomoc obcej kobiety niż obcego mężczyzny. Mogłabyś się nią zająć, Gladys?

– Ależ naturalnie, proszę pana.

– Wyśmienicie – stwierdził sir John Frederick Bailey. – Gdybyś mnie potrzebowała, będę u siebie.

– Zamierza pan tam spać?

– Chyba tak, jakoś dam sobie radę. Gladys zebrała się na odwagę:

– Z przyjemnością odstąpię panu swoje łóżko.

– Nie, przemęcę się przez jedną noc. Dziękuję jednak, że o tym pomyślałaś, Gladys. – Jego orzechowe oczy spoczęły na niej. – Co za przemyślna z ciebie dziewczyna... Twoja matka byłaby dumna.

Gladys, której matka zmarła, gdy dziewczynka miała dwa latka, nie odezwała się.

– Wiesz, gdzie jest miednica, Gladys. Zostawiam cię z naszym gościem.

Ministerstwo Wojny

Taylor włożył papierosa do ust, zapalił go i upuścił zapalną do stojącej na biurku szklanej popielniczki. Zaciągnął się głęboko, aż mu się policzki zapadły – i Winterbotham wiedział już, że coś poszło nie po jego myśli. Nie wytrzymał:

– Mów, o co chodzi – ponaglił Taylora. Taylor wydmuchnął chmurę dymu.

– Zniknęła.

– To niemożliwe.

– Też tak myślałem, ale przeczesałismy teren w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od wraku ciężarówki i nie znaleźliśmy ani śladu Katariny Heinrich. Przez ten czas nie mogłaby dalej uciec, Harry, nawet gdyby była w szczytowej formie. Jeżeli zaś mamy przyjąć, że oddaliła się pieszo z miejsca wypadku...

– Oczywiście że tak.

– W takim razie musiała się gdzieś utopić, bo inaczej psy podjęłyby trop. Odwołuję poszukiwania, póki zostali w odwodzie jacyś ludzie, którzy sami jeszcze coś winni. Jutro przeszukamy strumienie i jeziora.

– Na miłość boską, Andrew, prawie ją mamy!

Taylor pokręcił głową.

– Wiesz, co naprawdę mamy, Harry? Setkę ludzi pracujących nad jedną sprawą. Ich macierzyste agencje zaczynają się o nich upominać, a ja nie mam powodu, by ich dłużej trzymać. Nie zapominaj, że...

– Nie zapomniałem.

– Nie możemy bez końca rozszerzać zasięgu poszukiwań – sześćdziesiąt kilometrów, siedemdziesiąt, sto... To niewykonalne. Poza tym, jeśli jeszcze żyje, za pięć dni i tak ją capniemy w zatoce Whitley.

Winterbotham pochylił się i oparł łokciami o blat biurka.

– Zróbcie to od razu, Andrew. Poszerzcie krąg do stu pięćdziesięciu kilometrów i przejdźcie się po domach. Po wszystkich domach.

– Harry, wiem, że chciałbyś mieć swoją szansę odzyskania Ruth...

– To nie ma nic do rzeczy.

– Złapiemy ją w zatoce Whitley i już. Na moim miejscu na pewno zrobiłbyś dokładnie to samo.

Winterbotham posłał mu lodowate spojrzenie. Przez chwilę wydawało się, że chce coś powiedzieć, a potem rozsiadł się wygodniej na krześle, wyciągnął fajkę i zaczął ją nabijać.

– Prawda? – spytał Taylor.

– Prawda – przytaknął Winterbotham, nie podnosząc wzroku.

Peterborough, Norfolk

Kobieta została umyta, przebrana w jedno z ubrań Gladys i obandażowana; mimo opatrunku na skroni, okropnego, szpecącego pół twarzy oparzenia i krwawej szramy na nosie wciąż wyglądała prześlicznie.

Gladys stała w drzwiach sypialni, przyglądając się jej ponuro. Jak mogła liczyć na względy sir Johna, kiedy w pobliżu znajdowało się takie bóstwo?

Patrzyła na śpiącą, dopóki gwizd czajnika nie wyrwał jej z zamyślenia. Idąc do kuchni wpadła na sir Johna, który wynurzył się właśnie z gabinetu w wymiętym, wczorajszym ubraniu.

– Och! – wykrzyknęła. – Najmocniej pana przepraszam.

– To moja wina – mruknął w odpowiedzi. – Tylko i wyłącznie moja wina. – Odsunął się na bok, przepuszczając ją pierwszą do kuchni.

– Właśnie zjrzałam do niej, żeby zobaczyć, jak się miewa – wyjaśniła Gladys. Sięgnęła po czajnik.

– I co?

– Ciągle śpi, ale przynajmniej już spokojniej niż w nocy.

– To dobrze. Co przyrządzisz na śniadanie, Gladys?

– Owsiankę – odparła z uśmiechem. – Może ugotuję kawałek parówki, gdyby miał pan ochotę...

– Z przyjemnością. Nie wiem czemu, ale jestem okropnie głodny.

– Mam ją zbudzić, żeby usiadła z nami do śniadania?

– Nie, niech się biedactwo wyśpi. Ale przygotuj trochę więcej jedzenia; jak tylko zjemy, pójdziemy ją obudzić.

Sir John pstryknął jej palcami przed twarzą – raz, drugi, a potem klepnął ją lekko w policzek.

– O, proszę – powiedział. – Już dochodzi do siebie. Dzień dobry, panienko. Jak się pani czuje?

Kobieta przeniosła wzrok z jego twarzy na twarz Gladys i w jej oczach mignęła iskierka lęku.

– Proszę się niczego nie obawiać – uspokoił ją sir John. – Jest pani wśród przyjaciół. Chyba w nocy znalazła się pani za blisko jednej z tych beczulek, co je z nieba zrzucają. Ale nic się pani nie stało; tylko głowę ma pani poobijaną. No, proszę się nie bać; naprawdę jest pani wśród swoich. Uda się pani usiąść?

Nieznajoma usiadła posłusznie, choć z trudem; sir John podtrzymał ją za ramię.

– Gdzie ja jestem? – zapytała.

– W Peterborough, *madame*, w moim domu. Nazywam się sir John Frederick Bailey i jestem członkiem Królewskiego Instytutu Architektów Brytyjskich. A uprzedzając pani następne pytanie dodam, że dotarła pani do nas o własnych siłach, tej nocy. Z dostarczeniem pani do domu nie

mieliśmy nic wspólnego.

Dziewczyna zamrugła niepewnie.

– Jak już mówiłem, jest pani troszkę poobijana i poparzona, lecz zapewniam panią, że nie ma żadnych poważniejszych obrażeń. Te bandaże są bardziej na pokaz. Przypuszczam, że wszystko zagoi się szybko i bez śladu.

Kobieta znów spojrzała na Gladys, której wydało się, że przerażenie w jej oczach ustępuje z wolna miejsca ciekawości.

– Wzięliście mnie do siebie? Do domu? – spytała nieznajoma.

– Nie mogliśmy postąpić inaczej.

– To prawdziwie chrześcijański uczynek, proszę pana.

– A dla mnie prawdziwa przyjemność, panienko. Czy mogę zapytać, jak się pani nazywa?

– Agnes, Agnes Bevin. Pochodzę z Cardiff.

– Z Cardiff! Cóż w takim razie sprowadza panią do Norfolk?

– Jechałam właśnie do siostry, która mieszka w Leicester.

– Pociągiem?

– Właśnie.

– Tak się zastanawiam... Czy w nocy wykoleił się jakiś pociąg? Pamięta pani, panno Bevin, okoliczności wypadku?

– Ostatnie, co pamiętam... Zaraz, niech no się zastanowię. Przejechaliśmy właśnie przez Huntingdon, kiedy światło zgasło i pociąg zaczął zwalniać. Powiedziano nam, że będzie nalot, więc zaciągnęliśmy dokładnie story w oknach...

– Huntingdon! – powtórzył sir John.

– Zgadza się.

– I doszła tu pani na piechotę? Agnes przycisnęła dłoń do skroni.

– Nie mogę... Szczerze mówiąc, trochę boli mnie głowa.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny, panno Bevin. Zapominam o swoich obowiązkach gospodarza. Jeżeli czuje się pani na siłach, żeby przejść do jadalni, zaraz podamy śniadanie. Przesłuchanie możemy kontynuować później.

Agnes uśmiechnęła się słabo w odpowiedzi.

– Spróbuję – powiedziała.

– Znakomicie. Gladys, weź panią pod drugie ramię, jeśli łaska. Razem zaprowadzimy ją do jadalni. Przy stole będziemy mogli porozmawiać jak cywilizowani ludzie.

Agnes Bevin miała wilczy apetyt.

Gladys Lockhart, która pod byle pozorem wymykała się co chwilę do kuchni, czuła złośliwe zadowolenie, patrząc jak Agnes się obżera; nie zachowa długo idealnej figury, jeśli prędko nie zmieni swoich nawyków. Ledwie jednak zdała sobie sprawę z kierunku, jaki przybierają jej myśli, natychmiast poczuła się winna. Skąd ta mściwa satysfakcja? Nie można przecież naśmiewać się z tego, że ktoś jest głodny. Może ludziom w Cardiff wiodło się gorzej niż w Norfolk? Gladys doskonale wiedziała, że sir Johnowi powodzi się lepiej niż przeciętnemu mieszkańcowi hrabstwa: co tydzień dostawał świeże jajka i dziesięć deka mięsa, co w niektórych rejonach musiało wystarczyć dla całej rodziny. Zasługiwał na specjalne traktowanie – miał przecież tytuł szlachecki, był uznanym, znakomitym...

– ...architektem – usłyszała jego głos. – Nie chcę się, rzecz jasna, przechwalać, ale studiowałem

w Uppingham, a kiedy uzyskałem dyplom, otrzymałem posadę wykładowcy w Liverpool School of Architecture; byłem najmłodszym wykładowcą w długich dziejach tej szacownej instytucji. – Sir John uśmiechnął się i zdjął okulary, żeby przetrzeć szkła. – Wkrótce potem jako specjalista od budownictwa cywilnego zostałem członkiem rady naukowej, a później profesorem. Zastanawia się pani pewnie, skąd wziął się mój tytuł szlachecki? Otóż założyłem organizację, która dba o zachowanie nienaruszonej, tradycyjnej angielskiej wsi. Moja idea została chętnie zaakceptowana i wcielona w czyn, muszę przyznać...

Dziewczyna pakowała sobie właśnie do ust kolejny kawałek parówki i prawie nie zwracała uwagi na jego słowa.

– Ale mniejsza z tym. – Sir John odchrząknął. – Przepraszam, panno Bevin, zagalopowałem się. Chyba strasznie panią nudzę.

Podniosła na chwilę głowę.

– Nie, skądże. – Spuściła wzrok na talerz.

Gladys nie mogła już znaleźć sobie nowego zajęcia w kuchni, wyszła więc, skłoniwszy się lekko sir Johnowi, który nie zwrócił na nią uwagi. Właśnie opowiadał o konferencji, na której spotkał Chamberlaina, była to jedna z jego ulubionych historii.

– Widać było, że ten człowiek się kończy, Agnes. Ręka tak mu się trzęsła, kiedy mi ją podawał...

Gladys zrobiła kilka kursów z domu na podwórze i z powrotem, przynosząc pościel, mydło z detergentem, balię i tarę, a potem uklękła na trawie nieopodal schronu i zaczęła pracować. Unoszone wiatrem płatki mydlane wirowały w powietrzu.

Piorąc, zerknęła od czasu do czasu w małe kuchenne okienko. Nieznajoma – Agnes – i sir John Frederick Bailey nadal siedzieli przy stole, sącząc herbatę. Gladys się zaniepokoiła: jak to możliwe? Nigdy nie widziała, żeby sir John sam zaparzył sobie herbatę; była zaskoczona, że w ogóle to potrafi.

Może Agnes zrobiła herbatę im obojgu.

Jak to miło z jej strony.

Kiedy po dłuższej chwili ponownie zerknęła w okno, nie spodziewała się już ujrzeć sir Johna, który powinien był udać się do gabinetu. Zawsze przecież pracę cenił sobie najwyżej i wydawało się mało prawdopodobne, by przesiadywał bez celu nad filiżanką herbaty, choćby nie wiedzieć jak atrakcyjnego gościa przyjmował.

Tymczasem sir John nie wstał jeszcze od stołu. Śmiał się właśnie z czegoś, co powiedziała Agnes, a potem położył jej dłoń na udzie. Agnes miała na sobie spódnicę Gladys i widać było, jak materiał wybrzuszył się między jego palcami, gdy ścisnął mocniej udo dziewczyny. Zaraz jednak cofnął rękę, a Agnes zawtórowała mu melodyjnym śmiechem.

Gladys zagryzła dolną wargę, schyliła się nad balią i tarła tak długo i mocno, aż koszula podarła się jej w rękach.

Rozdział 12

Finch Pub, Whitehall

Rzucona przez Jamesa Kendalla lotka zatoczyła nierówny łuk, ku ogólnemu rozbawieniu minęła tarczę i wbiła się w ścianę.

– Jedno piwko za dużo! – zawołał ktoś wesoło. – W strzałki nie za bardzo ci idzie, co, chłopcze? Może przerzucić się na karty!

Kendall z uśmiechem cofnął się o krok z narysowanej na podłodze linii.

– Z przyjemnością – odparł.

– Dzięki Bogu. Chodźcie, chłopcy, czas naprawdę zagrać w strzałki. Kendall pogroził żartownisiowi palcem, wrócił do baru, wziął z niego swój zapomniany kufel i patrzył, jak rozwija się gra.

Nagle zdał sobie sprawę, że tuż za nim stoi jakiś wysoki mężczyzna, roztaczający wokół siebie dziwną, pomarańczową woń.

– Nie rzucaj tak mocno, chłopcze – odezwał się nieznajomy. – I nie odrywaj stopy od ziemi. Jeżeli lotka weszła w ścianę, to na pewno wbiłaby się i w tarczę.

– Doceniam pańskie dobre rady – odrzekł sztywno Kendall. – Ale to nie moja wina, tylko strzałek. Są źle wyważone.

– Dziwne tylko, że inni nie mają takich problemów, co?

Kendall odwrócił się, zamierzając coś powiedzieć, ale zaniemówił na widok mężczyzny, który stał za nim z kuflem piwa w jednej i nabitą fajką w drugiej ręce. Ostatni raz widział Winterbothama, kiedy wraz z Taylorem kierował poszukiwaniami na tamtym wrzosowisku. Z pewnością nie spodziewał się spotkać go tutaj, w Finchu.

– Najmocniej przepraszam – wyjąkał. – Nie wiedziałem, że to pan.

– Nie ma sprawy, Kendall. Jeszcze nic złego nie powiedziałaś.

– Eee... To prawda, proszę pana.

– Chodź, znajdziemy sobie jakiś kącik. Chciałbym porozmawiać, jeśli masz wolną chwilę.

Usiedli przy stoliku w loży, pod zasłoniętym kotarą oknem. Winterbotham wcisnął się na ławkę z jednej strony, Kendall z drugiej. Stuknęli się kufłami i zgodnie upili piwa. Kendall wyjął z kieszeni zwitek bibulek i kapciuch z tytoniem. Gdzieś z rogu dobiegło ich pijackie *Roll Out the Barrell*.

– Szczerze mówiąc, zdziwiłem się, widząc pana w takim miejscu. Nie sądziłem, że lubi się pan mieszać z pospólstwem.

– Obraziłbym się za te słowa, synu, gdyby były prawdziwe – odparł z uśmiechem Winterbotham.

– Ale nie są: przyszedłem tu po to, żeby się z tobą spotkać.

– Ze mną?

– Kiedy od twojej żony dowiedziałem się, że zostałeś dłużej w pracy, przyszedłem prosto do Fincha.

Kendall poczerwieniał.

– Za przeproszeniem... Naprawdę zasiedziałem się w biurze. Tutaj jestem dopiero chwilę.

– Wierzę ci, Kendall, wierzę. Spokojnie.

– Przepraszam.

– I przestań mnie przeproszać.

– Tak jest. Ja tylko... – Kendall ugryzł się w język.

– Świetnie – rzekł Winterbotham i chciał pyknąć z fajki, ale zdążyła zgasnąć. Zapalił ją więc, wydmuchnął kółko z dymu i mówił dalej:

– Nad czym tak pracujesz w ministerstwie, że musisz siedzieć wieczorami w biurze, co?

Kendall zwinął skręta, polizał skraj bibułki, zlepił ją i wsunął papierosa do ust. Pochylił się nad stołem, żeby Winterbothamowi łatwiej było mu go przypalić.

– Nie jestem pewien, czy powinienem o tym mówić, proszę pana. Bez urazy.

– Bez urazy. Powiedz mi w takim razie, czy dobrze się domyślam: w niedzielę, w rejonie zatoki Whitley, pewna kobieta ma wpaść w zastawioną przez was pułapkę. Sam również jestem w tę operację zaangażowany, choć przyznaję, że nie zgadzamy się z Taylorem co do metod postępowania.

– Nie zgadzacie się?

– Ja uważam, że powinniśmy ją zatrzymać już teraz, zanim dotrze do zatoki Whitley. Taylor upiera się, żeby czekać.

– Pan wybaczy, ale ja również nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy teraz jej szukać. Wiemy gdzie i kiedy się zjawi; tymczasem samo utrzymanie blokad na drogach to poważne przedsięwzięcie. – Kendall wydmuchnął chmurę dymu. – Poza tym ona pewnie i tak nie żyje; inaczej psy by ją zwęszyły.

– Trupa też by zwęszyły.

– Ale nie pod wodą, proszę pana. Za przeproszeniem.

– Hmm... – Winterbotham wypuścił dwa idealnie okrągłe kółeczka dymu. – Mam własne powody, by nalegać na zatrzymanie jej, zanim dotrze nad morze. Osobiste. Wiesz, Kendall, jaką rolę odgrywam w działaniach MI-5?

– Nie, proszę pana.

– Niemcy uwięzili moją żonę. Mam zdradzić Anglię w zamian za jej uwolnienie. Wszystko oczywiście za zgodą Taylora. Inaczej mówiąc: udaję podwójnego agenta.

Kendall nie posiadał się ze zdumienia. Długo przyglądał się Winterbothamowi, a potem podniósł kufel i pociągnął solidny łyk piwa.

– Dopóki ta Heinrich pozostaje na wolności, moja misja jest zawieszona – dokończył Winterbotham.

– To rozkaz Taylora?

– Tak.

– Przykro mi, proszę pana.

– Ta ciężarówka jechała prosto na nas, Kendall. Pamiętasz?

– Nigdy tego nie zapomnę. Gdyby mnie pan nie pociągnął...

– Czy nie sądzisz w takim razie, że jesteś mi coś winien?

– Ocalił mi pan życie.

– No to mi pomóż, Kendall! Pomóż mi ją znaleźć przed niedzielą. Zorganizujemy własną ekipę i przeszukamy okolicę w promieniu, dajmy na to, stu pięćdziesięciu kilometrów od Leicester.

Zdumiony Kendall uniósł brwi. Widział, że Winterbotham mówi poważnie. Zamyślił się.

– Z MI-5 mogę wyciągnąć najwyżej dwóch, trzech ludzi, tak żeby Taylor się nie zorientował.

– Przekonałem się, mój synu, że można sobie na bardzo wiele pozwolić pod samym nosem Taylora, a on niczego nie zauważy. Na pewno uda ci się wyrwać więcej agentów.

– Przykro mi, ale to raczej niemożliwe. Poza tym wystarczy, że ja zniknę z biura, a już zaczną się pytania.

– Na to jestem przygotowany. Jeżeli ją złapiemy, ich wątpliwości będą bez znaczenia.

– A ilu ludzi chciałby pan dostać?

– Co najmniej z tuzin, a jeśli to możliwe, to nawet więcej.

Kendall pokręcił głową.

– W całym MI-5 mam najwyżej pięciu, sześciu prawdziwych przyjaciół.

– A poza wywiadem? Jacyś kumple z dzieciństwa?

– Poszli na wojnę, proszę pana. Winterbotham westchnął ciężko.

– Proszę pana, gdybym mógł...

– Wiem. A teraz bądź cicho i daj mi pomyśleć. Kendall posłusznie zmilkł.

Minęło kilka minut. Winterbotham dopił piwo, pyknął parę razy z fajki i rzekł:

– Gdybym w przyszłości poprosił cię o jakąś przysługę, Kendall, nie zawiodę się?

– Ręczę panu, że nie.

Winterbotham wstał.

– Nie gniewaj się, że ci to mówię, ale nie siedź tu za długo, Kendall. Masz w domu śliczną dziewczynę, nawet jeśli nosi spodnie.

Kendall się uśmiechnął.

– Powtórzę jej, co pan powiedział.

– Dobrze. Do zobaczenia.

Winterbotham wyszedł z łoży, ale zawrócił jeszcze i pochylił się nad swoim towarzyszem.

– Może nadejść taki czas, Kendall, kiedy upomnę się, żebyś dotrzymał słowa.

– Z przyjemnością spłacę dług, proszę pana.

Winterbotham spojrzał na niego badawczo, skinął głową i odwrócił się, chcąc odejść.

– Proszę pana?

– Tak?

– Mam nie odrywać nogi od ziemi, tak?

– Właśnie: nie odrywać nogi od ziemi.

Kendall jeszcze dobre pięć minut siedział bez ruchu, potem dokończył piwo i zaczął zwijać następnego skręta.

Zatoka Whitley, Newcastle

Taylor i Winterbotham nie spodobali się Peterowi Faulknerowi od samego początku, zanim jeszcze zaczęli zadawać mu pytania.

Najpierw jego uwagę zwróciły ich ubrania – byłyby na miejscu w wielkim mieście, ale nie w stoczni czy w porcie. Potem, kiedy usiedli przy barze, jego wzrok przykuły ich ręce – gładkie, bez odcisków, dłonie przybyszów z miasta. Kiedy zamówili piwo, wychwycił ich dziwny akcent – z miasta, i to z tej jego zamożniejszej części.

Później opowiadał żonie, że wypytywali go o najróżniejsze rzeczy: o stocznię, o klimat, o knajpy. Pokazali mu zdjęcia ładnej, młodej, długowłosej kobiety o trochę skandynawskim typie urody i pytali, czy nie widział jej ostatnio w mieście. Kazali mu sobie wyobrazić tę samą kobietę z krótkimi, ciemnymi włosami, i to w dodatku dziesięć lat starszą.

Musieli być ze Scotland Yardu, powiedział żonie. Szukali tej kobiety, bo popełniła jakieś przestępstwo.

Jego żona parsknęła śmiechem. Ty to masz fantazję, Peterze Faulkner, powiedziała. Powinieneś zarabiać na życie pisaniem kryminałów.

No to czego od niej chcieli, zdziwił się. Kiedy zjawiają się jacyś tajemniczy faceci, i pokazują wszystkim zdjęcie pięknej kobiety...

Pewnie zdradziła męża i tyle, wyjaśniła Faulknerowi żona. A zazdrosny mąż wziął ze sobą kumpla i udają ważniaków. Czemu niby Scotland Yard miałby szukać jakiejś samotnej kobiety akurat tutaj, na końcu świata?

Do wieczora Taylor z Winterbothamem odwiedzili dwanaście pubów. Obaj byli zmęczeni, otepiali od dymu i lekko wstawieni. Chmury zasnuwały niebo, gdy udawali się do trzynastej z rzędu knajpy, Kirk House, gdzie podano im paszteciki z wątróbką, w których nie było chyba ani grama wątróbki.

– Jeżeli zatrzyma się w jakiejś gospodzie, to zwiniemy ją raz-dwa – powiedział Taylor znad talerza. – W mieście są tylko trzy: York House, Brown i Bay. W takim razie...

– W takim razie nie zatrzyma się w gospodzie – wtrącił Winterbotham.

– Zgadza się. Ale jeżeli w ogóle wyszła cało z tego piekła, nie czuje się chyba na tyle dobrze, żeby spędzić cały tydzień pod gołym niebem. Będzie musiała znaleźć kogoś, kto ją przygarnie.

– Jakiegoś miłego, naiwnego tubylca.

– Wobec tego musimy poczekać, aż wynurzy się z ukrycia i przyskrzynić ją na plaży.

– Gdzie dodatkowo będziemy mieli na karku niemiecki okręt podwodny – zauważył Winterbotham.

– Korweta, którą dowodzi Peterson, ma dziś wieczorem zacumować niedaleko stąd. W niedzielę podniesie kotwicę i postara się, żeby dranie się nie nudzili.

Winterbotham napił się piwa – Newcastle Brown było mocne i miało ostry, drażniący aromat.

– Jestem ci winien przeprosiny, Harry – rzekł po chwili Taylor. – Narobiłem ci nadziei, a teraz muszę cię hamować. Ale jedno mogę ci obiecać z całą pewnością: jak tylko ją zatrzymamy, twoja sprawa otrzyma najwyższy priorytet.

– Dziękuję, Andrew.

– Żałuję tylko, że nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić.

Znów przez dłuższą chwilę jedli i pili w milczeniu.

– Jeżeli nie jestem ci na razie potrzebny – odezwał się w końcu Winterbotham – to wróciłbym do Londynu, do swoich książek.

– Jak chcesz, Harry.

– Może jak się to wszystko skończy, wpadniesz do mnie na partyjkę szachów?

– W niedzielę wieczorem?

– Jak Bóg da.

– Jestem optymistą. – Taylor sięgnął przez stół i uściskał Winterbothama przyjaźnie za ramię. – Dzięki, stary. Bardzo nam pomagasz. Chcę ci powiedzieć, że zgłosiłem cię do Orderu Łaźni.

Winterbotham wytrzeszczył oczy.

– Dostanę medal...

– Tak jest. – Taylor skupił się już całkowicie na bezmięsnym paszteciku z wątróbką. – Nie znam nikogo, kto bardziej by na niego zasługiwał.

Rozdział 13

Peterborough, Norfolk

Kto cię strzyże, moja droga? Gladys Lockhart się zarumieniła. Podała świeżo umyty talerz Agnes, która zaczęła go wycierać.

– Sama przycinasz sobie włosy, prawda? – nalegała Agnes.

Zawstydzona Gladys skinęła głową.

– Czas z tym skończyć; zmienimy ci fryzurę. Masz jakieś magazyny ilustrowane? Z twarzy przypominasz Dorothy Lamour, ale włosy nosisz bardziej w stylu Greer Garson. Gdzie masz jakieś miesięczniki filmowe?

– W... w komodzie – wykrztusiła czerwona jak burak dziewczyna.

– Jak tylko skończymy myć naczynia, pójdziemy razem obejrzeć gazety. Co ty na to?

Sprawnie dokończyły zmywanie po kolacji, po czym Gladys zaprowadziła Agnes do swojej sypialni na piętrze i z dolnej szuflady komody wyjęła plik kolorowych pisemek. Rozłożyła je na łóżku i razem zaczęły je przeglądać.

– Nigdy nie lekceważ ładnej fryzury – poradziła jej Agnes. Dotknęła włosów Gladys. – Myślałaś o tym, żeby je przefarbować?

– Przefarbować włosy?

– No jasne! Trzeba myśleć nowocześnie, Gladys. Wyobraź sobie tylko, jak ładnie wyglądałabyś jako brunetka. Właściwie kiedy tak o tym myślę, to dochodzę do wniosku, że najwyższy czas, żebym sama coś zmieniła. Może się zamienimy, co?! Ja się zrobię na blondynkę, a ty ufarbujesz się na czarno. Niech no wtedy sir John Fredenck Bailey spróbuje nie zwrócić na ciebie uwagi! Niech tylko spróbuje!

Gladys zachichotała radośnie.

– A co do mnie... – zadumała się Agnes. – Niewiele można zmienić, jak się ma takie krótkie włosy, prawda? Trochę szkoda. Ale mogłabym przynajmniej przyciąć je krócej, równo, lekko podkręcić i ufarbować na blond... Albo na rudo. Nie masz przypadkiem farby do włosów, Gladys?

Dziewczyna pokręciła głową.

– A twoje przyjaciółki? Macie tu gdzieś w pobliżu sklep?

– Większość farb idzie na potrzeby wojska – wyjaśniła Gladys. – Na mundury.

– Mhm... – mruknęła Agnes. – Naturalnie. – Zamyśliła się i pionowa zmarszczka pojawiła się jej między brwiami. – A może jakiś wybielacz, taki do prania?

– A po co... Tak, pewnie, że mamy wybielacz.

– Wiem, wybielacz tylko mnie się przyda, bo twoje włosy od niego nie ściemnieją.

- Ale mogłabym przynajmniej zmienić jakoś styl, prawda? – zapytała z nadzieją Gladys.
- Oczywiście, kotku. Ostrzygę cię, a potem ty ostrzyżesz mnie.
- Ale ja nie jestem w tym za dobra...
- Pomogę ci – uspokoiła ją Agnes. – Pomalutku, ostrożnie, poradzimy sobie.

Wzięła Gladys za rękę.

Ukradkiem, na palcach zeszły na dół; zza drzwi gabinetu, którego sir John nadal używał jako sypialni, dobiegało donośne chrapanie. Gladys szybko znalazła wybielacz, nożyczki i miskę; po namyśle zabrała jeszcze ze sobą stary numer „The Standard”, żeby zebrać obcięte włosy na gazetę.

Kiedy wróciły do sypialni, Agnes zabrała się do pracy: ujmowała po kilka kosmyków włosów Gladys między palce, obcinała je, i przesuwiała się dalej. Gladys zafascynowana obserwowała w lustrze, jak zasłaniające jej częściowo twarz loki spadają na ziemię.

- Będę wyglądała okropnie grubo – stwierdziła.
- Bzdura. Jesteś śliczną dziewczyną.
- Nie obcinaj za krótko, Agnes, proszę cię.
- Nic sienie bój, Gladys. Zaufaj mi.

Po dziesięciu minutach Agnes odłożyła nożyczki, strząsnęła wszystkie obcięte włosy na gazetę i przeczesała palcami nową fryzurę Gladys. Razem obejrzały ją w lustrze.

- Wyglądasz fantastycznie – stwierdziła Agnes. Gladys obróciła głowę w prawo, potem w lewo.
- Naprawdę?
- Bardzo dorośle. Kuszaco. Będzie zachwycony.
- Mówisz poważnie?
- Jak najbardziej. No, teraz moja kolej.

Zamieniły się miejscami. Gladys sięgnęła po nożyczki, ale Agnes powstrzymała ją gestem.

- Grzywkę sama sobie przytnę – oznajmiła.

Z niemal chirurgiczną precyzją przystrzygła sobie większość włosów; dopiero kiedy doszła na tył głowy, pozwoliła Gladys przejąć inicjatywę, ale i tak co chwilę przerywała jej i oceniała efekt w lusterku.

– Musisz być bardzo ostrożna – upomniała dziewczynę. – I tak są już za krótkie. Nie wiem, czy zdążą odrosnąć, zanim wróci.

- Zanim kto wróci?
- Jak to kto? Philip, mój narzeczonny.
- Jesteście zaręczeni?!
- No... Oficjalnie jeszcze nie. Ale mam przeczucie...
- A gdzie on teraz jest?
- Na Sycylii. Jest porucznikiem.
- Opowiedz mi o nim, Agnes. Proszę cię.

Agnes uśmiechnęła się do własnego odbicia.

– No dobrze... Jest przystojny, to chyba oczywiste, ale nie zanadto przystojny. Od tych naprawdę przystojnych lepiej trzymać się z daleka, Gladys. Mają okropnie wysokie mniemanie o sobie, a kiedy ich uroda przeminie, nic nie zostaje.

- Jak wygląda Philip?

– Jest wysoki, ma trzydzieści cztery lata... – zaczęła Agnes. Gladys obcięła jakiś zapomniany kosmyk. – Na skroniach zaczyna leciutko siwieć. Jest szczupły, ale nie za bardzo; nos i podbródek ma

dość ostre, mocno zarysowane. A oczy, Gladys... Oczy ma po prostu cudowne. Na ich widok serce zamiera człowiekowi w piersi. Zmieniają kolor w zależności od nastroju Philipa. Uważaj, kotku, tu nie można... Dziękuję. Chyba wystarczy; teraz możemy je utlenić, tylko najpierw trzeba rozcieńczyć wybielacz.

W misce zmieszały wybielacz z wodą. Agnes położyła się na podłodze i Gladys zaczęła starannie wcierać roztwór w jej włosy, od cebulek po koniuszki.

– Długo się znacie? – zapytała Gladys.

– Słucham? Prawie dwa lata. – Agnes miała zamknięte oczy i Gladys pomyślała, że ma bardzo spokojną twarz.

– Czy wy...

– Hmm?

– No wiesz...

– Co?

– Wiesz, Agnes. Nie zmuszaj mnie, żebym to powiedziała.

Agnes otworzyła jedno oko i zaraz je zamknęła.

– Tak – odparła.

– Był twoim pierwszym?

Tym razem Agnes otworzyła oboje oczu i długą chwilę patrzyła w sufit, zanim znów je zamknęła.

– Nie.

– A kto był przed nim?

– Wolałabym o tym nie mówić, Gladys.

– Ale lepiej jest to robić z kimś, kogo się kocha, prawda?

– Wolałabym o tym nie mówić. Skoncentruj się na tym, co robisz.

– Proszę cię, Agnes, musisz mi powiedzieć.

– Dość tego, Gladys. Skup się.

Tej nocy Katarina przewracała się z boku na bok, bezskutecznie starając się zmusić do zapadnięcia w sen.

Przeturlała się na brzuch i rozżłoszczona wcisnęła twarz w poduszkę. Musiała przecież wypocząć; tylko po to została w Peterborough.

Dlaczego nie mogła spać? Przecież to bez sensu, była tak zmordowana, wykończona pod każdym względem: fizycznie, psychicznie i emocjonalnie...

Zaraz po niedawnym bliskim spotkaniu z Luftwaffe zdała sobie sprawę, że musi przedostać się przez sieć obławy. To zaś znaczyło, że czekają długa, piesza wędrówka. Wyczerpujący marsz. Natychmiast wyruszyła w drogę, narzucając sobie tempo niemal nie do wytrzymania, choć cały czas kręciło się jej w głowie. Wiedziała jednak, że to jej jedyna szansa: oddalić się od miejsca wypadku tak bardzo, żeby nikt się nie domyślił, że byłaby do tego zdolna.

Najgorzej było na samym początku, kiedy przez ponad półtora kilometra brodziła w dół płytkiej rzeki. Zdawała sobie sprawę, że samo zanurzenie się w wodzie nie wystarczy, by zatrzeć ślady; należało przejść rzeką ładny kawałek, jeśli psy miały zgubić trop. Tak też zrobiła, choć jej ciało – wyczerpane, poobijane i poparzone – prawie odmawiało jej posłuszeństwa.

Jakimś cudem psy rzeczywiście jej nie dopadły, chociaż kilkakrotnie słyszała z oddali ich ujadanie. Wynurzywszy się ze strumienia, szła dalej przez całą noc i cały następny dzień; kryła się po lasach i zagajnikach i szerokim łukiem omijała wszystkie osiedla ludzkie. Po kilku godzinach

niespokojnego odpoczynku późnym wieczorem ruszyła dalej i niewiele brakowało, by umarła z wycieńczenia.

Miała jednak szczęście – i tylko to się liczyło. Przeszła szmat drogi, wymknęła się trzeciej obławie i teraz MI-5 nie miało szans jej znaleźć, chyba że zorganizuje poszukiwania na szeroką skalę i sprawdzi wszystkie domy.

Co prędzej czy później z pewnością nastąpi, biorąc pod uwagę znaczenie wiadomości, które miała do przekazania.

Nie pierwszy raz zdziwiła się, że jeszcze po nianie przyszli.

Może skoncentrowali się tylko na drogach i trasach kolejowych... Jednakże to wytłumaczenie – choć kuszące – wcale jej nie zadowalało. Znała przecież sekret bomby atomowej, czy naprawdę powinni zachowywać się tak pasywnie? Musiała przyznać, że to niemożliwe, chyba że... Chyba że mieli w zanadrzu jakiś plan awaryjny i liczyli na to, że w razie czego złapią ją później.

Czyżby chodziło o sam *treffl*? Czy tam mieli na nią czekać?

Tylko skąd mogliby znać czas i miejsce spotkania? Nawet jeżeli złamali niemieckie szyfry, szansa wyłapania i odczytania jednego konkretnego meldunku z Hamburga, zawierającego instrukcje dla niej...

Czyżby Fritz ją zdradził? To wydawało się niemożliwe. Poza tym nawet Fritz na niewiele by się im zdał: zginął, zanim ona sama poznała miejsce spotkania.

Co się w takim razie stało?

Westchnęła i znów przewróciła się na bok. Właściwie nie miało to wielkiego znaczenia, czy będą na nią czekać, czy nie. I tak nie miała wyjścia. Musi pójść na *treff*, nawet gdyby zastawili tam na nią pułapkę. Podjęła przeciw decyzję.

I wtedy przyszła jej do głowy najdziwniejsza myśl: czy aby na pewno się zdecydowała? A gdyby tak zmieniła zdanie i jednak wycofała się z gry?

Otworzyła oczy.

Przecież to wcale nie było niemożliwe: mogłaby przesiedzieć w Peterborough tydzień czy dwa, przycziąć się, poczekać, aż sprawy się ułożą, a potem ruszyć dalej. Znaleźć inną kryjówkę w Anglii. Albo jeszcze lepiej – przemknąć się do Lizbony, Tangeru albo Casablanki. Kiedyś przecież wojna się skończy, a wtedy świat stanie przed nią otworem. Może nawet udałoby się jej wrócić do Ameryki – zatańczyć jitterbuga, zobaczyć Nowy Jork... Oczywiście, czemu nie? Była przecież całkiem młoda i mogła zacząć życie od nowa.

Przyszedł jej na myśl Philip, zmyślony amant, o którym tak szczegółowo opowiadała małej Gladys. Uśmiechnęła się krzywo, przypomniawszy sobie cytat z Oscara Wilde'a: „Kiedy człowiek mówi o sobie, jest najmniej sobą. Daj mu maskę, a powie ci całą prawdę”.

Tylko czy o to jej właśnie chodziło – żeby wieść bezpieczną, nudną i do bólu zwyczajną egzystencję? Czy naprawdę tak łatwo zapomniała, jak to jest być Catherine Danielson Carter?

O nie, wcale nie zapomniała.

Wolała pozostać wierną sobie i zginąć, niż do tego wrócić... Albo ryzykować los, który spotkał Fritza.

Nie zapominaj, że jeśli ci się uda, będziesz bohaterką narodową, powiedziała sobie w duchu. Wrócisz do kraju, znając sekret, który pozwoli Niemcom wygrać wojnę. Będziesz mogła przebierać w mężczyznach i dożyjesz kresu swoich dni w luksusie.

A jednak...

A jednak nie wierzyła, że sekret, który posiadała, wystarczy do wygrania wojny. Właściwie inaczej: nie wierzyła, że jej rodacy użyją go właśnie w takim celu.

Ilekcóż usiłowała wyobrazić sobie skutki poznania przez Niemców tajemnicy broni jądrowej, przychodziła jej na myśl wizja *Götterdämmerung*, zmiereźchu bogów. Tak przecież było w Germanii od zawsze, od niepamiętnych czasów: Valhalla płonęła, pożoga ogarniała cały wszechświat, przyjaciele i wrogowie ginęli jak jeden mąż, Zygfyrd, Brunhilda i Wotan tonęli w powodzi krwi, zadowoleni jednak z losu, jaki zgotowali światu. I tak właśnie miała wyglądać wojna w wydaniu Hitlera: w istocie wcale nie chodziło mu o podbicie świata i zyskanie *Lebensraum*, lecz o to, by pokonać pozornie przeważającego wroga i podbić jego kraj, a potem, kiedy zostanie się zmuszonym do odwrotu, wycofać się, pałać wszystko po drodze. Ogień miał unicestwić i wrogów, i popleczników Hitlera, a na końcu, w glorii, także jego samego.

To było bluźnierstwo.

Bluźnierstwo i wroga propaganda.

Wszystko przez to, że była taka zmęczona.

Znów siłą woli spróbowała zmusić się do zaśnięcia, w najbliższych dniach nie będzie miała wielu okazji, by się wyspać.

Wtedy pomyślała o dziewczynie.

Czekała ją kolejna zdrada i kolejne morderstwo.

Od czasu, gdy dziesięć lat wcześniej odeszła z Owen and Dunn, nie pozwoliła sobie do nikogo się zbliżyć, z nikim nawiązać bliższego kontaktu. Małżeństwo z Richardem było w istocie niekończącym się zachowywaniem lodowatego dystansu, jej „mąż” nie przedarł się nawet przez zewnętrzne umocnienia, jakimi otoczyła swą duszę.

Ostatnią osobę, do której naprawdę się zbliżyła, musiała zabić.

Teraz zaś niewiele brakowało, by historia się powtórzyła.

Gladys była słodka, miła, naiwna i przyjacielska, ale przecież musiała zginąć, podobnie zresztą jak sir John, żeby żadne z nich nie wszczęło alarmu, kiedy Katarina ukradnie samochód.

Doszła do wniosku, że najlepiej będzie zlikwidować Gladys w czwartek, kiedy Bailey jak zwykle pojedzie w interesach do Londynu. Kiedy wróci, zabije także jego, a potem weźmie samochód i uda się na miejsce niedzielnego spotkania. Będzie jechać nocą, ukrywać się spać w ciągu dnia, i dotrze tam sporo przed czasem, wypoczęta, najedzona, przygotowana na wszystko.

Odruchowo przesunęła dłonią po włosach: były sztywne jak druty, nie tylko dlatego, że tak krótko je ścieła, ale przede wszystkim z powodu wybielacza, który bezlitośnie je wysuszył. Musiała wyglądać koszmarnie, ale dokonała w ten sposób radykalnej zmiany. Niewielu agentów wywiadu wojskowego skojarzyłoby teraz krótko obciętą tlenioną blondynkę z ciemnowłosą kobietą z pociągu czy Katariną Heinrich o pięknych, długich blond lokach – zwłaszcza gdy pokaże im kartę tożsamości na nazwisko Gladys Lockhart. Nie były do siebie szczególnie podobne, ale wieczorem czy w nocy, przy słabym świetle, mogło jej się udać.

A dlaczego właściwie ten stary głupiec do niej nie przyszedł? Spała przecież w jego łóżku, do cholery, i przyjąłaby go chętnie, gdyby się zjawił, miałyby przynajmniej jakąś rozrywkę. Ale nie – sir John był na to zbyt wielkim tchórzem.

Kiedy do świtu została niespełna godzina, Katariną pogodziła się z myślą, że tej nocy już nie zaśnie. Jej ciało wystrychnęło ją jednak na dudka: obudziła się długo po wschodzie słońca.

Morze Północne

Kapitanleutnant Schmidt sam nie wiedział, co jest gorsze: ciągła obecność esesmana w błyszczącym czarnym mundurze czy brak kawy na pokładzie.

Esesman nazywał się Hagen i nie odstępował Schmidta na krok. Zdaniem *Kapitanleutnanta* wewnątrz okrętu podwodnego U-403 było dostatecznie klaustrofobiczne nawet bez śledzącego go oficera SS. Jeżeli Hagen będzie się tak kręcił także w chwili, gdy zbliżą się do brzegów Anglii, Schmidt będzie musiał go poprosić, żeby dał mu spokój.

Niestety, świetnie zdawał sobie sprawę, że w życiu się na to nie zdobędzie.

Hagen napawał go lękiem. Dumnie obnosił się z odznaką za dwanaście lat wzorowej służby, wpiętą w klapę munduru tuż pod znaczkiem podwójnej błyskawicy. Dwanaście lat w SS, pomyślał Schmidt; ten facet naprawdę musiał być kompletnie pozbawiony sumienia.

Wiedział też doskonale, że nie on jeden boi się Hagena. Znajdujący się na pokładzie okrętu przedstawiciel Abwehry, oficjalny dowódca misji, Klaus Gruber, dosłownie kurczył się i garbił, gdy tylko spoczął na nim wzrok esesmana. Reszta załogi nie podnosiła oczu i unikała kontaktu wzrokowego, naśladując w tym swojego kapitana.

Gdyby przynajmniej mieli wystarczający zapas kawy, Schmidt czułby się pewniej, byłby prawie gotów stawić Hagenowi czoło. Ale kiedy wychodzili z portu, powiedziano mu wprost: nie ma już kawy dla U-Bootów. W Berlinie sprawy musiały wyglądać naprawdę niewesoło, skoro nikt tam nie był w stanie wygrzebać paru kilogramów kawy dla dzielnych chłopców z wilczej sfory na Atlantyku. Jak by nie patrzeć, U-Booty stanowiły przecież pierwszą linię obrony Rzeszy.

Westchnął ciężko, złożył peryskop i odwrócił się.

I od razu wpadł na Hagen, który jak zwykle był tuż-tuż.

– Przepraszam, *Herr* Hagen – powiedział.

– Nic się nie stało – zapewnił go Hagen głosem spokojnym jak mruczenie kota.

– Wyjdę na pokład, zobaczę, jaka szykuje się pogoda – oznajmił Schmidt, zastanawiając się w duchu, dlaczego czuje potrzebę usprawiedliwiania się przed tym człowiekiem ze wszystkiego, co robi.

– Martwi się pan pogodą?

– Owszem. Pan też powinien, bo jeśli sztorm nie nadciągnie, będziemy łatwym celem dla brytyjskich fregat.

– A uważa pan, że sztorm może nas ominąć?

– Szczerze mówiąc, nie, czułbym się jednak lepiej, mogąc na własne oczy zobaczyć, jak wygląda morze.

Hagen pokiwał głową.

– Pan wybaczy... – rzekł Schmidt, czekając, aż esesman zejdzie mu z drogi.

Hagen istotnie usunął się w bok, ale wolno, niechętnie, z pogardą.

– *Herr Kapitanleutnant* – zagadnął Schmidta, gdy ten przeciskał się obok niego. – A jeżeli sztorm nie nadciągnie... Mogę wiedzieć, jakie ma pan wtedy plany?

– Wówczas odłożymy spotkanie do następnego tygodnia. Niech ten angielski zdrajca pofatyguje się jeszcze raz, kiedy okoliczności będą dla nas bardziej sprzyjające.

Hagen się skrzywił.

– Obawiam się, że to niemożliwe, *Herr Kapitanleutnant* – rzekł przyciszonym głosem. – Może to dobry moment, żebym pana poinformował, iż gra toczy się tu o większą stawkę, niżby się panu mogło wydawać.

Schmidt chciał spojrzeć Hagenowi prosto w oczy, ale nie mógł się do tego zmusić. Zamiast tego wbił wzrok w podłogę.

– O większą stawkę? – wymruczał.

– Misja *Herr* Grubera jest tylko jedną z dwóch, jakie musimy wykonać. Podczas naszego rendez-vous mamy zabrać z brzegu niejednego, lecz dwóch szpiegów.

– Dwóch szpiegów – powtórzył Schmidt.

– Zgadza się.

– Dlaczego nic o tym nie wiedziałem?

– Bo druga misja jest ściśle tajna; nawet *Herr* Gruber o niej nie wie.

– Kim jest ten drugi szpieg?

– To nie powinno pana interesować. Niech panu wystarczy informacja, że z tej części zadania będę się rozliczał bezpośrednio przed *Reichsleiterem* Himmlerem.

Schmidt wyprężył się jak struna.

– Obawiam się, że jednak mnie to interesuje, *Herr* Hagen – odparł. – Zwłaszcza jeżeli chce mnie pan zmusić, byśmy podeszli do brzegu przy ładnej pogodzie. To mój okręt i jako kapitan odpowiadam za jego bezpieczeństwo.

Hagen uśmiechnął się słabo.

– Dopóki sztorm niespodziewanie nie osłabnie, nie będziemy chyba musieli ustalać, kto naprawdę rządzi na pokładzie, prawda?

Schmidt najwyższym wysiłkiem woli zmusił się do utrzymania wyprostowanej postawy, chociaż miał ochotę skurczyć się i zejść Hagenowi z oczu.

– Gdyby nalegał pan na jakieś rozstrzygnięcie, jestem do pańskiej dyspozycji – ciągnął Hagen. – Ale skoro na razie zanoszą się na to, że pogoda będzie nam sprzyjać, to po co się denerwować?

Schmidt milczał.

– No właśnie. Chodźmy, *Kapitanleutnant* Schmidt. Wyjdziemy na górę i razem zobaczymy, co się święci.

Peterborough, Norfolk

Wargi Gladys poruszały się jeszcze:

– Dłacz...

Katarina zakryła jej usta dłonią i patrzyła, jak blask w oczach dziewczyny słabnie z każdą chwilą, by wreszcie zgasnąć całkowicie.

Cofnęła rękę, oparła ją na kolanie i chwilę siedziała zamyślona na podłodze w kuchni. Naszła ją straszna ochota na papierosa, która jednak zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Katarina spojrzała na leżące obok niej zwłoki. Nie dożyła nawet osiemnastu lat, pomyślała. Gladys miała otwarte usta i nienaturalnie czerwony język: tuż przed śmiercią wymiotowała krwią.

Oczy też miała otwarte, niewidząco wpatrzone w sufit.

Nie dożyła nawet osiemnastu lat.

Zamknęła dziewczynie oczy.

Wstała z posadzki. Czowała się okropnie staro, plecy ją bolały, coś zachrząściło jej w krzyżu, gdy schyliła się po leżący na ziemi nóż. Wyprostowała się i znów zadumała. Okna w kuchni były pootwierane, dolatywało przez nie buczenie krzątających się w ogrodzie owadów.

Ziemia w ogródku powinna być dość miękka.

Odłożyła zakrwawiony nóż na blat, złapała Gladys pod pachy i zaczęła ciągnąć do drzwi.

Wróciwszy wieczorem do domu, sir John Frederick Bailey zastał Katarinę Heinrich w pogrążonej w półmroku kuchni z butelką wina w ręce. Na dźwięk jego kroków odwróciła się i zachwiała na nogach. Miała pobrudzone ziemią ubranie i kompletnie pozbawioną wyrazu twarz.

Sir John Frederick Bailey zmierzył ją wzrokiem.

– Skąd wzięłaś wino? – zapytał ostro.

Katarina bez słowa podniosła butelkę do ust.

– Gdzie Gladys? – pytał dalej Bailey, wchodząc do kuchni. – Skąd masz tę butelkę? Odpowiedz mi, Agnes. Przyniosłaś ją z piwnicy?

Skinęła głową.

– Czy Gladys ci pozwoliła...

– John – weszła mu w słowo Katarina. – Chodź tutaj. Bailey stanął jak wryty. Patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

– No chodź – uśmiechnęła się. – Mam dla ciebie niespodziankę.

– Jesteś pijana – prychnął w odpowiedzi i wyciągnął rękę, chcąc zabrać jej butelkę.

Nie wiedział, jak to się stało, ale butelka wylądowała na podłodze, a dłoń Katariny zacisnęła się jak kleszcze na przegubie jego ręki. Szarpnęła go, skręciła mu nadgarstek i jedna z kości przedramienia pękła z głośnym trzaskiem. Otworzył usta do krzyku, ale wtedy wcisnęła mu palce drugiej ręki do ust, dławiąc głos w gardle. Puściła jego złamane ramię i wykonała gwałtowny ruch, po którym poczuł miękką, ciepłą wilgoć w okolicy nerek, rozlewającą się szybko wyżej, sięgającą żeber. Chwilę później zawładnął nim rozkoszny ból, a potem była tylko ciemność i cisza.

– *Verzeihen Sie mir* – mruknęła Katarina i pozwoliła mu osunąć się na podłogę.

Odczekała do nocy – tak na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że Bailey ma nazbyt ciekawskich sąsiadów – a potem przeciągnęła jego ciało do ogrodu, rozcięła mu gardło, ułożyła go na ostrym kamieniu twarzą w dół i patrzyła, jak krew wsiąka w świeżo wzruszoną ziemię.

Wróciła do domu, zebrała niezbędny bagaż i upakowała go w zaparkowanym na podjeździe dwudrzwiowym aston martinie. Samochód miał pięć lat, ale był w znakomitym stanie. Niezła przesiadka, z ciężarówki na taki wóz, pomyślała. A żeby go zdobyć, wystarczyło tylko...

Odpędziła od siebie tę myśl.

Jeszcze raz weszła do domu i szybko przeszukała pokoje, żeby upewnić się, że nie przeoczyła nic ciekawego. Za tę przeczność została sownie wynagrodzona: w szufladzie biurka Baileya znalazła fiolkę z kilkunastoma białymi pastylkami amfetaminy, znajdującej się na wyposażeniu amerykańskiej armii. Więc jednak i Bailey miał swoje nałogi.

Schowała garść tabletek do kieszeni, a potem pod wpływem nagłego natchnienia rozgniotła kilka z nich nożykiem do otwierania listów. Wyrwała kartkę z notatnika, zrobiła z niej kopertkę, zgarnęła do niej biały proszek i wetknęła ją do buta: gdyby w przyszłości potrzebowała szybkiego zastrzyku energii, nie będzie musiała bawić się z tabletkami, tylko wciągnie proszek nosem. W ten sposób amfetamina trafi wprost do krwi i doda jej sił. Na kilka minut.

Tylko w sytuacji awaryjnej, obiecała sobie w duchu.

Wróciła do ogrodu i stwierdziła, że Baileyowi zostało już niewiele krwi.

Czekała cierpliwie, starając się o niczym nie myśleć.

Wyruszyła w drogę godzinę po zapadnięciu całkowitych ciemności. Pojechała na północ; nie chciała skręcać na wschód, w stronę wybrzeża, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Ruch

samochodowy w piętnastokilometrowej strefie przybrzeżnej był zakazany, a sam pas ładu patrolowany przez wojsko.

Była niespokojna.

Po mniej więcej dwudziestu minutach jazdy stwierdziła nagle, że dwieście metrów dalej droga najwyraźniej niespodziewanie się kończy. Podjechawszy bliżej rozpoznała pierwszą blokadę: dwa samochody ustawione na kształt litery „V”. Zacisnąwszy usta, zatrzymała wóz.

Z porastających pobocze krzaków wynurzyło się dwóch ludzi. Jeden zbliżył się i zaświecił jej latarką w twarz, drugi zaś obszedł samochód dookoła, żeby przyjrzeć się siedzącemu na fotelu pasażera Baileyowi. Kątem oka widziała, jak światło jego latarki prześlizguje się po apaszcze, którą zawiązała Bailey owi pod szyją, po rondzie ściągniętego na twarz słomkowego kapelusza...

– Przestań mu świecić w oczy – rzuciła ostro. – Nie widzisz, że śpi? Dzieciak – który podobnie jak jego towarzysz wyglądał najwyżej na dziewiętnaście lat – pospiesznie zgasił latarkę.

– Przepraszam, panienko. Możemy zobaczyć pani dokumenty?

Przez uchylone okno podała papiery chłopakowi stojącemu przy bliższych drzwiach, palcami wolnej ręki bębniąc nerwowo o kierownicę. Obejrzał pierwszy dowód tożsamości, potem drugi, wrócił jeszcze raz do pierwszego.

Oddał jej oba dokumenty i machnął ręką na znak, że może jechać dalej.

Przejechała przez Spalding i Newark-on-Trent, przemknęła wschodnimi obrzeżami Mansfield i wjechała w region pól uprawnych, ciągnących się w stronę Doncaster. Przez godzinę nie natknęła się na kolejną blokadę.

Nerwy miała coraz bardziej napięte.

Co takiego wiedzieli, o czym ona nie miała pojęcia?

Nad ranem uznała, że nie ma sensu kusić losu: gdyby teraz, przy tak małym ruchu na drodze, trafiła na zaporę, poświęciliby jej stanowczo zbyt wiele uwagi. Zaczęła rozglądać się za miejscem, w którym mogłaby doczekać ranka. Po dwudziestu minutach znalazła odchodzącą w bok drogę, która biegła na północny wschód i ginęła wkrótce w gęstym lesie. Przy drodze stał słup ozdobiony drewnianą figurką bażanta. Teren prywatny, pomyślała. Jeśli szczęście jej nie opuściło, właściciele mają pewnie sporą posiadłość i do rana nie będą jej niepokoić.

Zgasiła reflektory i skręciła z głównej drogi.

Znalazłszy się wśród drzew, przejechała jeszcze dziesięć metrów, a potem zjechała w bok tak daleko, jak tylko było to możliwe. Zgasiła silnik, wysiadła i przez następne dziesięć minut starała się jak najlepiej zamaskować samochód gałęziami.

Wróciła na fotel kierowcy, sadowiąc się wygodnie na resztę nocy.

Sir John Frederick Bailey – mimo że pozbawiony większości krwi – zaczynał nieprzyjemnie pachnieć. Odwróciła się i przysunęła twarz do otwartego okna, ale nie była w stanie uciec od ostrego, kwaśnego odoru rozkładającego się z wolna ciała. Próbowała zablokować dopływ wrażeń zmysłowych, narzucić sobie dyscyplinę; miała nadzieję zatrzymać Bailey'a przy sobie jeszcze jedną noc, żeby spokojnie dojechać do Yorku. Jeszcze co najmniej przez dobę nie powinien zacząć gnić.

Smród jednak stał się nie do zniesienia, ciało Bailey'a okazało się bardziej podatne na proces rozkładu, niż sądziła. Wytrzymała pół godziny, później jednak musiała przyznać, że przestał być dla niej użyteczny.

Wysiadła, wywlekła zeszywniałe zwłoki z samochodu, odciągnęła je parę metrów dalej i porzuciła leżące na brzuchu w łożysku wyschniętego strumienia. Teraz należało go pogrzebać,

jednak Katarina poczuła się tak wyczerpana, że nie miała siły się ruszyć.

Wróciła do samochodu. Zaraz wysiądę i wykopię grób, obiecała sobie. Płytki. Ciekawe, czy w dnie strumienia łatwo się kopie? Może lepiej byłoby pogrzebać go w lesie? Boże, jaka jestem zmęczona.

Wnętrze wozu wciąż cuchnęło trupem.

Kiedy zrobiła się taka miękka? Od kiedy to denerwował ją taki drobiazg jak brzydki zapach?

Dość się naodpoczywałam, uznała. Trzeba wysiąść i wykopać grób.

Pomyślała o amfetaminie: tak, to doskonały pomysł, amfetamina postawi ją na nogi.

Zaraz łyknę.

Za chwileczkę.

Dosłownie za chwileczkę.

Obudziło ją stukanie pałką w przednią szybę. Koło samochodu stał jakiś mężczyzna, pokazując jej na migi, żeby wysiadła.

Przetarła oczy, chcąc zyskać na czasie, po czym wolno otworzyła drzwiczki i wysiadła z wozu. Wolała nie ruszać leżącej na tylnym siedzeniu walizki, mężczyzna bacznie obserwował każdy jej gest.

Był wysoki, miał dobrze ponad sześćdziesiąt lat i pachniał tonikiem do włosów. Ubrany był w wyblakłą kamizelkę. W jednej ręce trzymał laskę – nie pałkę, jak sobie uświadomiła Katarina – w drugiej zaś smycz, na końcu której szarpał się szaro-czarny, łaciaty terier. Ciągnął właściciela do strumienia.

Do zwłok.

– Dzień dobry – powiedział mężczyzna.

– Dzień dobry.

– Nie ma pani nic przeciwko temu, że zapytam, co pani tu robi? Wjechała pani samochodem na teren posiadłości mojego brata, a potem poszła pani spać, czy tak?

Katarina rozejrzała się dookoła; jeśli jego brat kręcił się gdzieś w pobliżu, to na razie nie dał znaku życia. Nigdzie też nie widziała domu ani zabudowań gospodarczych – tylko las, głębokie cienie i jasne słońce poranka.

Spojrzała na mężczyznę, oceniając w myśli dzielący ich dystans.

– Kończyła mi się benzyna – wyjaśniła. – No to zjechałam z drogi. Jak się jest samotną dziewczyną, to ostrożności nigdy za wiele. Takie czasy.

Terier zadarł łeb i spojrzał na pana, zaszczekał piskliwie dwa razy i znów szarpnął w stronę łożyska potoku.

– Chyba tak. A dokąd pani tak sama jedzie?

Trzasnęła gałązka. Katarina się odwróciła: od strumienia szedł w ich stronę drugi człowiek, z dziesięć lat młodszy od tego przy samochodzie, ubrany w czarny golf. W rękach trzymał strzelbę.

– W strumieniu leży trup – oznajmił.

– Jasny gwint!

– Proszę podnieść ręce – polecił Katarinie uzbrojony mężczyzna. Zawahała się z początku, ale wykonała jego polecenie.

– Wiesz, kogo tu mamy, George? Założę się, że to agentka Piątej Kolumny.

– Chyba żeś zgłupiał. Ta panienska?

– No to może ty mi wyjaśnij, co ona tu robi. Dziesięć metrów dalej w potoku leży ciało jakiegoś

faceta. Założę się, że samochód jest kradziony, a dziewczyna nie ma dokumentów.

– Właśnie, co z papierami? – zapytał George.

– Sana desce rozdzielczej.

George podszedł do wozu, otworzył drzwi i się pochylił. Po chwili trzymał w ręku dokumenty.

Przejrzał je i podał bratu.

– Ty jesteś Gladys? – spytał.

Katarina skinęła głową.

– Nie zrozum mnie źle, kotku, ale wyglądasz na więcej niż siedemnaście lat.

Nic nie odpowiedziała.

– A to kto? Ten gość ze strumienia?

– Tak.

Obaj mężczyźni zgodnie spojrzeli na Katarinę.

– Odwróć no się, panienko – rzekł George, robiąc krok do przodu i rozpinając pasek. – Ręce za plecy.

Posłusznie stanęła tyłem do niego i założyła ręce za plecy.

Obserwowała jego cień na ziemi.

Kiedy wyciągnął rękę, żeby złapać ją za nadgarstki, obróciła się płynnie na palcach, przykucnęła, zablokowała ruch jego prawej ręki i uderzyła prosto w nerw łokciowy, całkowicie paralizując mu prawe ramię. Wyprostowała się i nasadą lewej dłoni uderzyła go w kość pod uchem, wybijając mu szczękę z zawiasów.

Złapała go za ramiona, obróciła twarzą do brata, pchnęła z całej siły i uskoczyła za samochód.

Brat George'a nie strzelił. Niech go szlag!

Przykucnąwszy za aston martinem, spojrzała dołem, między kołami. George leżał na boku i ze zdumieniem patrzył na zdrętwiałą rękę.

Otworzyła tylne drzwi wozu, żeby ostrożnie wśliznąć się do środka.

Zagrzmiała strzelba. Szyby z jednej strony auta rozprysnęły się w drobny mak. Jeden z odłamków przeciął jej skórę na skroni, ale nie zwracała uwagi na krew. Złapała walizkę i wysunęła się z aston martina; otworzyła ją i namacała rękojeść noża. Nie licząc zadrapania na głowie, nic jej się na razie nie stało.

A bratu George'a został w strzelbie jeden ładunek. Tylko gdzie on się podział? Zerknęła pod podwoziem samochodu: ujrzała George'a – jeszcze nie podniósł się z ziemi – i psa – wciąż na smyczy, przy panu, ale nigdzie nie widziała tego drugiego.

Zachrzęściła ziemia.

Z lewej strony. Próbował obejść wóz z boku.

Wturlała się pod samochód, przetoczyła plecami po tłuczonym szkle i zerwała na równe nogi.

Facet w golfie właśnie obchodził aston martina od przodu. Obróciła w dłoni nóż.

– Uważaj! – krzyknął chrapliwie George.

Jego brat okręcił się na pięcie, unosząc broń – w tym samym momencie Katarina cisnęła nożem i natychmiast rzuciła się na ziemię. Nie widziała, jak nóż sięgnął celu, ale rozległ się zdławiony krzyk, w powietrze trysnęła fontanna krwi, huknęła – ponieważ – strzelba i od strony maski auta dobiegł ją syk gwałtownie uciekającego powietrza.

Pies rzucił się na nią.

Wyciągnęła rękę, sięgając mu do gardła. Niewiele brakowało, by wbił jej zęby w dłoń. Złapała

go jednak, przerzuciła nad sobą i pchnęła tak, że wyrznął łbem w bok samochodu. Zaskomlał. Katarina podniosła go i jeszcze raz uderzyła jego głową o ziemię, łamiąc mu kark.

Spojrzała w stronę George'a, który przyglądał się jej rozszerzonymi z przerażenia oczyma. Próbował uciekać, czołgać się, ale sparaliżowane ramię zwisało mu bezwładnie.

Dobiła go i zaczęła się zastanawiać, co dalej. Aston martin nie nadawał się do dalszej jazdy: miał podziurawioną chłodnicę. Ile czasu minie, zanim ktoś zauważy nieobecność braci? Żaden nie miał na palcu obrączki, co jeszcze o niczym nie świadczyło. Gdyby istniało ryzyko, że ktoś natychmiast ogłosi alarm, nie uciekałyby pieszo, lecz wołałyby zaryzykować łapanie okazji. Z drugiej strony, gdyby nikt się nie zaniepokoił przez pół dnia czy dłużej, najlepiej było uciec jak najdalej na piechotę, żeby nikt jej nie widział.

Postanowiła iść pieszo, przynajmniej przez jakiś czas. Zjadła szybkie śniadanie. Nie rozglądała się, żeby nie wymiotować, żuła spokojnie, starannie. Przeszukała swoją walizkę i wyjęła z niej tylko najbardziej niezbędne rzeczy: nóż, butelkę z wodą, latarkę. Przemyślała skaleczenia, zmieniła opatrunki, a resztę apteczki zostawiła w samochodzie.

Jak daleko jeszcze?

Nieważne, pomyślała. Im dłużej będę tu siedzieć, tym później dotrę na miejsce. Obrzuciła zwłoki mężczyzny ostatnim spojrzeniem. Zrobiło się jej niedobrze.

Odwróciła wzrok.

I odeszła.

Rozdział 14

Flamborough Head, Yorkshire

Latarnia morska przetrzymała niejedną sztorm. Postawiono ją w tym miejscu, na Flamborough Head, przed z górą stu laty i przez ten czas napatrzyła się na sztormy o wiele gorsze, niż ten, który właśnie nadciągał nad Morze Północne.

Stała dwadzieścia pięć metrów od zębatego urwiska, opadającego stromo ku falom. Dawniej przepaść znajdowała się jeszcze pięć metrów dalej, ale przez sto lat wściekle sztormy pochłonęły skrawek łądu. Z każdą dekadą morze zachłannie wgryzało się w ziemię, jakby zamierzało pożreć latarnię – i w przyszłości tak się zapewne miało stać, na razie jednak dzień ten był jeszcze bardzo odległy.

Od czterech lat była nieczynna. Któregoś dnia, na samym początku wojny, do Starego Ruperta przyszli ludzie z rządu i powiedzieli, że wynajmują od niego latarnię. Od tej pory miała być zgaszona do chwili, aż każą mu ją zapalić, a potem palić się tak długo, aż każą mu ją zgasić. Rupert miał w niej mieszkać i być do ich dyspozycji.

Mieszkał więc na Flamborough Head i czekał, ale ludzie z rządu więcej sienie pojawili.

Może zapomnieli o latarni.

Oni może tak, ale Niemcy z pewnością nie.

Nawet wygaszona stanowiła znakomity punkt orientacyjny. Szarą kamienną fasadę pomalowano w białe i czerwone pasy, co w połączeniu z usytuowaniem na szczycie klifu pozwalało zapamiętać o niewielkiej – jak na latarnię morską – wysokości niecałych piętnastu metrów.

Dla Rudolfa Schroedera była punktem kontaktowym numer cztery. Między trzecią a piątą rano w każdą niedzielę była obserwowana z kręcącego się w pobliżu U-Boota; jeżeli ktoś zamrugałby w niej dwa razy latarką, z okrętu podwodnego przypląnąłby ponton.

Stary Rupert opiekował się latarnią od trzydziestu pięciu lat.

Stał właśnie z butelką w ręku na galerijce okalającej lampę i patrzył w zachmurzone niebo. Zanosilo się na sztorm – taki prawdziwy, solidny, byczy sztorm. Nie najgorszy ze wszystkich, jakie przeżył – co to, to nie, bo przez te trzydzieści pięć lat zdarzało mu się widzieć różne sztormy – ale i tak byczy. Znów morze pochłonie kawał ziemi i przybliży się do latarni.

W głębi duszy w jakiś dziwny sposób się z tego cieszył.

Powietrze było duszne, rozpalone i irytująco lepilo się do skóry. Nawet chłodna bryza znad wody niewiele mogła zmienić. Może za godzinę, kiedy wiatr zrobi się przenikliwy i wściekle zimny, a nie zaledwie chłodny... Ale Staremu Rupertowi nie chciało się czekać. Wrócił do środka, ostrożnie wymijając pełen rtęci zbiornik (nieraz po pijanemu pośliznął się w tym miejscu, a kontakt z rtęcią nie

należał do najprzyjemniejszych) i zszedł po wąskich kamiennych schodach.

Wszedł do maleńkiej kuchenki i wyjął z szafki szklaneczkę. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego należy pić ze szklanki, zwłaszcza kiedy człowiek jest sam jak palec, ale pamiętał, że Marion zawsze krzywo patrzyła na jego zwyczaj picia z gwinta. Uważała, że to nie wypada.

Zaniósł butelkę i szklankę do pokoju – zagraconego, pozbawionego okien pomieszczenia, w którym powietrze było przesycone wonią starych książek. Na biurku, obok kałamarza i pióra, stało oprawione w ramki zdjęcie, przedstawiające Ruperta z Marion; dalej leżał zardzewiały kompas i mały sekstans z mechanizmem zębatkowym. Rozłożonej obok kałamarza szachownicy od co najmniej trzech lat nikt nie tknął palcem; na planszy i figurach zebrała się gruba warstwa kurzu.

Rupert nalał sobie odrobinę whisky, uniósł szklankę w niemym toaście i duszkiem wychylił zawartość. Nalał następną porcję, odstawił szklankę i powiódł wzrokiem po półkach, zastanawiając się, jaką książkę wybrać na ten wieczór.

Od czasu, gdy rząd zakazał mu obsługiwać latarnię, a Marion od niego odeszła, Stary Rupert niewiele miał do roboty. Głównie pił. Przez pierwsze nocne godziny czytał, przeglądał mapy, stawiał pasjansa. A potem, kiedy już wystarczająco sobie podpił, zaczynał śpiewać – czasem wychodził na galeryjkę i śpiewał rozległemu morzu, prowokując pijane ciało, by zdradziło względnie trzeźwy umysł i rzuciło się przez balustradę w dół. W pewnym sensie przyniosłoby mu to nawet ulgę – jak dotąd jednak nogi zawsze zdołały go utrzymać. Czasem myślał, że wystarczy po prostu bardziej się upić, zanim wyjdzie na galeryjkę.

Zapowiadała się znakomita noc, w sam raz, żeby pośpiewać nad otwartym morzem – z tym sztormem i w ogóle... Wychylił drugą szklankę, nalał trzecią i wrócił do książek.

Przeczytał je już wszystkie wiele razy. Nawet kiedy latarnia działała normalnie, nie narzekał na brak wolnego czasu. Co cztery godziny musiał podciągnąć poruszający się w centralnej studni obciążnik, który zsuwając się w dół napędzał obracającą się soczewkę, ale poza tym nieskomplikowanym zadaniem mógł robić, co mu się żywnie podobało. Marion zostawiła go blisko osiem lat temu i wyszła za mąż za chłopaka z drugiej strony Tyne. Rupert całkowicie go zaaprobował. A potem chłopak zginął w Bitwie o Wielką Brytanię. Szkoda. Straszna szkoda. Rupert miał nadzieję, że może po tym zdarzeniu Marion wróci do niego, lecz postanowiła zostać w Londynie. Nie, nie miał do niej pretensji: żadna młoda kobieta nie chciałaby spędzić życia w latarni morskiej w towarzystwie starego, wiecznie pijanego i na wpół obłąkanego ojca. Nawet on to rozumiał.

Zdał sobie sprawę, że oczy mu się zaszklily, ale ponieważ nikt go nie widział, nic a nic go to nie obchodziło. Wypił trzecią szklaneczkę i otarł łzę z kącika oka.

Wybrał lekturę na wieczór: *Kopalnie króla Salomona* Haggarda. Doskonała książka na sobotni wieczór, uznał – przygody i tak dalej. Przeczyta ją raz-dwa, a kiedy skończy, będzie już wystarczająco podchmielony, by wyjść na galeryjkę i kusić morze, żeby po niego przyszło.

Kto wie, może będzie nawet dość pijany, by faktycznie tak się stało.

Otworzył książkę na pierwszej stronie. Z chmur zaczęły spadać pierwsze krople letniego deszczu.

Część 3

Rozdział 15

Zatoka Whitley

Z lornetką przy oczach Taylor omiatał wzrokiem skrytą w mroku plażę – w prawo, w lewo, w prawo, w lewo – zataczając coraz szersze łuki. Opuścił na chwilę ręce i zaciągnął się trzymanym w zębach wilgotnym papierosem. Zerknął na zegarek i znów podniósł lornetkę: w lewo, w prawo, znów w lewo. Rzecz jasna było jeszcze za wcześnie, by spodziewać się Katariny Heinrich, ale nie ustępował, chociaż w nocnych ciemnościach i nasilającym się deszczu niewiele widział. Nie mógł się jednak uznać za pokonanego; może uda mu się ją wypatrzeć tuż przed spotkaniem i w ten sposób uniknąć niepotrzebnych komplikacji. Może...

– Proszę pana! – usłyszał gdzieś blisko.

Odjął lornetkę od oczu, odwrócił się i ujrzał Kendalla, który sprawiał wrażenie zdenerwowanego – ale przecież on zawsze tak wyglądał.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział Kendall. – Może to nic ważnego, ale dzwonił Wells...

– Kto?

– Wells, z Latchmere, proszę pana.

– Ach tak, już wiem.

– Podobno Schroeder koniecznie chce się z panem widzieć. Natychmiast.

– O co mu chodzi?

– Nie chce nic powiedzieć, dopóki pan nie przyjedzie. Udało mu się chyba przekonać Wellsa, że to pilne.

Taylor ostatni raz zaciągnął się papierosem, wyjął niedopałek z ust i cisnął go na piasek.

– Powiedzcie mu, że musi zaczekać. W poniedziałek będę w Ham Common.

– Wells powiedział, że gdyby pan nie chciał się zgodzić, to sam chce z panem porozmawiać.

– Ale po co, na miłość boską?!

– Jego zdaniem to chyba bardzo ważne.

– Co za cholerny idiota – burknął Taylor. – Dobra. Pilnujcie plaży, Kendall. – Oddał Kendallowi lornetkę, odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył w stronę Faulkner's Pub. Z nieba padały grube, lodowate krople.

W związku z nocną operacją ludzie z MI-5 zajęli Faulkner's Pub, na co Peter Faulkner zgodził się nader niechętnie. Ale miejsce było idealne: tylko Highland znajdował się bliżej plaży, służył jednak za punkt orientacyjny i Taylor uznał, że nie czułby się tam dobrze.

Dochodziła północ. W Faulkner's roіło się od ludzi: czyścili broń, oglądali mapy, rozmawiali

przyciszonymi głosami. Zaden z nich nie pił, co przyprawiało stojącego za barem Faulknera o rozpacz; miał jednak jakąś satysfakcję z ich wizyty: wyobrażał sobie, jak rano opowie żonie, że jeśli faktycznie intruzi przybyli do Newcastle w pogoni za niewierną małżonką jednego z nich, to niezła musiała być z niej suka. Szukało jej dwudziestu pięciu uzbrojonych po zęby agentów rządowych.

Taylor schował się w kącie na tyłach baru i przyjął podaną mu słuchawkę telefonu.

– Tu Taylor – powiedział.

– Mówi Wells.

– O co chodzi?

– Schroeder przechorował całą noc, a teraz chce się z panem widzieć.

– Przechorował?

– Miał mdłości i wymiotował.

– Rzeczywiście, przykre. Czemu chce ze mną rozmawiać?

– Nie powiedział.

– Dajcie go do telefonu.

– Mówi, że nie będzie rozmawiał przez telefon.

– Nie mam czasu na zabawę, Wells; powiedzcie, mu, że albo od razu pogadamy przez telefon, albo zobaczymy się jutro.

– Proszę poczekać.

Taylor chciał zapalić następnego papierosa, ale po chwili namysłu zrezygnował – nie dość, że papierosy mu się kończyły, to jeszcze od dawna nic nie jadł i od dymu zaczynało mu się robić niedobrze.

Wells znów wziął słuchawkę do ręki.

– Panie Taylor?

– Słucham?

– Nie zgodził się, ale mówi, że tracie tam tylko czas. Nalega, żeby natychmiast przyjechał pan do Latchmere.

– Tracimy czas?

– Tak powiedział.

– Jasny gwint! Powiedzcie mu, że jeśli zaraz nie podejdzie do telefonu, to może zapomnieć o czekoladzie, psiakrew!

– Proszę chwileczkę poczekać.

Nastąpiła kolejna przerwa, tym razem dłuższa. Taylor poddał się i zapalił papierosa. Ledwie się zaciągnął, od razu zakręciło mu się w głowie.

– Andrew – zabrzmiał znajomy głos: markotny, rozlazły, z silnym obcym akcentem.

– O, to ty, Rudolf. O co chodzi, do diabła? Chwila wahania.

– O Winterbothama.

– To znaczy?

– Wykiwał nas obu.

– Co ty pieprzysz, do cholery?!

– Ten stary sukinkot miał tu przyjechać i mnie zabrać – odparł Schroeder. – Nie zjawił się.

A czekoladki, które mi przywiózł, były czymś nafaszerowane. Na pewno. Rzygałem jak...

– Zaczekaj: dokąd miał cię zabrać?

– *Natreff.*

– Ty...

– Oszukaliśmy cię – przerwał Taylorowi Schroeder. – Obiecał, że po mnie przyjedzie, jeżeli pomogę mu wpuścić cię w maliny.

– Pomożesz wpuścić mnie w maliny?

– Jeżeli cię okłamię, Andrew. Nie powiedziałem ci prawdy o miejscu spotkania.

Papieros wypadł Taylorowi z ust.

– A żebyż to kurwa!

Flamborough Head, Yorkshire

W latarni na pięterku paliło się światło, wyraźnie widoczne mimo zacinającego wściekle deszczu.

Na pewno mają tam coś do jedzenia. I suche łóżko. W taką noc, przy lodowatej wichurze i ulewnym deszczu, światelko zdawało się chyba jeszcze jaśniejsze, niż w rzeczywistości – jakby we wnętrzu budynku płonęło miniaturowe słońce, kusząc, zapraszając...

Nie, to na pewno halucynacje. Zwidy i już. Ile kilometrów pokonała pieszo przez ostatnie kilka dni? Na pewno za dużo.

Dziesięć kroków do drzwi. Dziewięć. Ciągle jeszcze mogła pokazać, jaka jest silna: zawrócić, schować się pod jakimś krzakiem i przeczekać burzę, dotrzeć do rana... Ale była taka głodna, taka zmęczona, przemoczona i przemarznięta... I miała gorączkę. Osiem kroków... Nagle zdała sobie sprawę, że nie da rady, że nawet nie doczołga się do drzwi. To już koniec.

Jakimś cudem udało jej jednak dotrzeć do sfatygowanych drzwi i załomotać w nie mosiężną kołatką.

Światło w jej głowie stawało się coraz jaśniejsze.

Drzwi się otworzyły i czyjeś ręce wciągnęły ją do środka.

Staruszek był pijany jak bela.

Katarina siedziała na skrzypiącym krześle w pokoju Ruperta. Otulona postrzępionym kocem, słuchała, jak opowiada o swojej córce. Przed nim, na biurku, wciśnięta między książkę i zakurzoną szachownicę, stała prawie pusta butelka whisky. Staruszek trząsł się i mówił niewyraźnie, chociaż miała wrażenie, że nie tyle z powodu alkoholu, co raczej wskutek zbyt długiego kontaktu z oparami rtęci. Większość latarników była na wpół obłąkana od rtęci.

Upiła łyk herbaty; napar był mocny i gorący i niemal czuła, jak wracają jej siły.

– ...mniej więcej w twoim wieku – dokończył Rupert i sięgnął po butelkę. Już miał ją podnieść do ust, gdy nagle zawahał się, zmrużył oczy i niepewnym gestem przytknął ją do krawędzi szklanki.

– Gdzie ona teraz jest? – spytała uprzejmie Katarina.

– W Londynie. Kurczę, wcale nie mam do niej pretensji! – Rupert podniósł szklankę. – Za Londyn!

Katarina uśmiechnęła się lekko, on zaś spełnił toast, obserwując ją znad krawędzi szklaneczki.

– Nie napijesz się? – zapytał.

– Nie, dziękuję.

– Może coś przekąsisz?

Zawahała się.

– Powinienem gdzieś mieć resztkę kapusty z ziemniakami... Zaczekaj. Nie czekając na odpowiedź, dźwignął się z krzesła, zatoczył, złapał równowagę i poszedł do kuchni.

Katarina siedziała bez ruchu; zrobiła się okropnie senna. Ile to już nie spała – dwie doby? Trzy? W pokoju było ciepło, burza wydawała się tak odległa, suchy koc pachniał starością, ale w swojski, przyjemny sposób...

Rozejrzawszy się, dostrzegła zegar, wetknięty między książki na półce: dochodziło wpół do pierwszej. Doszła szybciej, niż jej się to wydawało możliwe, a za niecałe trzy godziny wyjdzie na plażę. Musi tylko znaleźć jakąś latarkę, żeby dać sygnał; własną wyrzuciła po drodze, wraz z całym zbędnym bagażem. Staruszek na pewno miał latarkę.

Wróci do Niemiec. Po tak długiej – trwającej całe życie, zdawałoby się – rozłące... Nie mogła w to uwierzyć. Jak wygląda Berlin? Czy przypomina tamto miasto, które pamiętała?

Na razie chciało jej się spać. Mogłaby zdrzemnąć się natychmiast, choćby na tym niewygodnym krześle, ale na razie sen był luksusem, na który nie mogła sobie pozwolić. Za niecałe trzy godziny – tak, ale nie wcześniej. Poza tym musiała przecież zabić tego dziadka, prawda? Ryzykowałyby tylko niepotrzebnie, pozostawiając go przy życiu.

Chociaż pewnie i tak nie mógł jej w żaden sposób zaszkodzić...

Co się ze mną stało, że w ogóle przychodzą mi do głowy takie myśli, zdziwiła się. Co z moim poczuciem obowiązku? Co z moją skutecznością?

Rupert wrócił z kuchni i podał jej talerz: leżał na nim tępy nóż, pół bochenka chleba – czerstwego, ale jeszcze nie zapleśniałego – i kawałek sera. Obok rozlewała się maź z lekko podsmażonych ziemniaków i kapusty.

– Niewiele tego jest – przyznał. – Przepraszam.

– Wygląda cudownie – odparła z entuzjazmem Katarina.

Pochłonęła poczęstunek w kilku kęsach, a na koniec wybierała z talerza okruszki; staruszek nie zwracał na nią uwagi. Usiadł z powrotem przy biurku, pił i ze łzami w oczach opowiadał o córce.

Nie było potrzeby go zabijać.

Ledwie o tym pomyślała, ogarnęła ją bezgraniczna pogarda dla samej siebie. Dlaczego zrobiła się taka miękka? I kiedy? Widziała, co stało się z Fritzem; powinna lepiej niż kiedykolwiek przedtem zdawać sobie sprawę, czym grozi litowanie się nad wrogiem.

Nie mogła jednak przegonić upartej myśli: nie ma sensu go zabijać, jest stary, pijany i taki miły. I na wpół obłąkany od rtęci. Bezradny.

Z drugiej strony – był nieprzewidywalny, a więc potencjalnie niebezpieczny. Najlepiej byłoby...

– Aha! – wykrzyknął triumfalnie. – Ona też jama!

– Co takiego? – zdziwiła się wyrwana z zamyślenia Katarina. Rupert pochylił się nad biurkiem i wyciągnął rękę w jej stronę. Wyprostowany palec wskazujący zatrzymał się o centymetr od jej czoła.

– Taką zmarszczkę – odparł. – Marion. Kiedy się czymś martwi albo o czymś rozmyśla, na jej czole robi się taka sama pionowa zmarszczka, jak u ciebie.

– Zastanawiałam się właśnie, jak, u licha, dostanę się jutro do Bridlington, skoro nie mam już roweru.

– Polubiłybyście się z Marę. Mówię ci. Śliczna z niej dziewczyna.

– Na pewno.

– Śliczna dziewczyna – powtórzył Rupert. Podniósł szklanę, a kiedy stwierdził, że jest pusta, sięgnął po butelkę.

Butelka też była pusta. Uśmiechnął się głupawo.

– Szlag by to... – mruknął.

Wstał, zachwiał się na nogach, odwrócił plecami do Katariny i ostrożnie uklęknął przed barkiem. Katarina wzięła z talerz nóż.

Zwymiotowała potem chleb, ser, kapustę z ziemniakami i herbatę. Fale mdłości przetaczały się przez jej ciało jak bałwany morskie przez leżącą w dole plażę.

Złapała go jednak pod pachy i wciągnęła na górę po wąskich schodach. Był cięższy, niż się spodziewała; martwi ludzie zawsze przybierali na wadze. A ona musiała pokonać sześćdziesiąt stopni – zdyszała się i spociła, zanim dotarła na górę.

Z obawą pomyślała, że właśnie zauważyła u siebie pierwsze objawy zapalenia płuc. Gdyby tak mogła się położyć, zamknąć oczy, zdrzemnąć się choć kilka godzin...

Z trudem wrzuciła Ruperta do znajdującej się pod olbrzymią soczewką kadzi z rtęcią. Zbudowana z wielowarstwowego szkła soczewka ważyła dobre dwie tony, rtęć wypełniała znajdującą się pod nią olbrzymią wannę. Rupert wśliznął się wprawdzie do lepkiej cieczy, ale za nic w świecie nie chciał w niej utonąć. Dłuższą chwilę Katarina próbowała wepchnąć ciało głębiej, ale uparcie wypływało na powierzchnię. W końcu dała sobie spokój i, potykając się, wróciła na dół.

Ogarniała ją coraz większa senność; nie mogła się już od niej opędzić. Znalazła się na skraju... Bóg jeden wiedział, czego. Wystarczyłaby godzina, może dwie snu i odrobina jedzenia, które na dłużej pozostałoby w żołądku. A potem wróci do *Vaterlandu*, ocali wszystkich swoich rodaków, zaczną się defilady, kwiaty, muzyka, tańce, może Fritz też tam będzie – przytuli ją, pocałuje; żarówki strzelały z hukiem, a w tle kołysała się szubienica...

Nie: Fritz nie żył. Na własne oczy widziała, jak zginął.

To delirium, pomyślała. Mam halucynacje.

Myśl o jedzeniu była kusząca, ale przerażał ją wysiłek, jaki musiałaby włożyć w znalezienie i spożycie czegoś jadalnego. Postanowiła przeszukać całe wnętrze wieży: znalazła maleńką sypialnię z równo zaścielonym łóżkiem – znacznie lepiej nadającym się do spania, niż krzesła w pokoju. Padła jak długa na łóżko, zdarła brudne, przemoczone bandaże... Leżała w łóżku trupa, człowieka, którego przed chwilą sama zabiła, a który wcześniej ją przygarnął, dał jej schronienie...

Właśnie, przypomniała sobie.

Na dworze wciąż szalała burza.

Ciekawe, czy... Nie dokończyła tej myśli, lecz zapadła w bezdenną otchłań snu bez marzeń.

Wracała do przytomności wolno, z wysiłkiem przedzierając się przez kolejne warstwy snu.

Ktoś nad nią stał i się jej przyglądał. Czowała na sobie jego przeszywający wzrok. Kto to był? Richard? Gdzie ja jestem?, pomyślała. W Princeton? W Nowym Jorku? A może w Hamburgu? Nie. Przypomniała sobie, że jest w latarni morskiej na wschodnim wybrzeżu Anglii i...

Otworzyła oczy.

Obok łóżka stał jakiś mężczyzna.

Usiadła i odsunęła się od niego, obserwując go rozszerzonymi ze strachu oczyma. Zasnąłaś, pomyślała. Zasnąłaś, ty głupia, słaba, niezdarna, miękka...

Jak ją znaleźli?

Błyskawica przecięła niebo.

Rozpoznała go: ten sam stary grubas, którego już raz widziała w Highgate.

Zacinający deszcz załomotał w okno, aż szyba zadygotała w ramie. Mężczyzna odruchowo odwrócił głowę w kierunku źródła hałasu.

Rzuciła się na niego.

Rozdział 16

Ham Common, Surrey

Taylor siedział przy stole i ćmił papierosa, kiedy przyprowadzono do niego Rudolfa Schroedera.

Strażnik szturchnął więźnia kolbą karabinu, wskazując mu wolne krzesło, mimo że z baraków do głównego budynku nie było wcale daleko, podczas tego krótkiego spaceru zdążył chyba stracić do niego cierpliwość. Taylor milczał. Schroeder przyglądał mu się z tradycyjnym, bezczelnym uśmiechem na twarzy, lecz Taylor nie mógł się oprzeć wrażeniu, że tym razem beztroska Niemca jest sztuczna.

Strażnik chciał właśnie wyjść, gdy Schroeder chrząknął znacząco i podniósł skute rękę nad głowę. Kajdanki zadźwięczały melodyjnie. Strażnik spojrzał na Taylora, który pokręcił przecząco głową.

– O rany! – westchnął Schroeder, gdy żołnierz wyszedł z pokoju. Uśmiech ustąpił miejsca przesadnie żalosemu wyrazowi twarzy. – Czyżbyśmy tak nisko upadli, Andrew, że muszę być skutym, kiedy rozmawiamy?

Taylor bez słowa postawił na stole przywieziona z Newcastle paczkę, niedużą, zawiniętą w biały papier i luźno przewiązaną sznurkiem. Niemiec obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem.

– Co to jest?

– Otwórz, to się dowiesz.

– Mam już dość czekoladek, Andrew. Dzięki wielkie. Wiesz chyba, że twój kumpel chciał mnie otruć?!

– To nie czekoladki, Rudolfie.

Schroeder niezgrabnie wyciągnął rękę; kajdanki trochę utrudniały mu zadanie, ale w końcu poradził sobie ze sznurkiem, otworzył pudełko i obrócił je do góry nogami.

Nic nie wypadło ze środka.

Potrząsnął pudełkiem dwa razy i postawił je na stole.

– Jest puste – stwierdził. Taylor pokiwał głową.

– Chciałem, żebyśmy się dobrze zrozumieli: koniec z prezentami. Niemiec się skrzywił.

– Powiedziałaś, że kiedy przyjadę, to ze mną porozmawiasz – ciągnął Taylor. – No to jestem. Przejechałem szmat drogi, żeby cię wysłuchać, chociaż nie mam za wiele czasu. Nie radzę ci dłużej wystawiać mojej cierpliwości na próbę.

Schroeder spoważniał i rozsiadł się wygodniej na krześle.

– Posłuchaj, Andrew – zaczął. – Przykro mi, że cię tu ściągnąłem, ale musisz zrozumieć...

Taylor włożył papierosa do ust; Schroeder śledził jego gest łakomym wzrokiem.

– Skończyły mi się papierosy – powiedział. – Dasz jednego?

Taylor tylko pokręcił głową, Schroeder zaś oblizwał wargi.

– Musisz zrozumieć, że masz w garści wszystkie atuty, jeśli można tak powiedzieć, poza jednym.

Jednym jedynym: nie znasz prawdziwego miejsca spotkania. Nie znasz numeru cztery.

– Mhm – przytaknął Taylor.

– Co bym z tego miał, gdybym powiedział ci wszystko przez telefon? Nic. Właśnie dlatego musiałem trzymać karty przy orderach... Tak to się mówi, nie? Tak, przy orderach. Gdybym przedwcześnie zdradził ci tę informację, zostałbym z niczym.

– Ale teraz mi ją zdradzisz?

– W zamian za pewną obietnicę.

– Jaką?

– Taką samą, jaką złożył mi profesor. Z tą różnicą, Andrew, że ty dotrzymasz słowa.

– Mam cię zabrać na *treff*.

– Właśnie.

– Nie mogę ci tego obiecać. Miałbym puścić cię do domu, do Niemiec?

– W takim razie nie złapiesz swojego szpiega.

– Jakiego szpiega?

– Profesor mi powiedział.

– Aha.

– Mówił tak, jakby to było coś ważnego.

– Bo jest.

– Chciałbym ci pomóc, Andrew; uważam cię za przyjaciela. Wydaje mi się, że w innych okolicznościach... Ale chyba sam rozumiesz, że muszę dostać coś w zamian, prawda? To chyba naturalne. Taki już jest ten nasz świat, nie, Andrew?

– Mhm.

– W związku z tym widzę dwie możliwości – ciągnął Schroeder, nie odrywając oczu od papierosa w ręku Taylora. – Mogę ci zdradzić miejsce spotkania, gdy będziemy już w drodze; w ten sposób zyskałbym gwarancję, że faktycznie tam dotrę, ale wcale nie miałbym pewności, że puścisz mnie na pokład U-Boota, prawda? Pozostaje nam więc drugie wyjście: musimy sobie nawzajem zaufać. Dasz mi słowo honoru, że kiedy ci powiem, gdzie to jest, zabierzesz mnie tam.

– Mhm.

– Ja naprawdę ci ufam, Andrew. I mam nadzieję, że ty mi ufasz... Oczywiście pomijając ten jeden nieszczęśliwy wypadek...

– Oczywiście.

– Nie muszę chyba dodawać, że wróciwszy do Berlina, ani słowem się nie zająknę na temat operacji, którą prowadzicie. Dowiedzą się tylko, że znalazłem pracę w pubie niedaleko Ministerstwa Wojny i zorganizowałem *treff*, ale, niestety, wybrany przeze mnie agent, czyli Winterbotham, został w ostatniej chwili zatrzymany przez MI-5, ja zaś cudem uciekłem.

– Rozumiem.

– Umowa stoi?

Taylor przyglądał się paznokciom swojej prawej dłoni.

– Dlaczego miałbym ci teraz uwierzyć, skoro dopiero co mnie okłamałeś? – zapytał.

– Bo nie masz wyboru. Ale jest i drugi powód, znacznie ważniejszy: kiedy obiecasz mi to, o co

proszę, będzie w moim interesie powiedzieć ci prawdę.

– Mhm.

– Z pewnością dostrzegasz zalety tego rozwiązania. – Schroeder uśmiechnął się przymilnie.

Taylor pokręcił głową. Schroeder patrzył, jak wyjmuje z pudełka następnego papierosa.

– Powiedz mi, co innego mogę dla ciebie zrobić, Rudolfie. Cokolwiek, byle nie to.

– Nic innego nie wchodzi w grę.

– Chcesz pieniędzy?

– Proszę cię...

– Kobietę?

Schroeder parsknął śmiechem.

– Chcę wrócić do domu.

– Na to nie mogę się zgodzić.

– Nie masz wyjścia.

Taylor zapalił papierosa i palcami wolnej ręki przeczesał włosy.

– Coś wymyślisz – dodał Schroeder.

– Niech cię diabli wezmą!

– Przykro mi: albo się zgodzisz, albo nic z tego.

– Dobrze: gdzie to jest?

– Obiecujesz?

– Tak – przytaknął Taylor. – Obiecuję.

– Ufam ci, Andrew.

– A ja tobie. Gdzie?

– W Yorkshire.

– Gdzie w Yorkshire?

– Flamborough Head. Jest tam latarnia morska. Czas: niedziela, od trzeciej do piątej rano.

– Od trzeciej do piątej... – powtórzył Taylor. – Wielkie nieba!

Zerwał się z krzesła tak gwałtownie, że stół się zachwiał. Ruszył ku drzwiom.

– Andrew!

Taylor przystanął z ręką na klamce. Po chwili wahania odwrócił się do Schroedera.

– Obiecałeś – przypomniał łagodnie Niemiec. Taylor milczał.

– Andrew! – Schroeder zaśmiał się nienaturalnie. – Obiecałeś mi coś.

– Skłamałem.

– Nie możesz mnie tu zostawić. Ja zwariuję. Duszę się w tych ścianach! To nie dla mnie!

– Nie będziesz się już długo męczył.

– Przenosicie mnie? – zdziwił się Schroeder. – Psiakrew, przecież cela od celi niczym się nie różni! Weź mnie ze sobą, na miłość boską! Obiecałeś! Obiecałeś mi!

– Wczoraj spędziłeś ostatnią noc w celi, Rudolfie. Schroeder wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy.

– Andrew... – wyszeptał. – Nie mógłbyś chyba... Taylor wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Rozdział 17

Morze Północne

Kiedy U-Boot wynurzył się na powierzchnię, wokół zalegała mgła. Była gęsta, nieprzenikniona, niemal namacalna; od czasu do czasu słaba, alabastrowej barwy poświata zdradzała rzadko bijące w morze błyskawice. *Kapitanleutnant* Schmidt nie widział własnej dłoni, kiedy wyprostował rękę, Hagen jednak wbił wzrok w mgłę, jakby dostrzegł w niej coś, co bez reszty przykuło jego uwagę.

Schmidt nie zdziwił się specjalnie, gdy esesman odwrócił się ku niemu i powiedział:

– Nawet gdyby nadała sygnał, nic byśmy nie zobaczyli. *Kapitanleutnant* postanowił milczeć.
– Musimy podejść bliżej – dodał Hagen.
– Nie zrobię tego, *Herr Hagen* – odparł Schmidt i bardziej poczuł, niż zobaczył, jak esesman czerwienieje ze złości.

– Skoro nie jesteśmy w stanie dojrzeć sygnału, *Kapitdnleutnant*, to znaczy, że nie wypełniamy należycie naszych obowiązków – zauważył Hagen. – A to by znaczyło...

– Jeżeli podejdziemy bliżej brzegu, *Herr Hagen*, stracimy okręt, pańskich szpiegów i własne życie. Ta kwestia nie podlega dyskusji. Jeżeli chce pan przejąć dowództwo, proszę bardzo; jeżeli nie, musi mi się pan podporządkować.

Mimo że esesman stał niespełna dwa metry dalej, Schmidt nie był w stanie odczytać wyrazu jego twarzy; mógł się tylko domyślać, jak zostały przyjęte jego słowa.

Minęło dobre pół minuty, zanim Hagen się odezwał:

– Ma pan rację, *Kapitdnleutnant*. Nie ma sensu ryzykować straty okrętu.
Dzięki Bogu, pomyślał Schmidt.
– Wyślemy na brzeg ponton – powiedział na głos. – Dwóch ludzi będzie z niego wypatrywać sygnału; jeżeli coś zobaczą, nawiążą kontakt.

– Doskonale. Popłynę ja i *Herr Gruber*.

Schmidt z trudem powstrzymał cisnący mu się na usta uśmiech.

– Natychmiast każę przygotować ponton, *Herr Hagen*.

Flamborough Head, Yorkshire

We śnie pocisk przeszedł na wylot przez jej bark i wbił się w drewnianą futrynę; nie czuła bólu, wszystko było w porządku, życie toczyło się dalej.

W rzeczywistości jednak kula wciąż tkwiła w jej ciele.

Czuła ją przy każdym ruchu, gdy podciągała się w górę na kolejny stopień. Przemieszczała się wewnątrz jej ramienia, szarpiąc mięśnie. Chwilami ból wywołany jej ruchem stawał się nie do wytrzymania i Katarina na krótki moment traciła przytomność; i tak niewiele jej do tego brakowało –

gorączka, wyczerpanie i wysiłek robiły swoje – ale to właśnie pocisk w barku co chwilę spychał ją w otchłań zapomnienia. I to właśnie teraz, gdy cała jej przytomność umysłu była absolutnie niezbędna.

Śniło jej się, że prowadzą ją na szubienicę: Fritz trzymał ją za jedną rękę, stary grubas za drugą. Obaj się uśmiechali, a ich twarze wyrażały potępienie i litość. Szli wśród tłumu Anglików, którzy głośnymi okrzykami domagali się egzekucji. Nawet dzieci krzyczały, i to chyba najgłośniej ze wszystkich.

Grzmot przywołał ją z powrotem do rzeczywistości. Znajdowała się w połowie schodów w przeklętej latarni morskiej; krwawiła, płakała i nie miała siły czołgać się dalej.

Wciągnęła się na następny stopień.

Fakt, że wspinała się na tę wieżę, najlepiej świadczył o tym, że zupełnie sobie nie radzi: powinna przecież iść w drugą stronę, do drzwi i na plażę. Stamtąd jakoś dałaby znać, gdzie jest – mogłaby liczyć na pomoc.

Nie wstając z łóżka, kopnęła starego grubasa w brzuch. Zdążył dwa razy strzelić: jedna kula trafiła ją w lewy bark i odrzuciła do tyłu. Miała szczęście. Sturlała się na ziemię i przetoczyła po podłodze, nie zdając sobie jeszcze sprawy z tego, że w jej ciele utkwiał pocisk. Zanim grubas połapał się w półmroku i wycelował, znalazła się na korytarzu.

Poturlała się w niewłaściwym kierunku.

Zdawała sobie sprawę, że dawniej instynkt i wpojone podczas szkolenia nawyki wziętyby górę i pozwoliły jej przetrwać pierwszy szok – mimo niesprzyjających okoliczności działałaby poprawnie.

Jeszcze nie jest za późno, pomyślała. Nadal mam szansę, żeby to naprawić. Przecież ciało jest tylko instrumentem, całkowicie podległym mojej woli.

Zabroniła sobie popadania w ośpienie i omdleń. Miała przecież coś do zrobienia – musiała wdrapać się na schody, zabić grubasa i wytrzymać do czasu, aż będzie mogła przekazać posiadane tajemnice ludziom z U-Boota, który czekał na morzu nieopodal Flamborough Head.

Podciągnęła się wyżej. Pocisk znów się przemieścił; powstrzymała odruchowy krzyk, ale ból odbił się na jej twarzy i na długą chwilę jej rysy stężały w okrutnym brzydkim grymasie. W końcu zdołała się odprężyć – tylko głęboka zmarszczka między brwiami nie chciała zniknąć.

Pokonała następny stopień i – mimo najszczerszych chęci – znów odpłynęła w niebyt.

Nazywała się Catherine Danielson – jeszcze nie Carter – i wysiadała właśnie z pociągu w Princeton. To było dziesięć lat wcześniej. Richard na nią czekał. Po jego oczach od razu poznała, że mu się podoba. Zaprowadził ją na uniwersytet, do małego profesorskiego domku na tyłach kampusu; niósł jej walizkę i zachowywał się jak przewodnik oprowadzający wycieczkę. Miała wrażenie, że robi jej wykład z historii i geografii Princeton. Młodzi mężczyźni w powycieranych togach śledzili ją łakomym wzrokiem, lecz Richard zdawał się tego nie zauważać. Mówił właśnie coś o... o pieniądzach...

Ale prowadził ją na szubienicę, rzecz jasna – wcale nie do domu, tylko na szubienicę. A właściwie nie na szubienicę, lecz... Tak, jednak tak. Jak mogła o tym zapomnieć? Szli na górę po schodkach, a zebrany wokół tłum zawodził śpiewnie. Bała się, była bezgranicznie przerażona. Ci ludzie chcieli jej śmierci. Z tłumu wystąpił ksiądz, rozwijając arkusz pergaminu. Oskarżał ją o szpiegostwo, nazywając ją jej prawdziwym nazwiskiem. Prawdziwym!

– Heinrich – powiedział.

Znów znalazła się w latarni morskiej.

– Katarina Heinrich. – Głos odbił się echem od ścian.

Zamrugła ze zdumienia, z wysiłkiem wciągnęła powietrze do płuc i pokonała następny stopień.

– Katarina Heinrich – powtórzył nieznajomy. Jego słowa, zniekształcone akustyką latarni, brzmiały głucho i niesamowicie.

– Tak się pani nazywa, prawda? Katarina Heinrich?

Ile jeszcze schodów zostało do końca? Wolą o tym nie myśleć, wczołgała się na kolejny.

Tym razem sen wyglądał inaczej: cała, zdrowa, w świetnej formie wbiegała po schodach, by ukryć się w kadzi z rtęcią. Śmiertelna trucizna we śnie była całkowicie nieszkodliwa. Zapadła się w nią łagodnie, jak w wannę z gorącą wodą. We śnie zabiła grubasa, kiedy wyszedł na galeryjkę: cisnęła nożem ze śmiercionośną precyzją; ostrze przeszło jego oko i weszło w mózg.

Właśnie, nóż: czy ma go jeszcze przy sobie?

Otworzyła oczy i spojrzała na swoje ręce: nie. Nóż istniał tylko we śnie.

Znów zagrzmiało, tym razem gdzieś w oddali. Burza ustępowała.

Katarina doszła nagle do wniosku, że właśnie umiera.

Jeszcze nie, powiedziała sobie w duchu. To jeszcze nie koniec, do diabła!

Zdołała wypełznąć stopień wyżej.

We śnie ten stopień był ostatni: znalazła się na galeryjce. Ostatnie krople deszczu rozbryzgiwały się na szybach. W blasku pioruna dostrzegła Starego Ruperta, pływającego się na brzuchu w zbiorniku z rtęcią, pod gigantyczną soczewką Fresnela. We śnie przeczołgała się jeszcze kawałek po podłodze i padła wyczerpana. Nie czuła tkwiącej w barku kuli; całe ramię jej zdrętwiało. Umieram, pomyślała. Poczula się nagle jak mała dziewczynka, która przypadkiem znalazła się w baśni braci Grimm: na dworze cichła burza, potwór skradał się za nią po schodach, a ona nie miała gdzie przed nim uciec. Na górze było zimno – niby środek lata, ale ziąb przenikał ją do szpiku kości. A może po prostu wypływał z jej wnętrza: odrętwienie rozlało się z ramienia na klatkę piersiową... Kto wie, może wcale nie zatrzyma się w granicach jej ciała; może taki właśnie będzie jej ostatni czyn – odda światu nagromadzone w niej zimno. Ale przecież miała nadzieję, że podaruje światu ogień, atomowy żar, a nie chłód. Nigdzie nie mogła znaleźć ognia.

– Tonie... sen – wymruczała.

Miała rację – to była rzeczywistość i jeżeli teraz umrze, przyniesie światu tylko ten ziąb i martwość, a nie ogień. Nie mogła dalej leżeć na podłodze – powinna wstać, ruszyć się, poszukać broni...

Ciało to tylko instrument, posłuszny mojej woli.

Chciała usiąść, lecz ciało odmówiło jej posłuszeństwa – grzecznie, ale stanowczo.

Upadła na ziemię. Z jej piersi dobył się słaby szloch.

We śnie przetoczyła się na plecy, czekając, aż po nią przyjdzie. Przecież szedł za nią po schodach, pewnie z przesadną ostrożnością – nie miał pojęcia, jak poważnie jest ranna – ale lada chwila jego cień zamajaczy na ścianie, niech no tylko wejdzie na schody... O jest... we śnie... szedł po nią... Żałowała, że nie ma kapsułki z trucizną. Połknęłaby jaj lepsza śmierć niż niewola. A może ten człowiek i tak ją zabije?

Wszedł na galeryjkę.

Był chyba nie mniej przerażony, niż ona: strzelał niespokojnie oczami na boki, zaglądał we wszystkie zakamarki, jakby bał się jakiegś niespodzianki z jej strony. Słyszał pewnie o Highgate,

pomyślała. Myśli, że ciągle jestem niebezpieczna.

Nie mogła jednak nic zrobić. Wszedł do pokoju, mierząc z pistoletu prosto w jej głowę.

– Katarina Heinrich – stwierdził.

Skinęła głowę, a w każdym razie starała się to zrobić.

We śnie zaczął naciskać spust. Nie zamierzał zatem jej aresztować, lecz zastrzelić na miejscu. Nie był takim mięczakiem, jak myślała. Był twardy, gotowy na wszystko. Mogłaby go za to szanować.

I wtedy, wciąż we śnie, Hagen przybył jej z odsieczą. Stał u szczytu schodów, za plecami grubasa. Stary, dobry Hagen, chudy, wysoki, w czarnym błyszczącym mundurze, który zakładał tylko na akcję. W ręku miał lugera, którego wycelował w tył czaszki grubasa.

– Proszę, nie – powiedział we śnie Hagen.

Właściwie ten sen robi się zabawny, uznała Katarina. To prawda, że Hagen słabo mówił po angielsku, i pewnie w tej sytuacji tak właśnie by się wysłowił, ale skoro tutaj, we śnie, pełnił rolę jej wybawiciela, *deus ex machina*, taka niezręczność mogła mu zostać oszczędzona. Powinien mówić perfekcyjnie.

Stary grubas znieruchomiał.

– Odłóż pistolet – polecił mu Hagen.

Grubas powoli schylił się i położył broń na ziemi. Podniósł ręce nad głowę.

– Cofnij się dwa kroki, proszę.

Katarina zdumiona patrzyła, jak stary posłusznie robi dwa kroki w tył. Nie jest źle, pomyślała. Ciekawe, czy ja już nie żyję. Miło byłoby odejść, śniąc takie sny. Gdyby jeszcze Hagen strzelił temu facetowi w tył głowy, wszystko byłoby idealnie.

Ale Hagen nie strzelał.

– Profesor Winterbotham? – zapytał. Grubas skinął krótko głową.

– Nazywam się Hagen. A to jest Gruber.

W tym momencie Katarina ujrzała za jego plecami niepozornego, szarego i strasznie podekscytowanego człowieczka.

– Profesorze! – rzekł zaferowany Gruber. – W imieniu admirała Wilhelma Canarisa proszę przyjąć moje zaproszenie do powrotu z nami do Berlina.

Katarina zamknęła oczy, czuła się zupełnie zagubiona i wyczerpana. Co się wokół niej działo? Dlaczego jej wyobraźnia splątała jej takiego figła? Kim był ten szary, uprzejmy człowieczek?

Hagen klęczał obok niej i oglądał zranione ramię. Kiedy otworzyła oczy, uśmiechnął się przelotnie.

– Katarina – powiedział. – Wracasz do domu. Skinęła głowę.

– Odpocznij.

Znów skinęła głowę i zamknęła oczy. Nareszcie mogła odpocząć.

Rozdział 18

Samochód zatrzymał się we mgle. – Co się stało? – zapytał Taylor, pochylając się w przód na fotelu pasażera.

Kierowca chrząknął i odparł:

– To chyba tutaj.

– Co tutaj, Fitz?

– No... Że jesteśmy na miejscu. Tak mi się wydaje.

– Przy latarni? Fitz pokiwał głową.

Taylor prawie przytknął nos do przedniej szyby, wpatrując się w mrok.

– Nic, psiakrew, nie widać – mruknął.

– Droga zaraz się kończy.

– Nie mógłbyś jeszcze trochę podjechać?

– Dalej nie ma asfaltu, ale jeśli pan chce, mogę zjechać na trawę.

– Zaczekaj.

Taylor wysiadł i przeszedł wzdłuż rzędu pięciu samochodów, stukając w okna. Stłoczyli się w ciasną grupkę: Taylor, Kendall, pułkownik Fredricks i dwóch ludzi z CID, kryminalnego wydziału Scotland Yardu.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Taylor. – Tylko jeszcze o tym nie wiemy.

Fredricks z powątpiewaniem rozejrzał się dookoła.

– Ciężko będzie zobaczyć coś w tej zupie – zauważył.

– Zdaję sobie z tego sprawę, pułkowniku, ale nie możemy czekać, aż mgła się rozwieje. Wszyscy mają broń?

Wszyscy mieli.

– Idziemy na plażę – zakomenderował Taylor. – Kiedy ją obstawimy, wyślemy kogoś do latarni. Zanim znad zatoki Whitley dotrą posiłki, albo będziemy mieli naszych szpiegów w garści, albo przynajmniej odetniemy im drogę ucieczki.

– Jedna sprawa... – wtrącił Fredricks.

– Słucham, pułkowniku?

– Co z Winterbothamem?

– To znaczy?

– Co mamy zrobić, jeśli się na niego napatoczymy?

– A jak pan sądzi? – Taylor przeładował pistolet.

– Ale...

– Czy ktoś ma jakieś sensowne pytania? Nikt się nie odezwał.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Wyruszyli na plażę w dwóch grupach.

Pierwszą prowadził Taylor, mając po bokach Fredricksa i Kendalla. Minęli porzuconego talbota sunbeama – Taylor uświadomił sobie nagle, że samochód należy do Winterbothama – i skręcili w lewo, oddalając się od latarni.

Dwaj ludzie z CID poszli w prawo, obchodząc latarnię z drugiej strony.

Grunt był wilgotny i podmokły, mlaskał cicho pod stopami, lecz mgła natychmiast tłumiała odgłos kroków. To samo działo się z ludzkim głosem.

– Tu jest ścieżka – odezwał się Kendall. – Prowadzi w dół urwiska.

Taylor miał wrażenie, że szept dobiega ze wszystkich stron jednocześnie. Kiedy spojrzał w stronę Kendalla, ujrzał tylko ciemniejszą smugę wszechobecnej mgły.

– Gdzie? – zapytał szeptem.

Ktoś dotknął jego ręki.

– Tędy – rzekł Kendall. – Poprowadzę.

Taylor wyciągnął rękę w lewo, szukając Fredricksa, ale trafił dłonią w próżnię.

– Fredricks! – wysyczał. Odpowiedziała mu cisza.

– Fredricks! Nic z tego.

– Zgubiłem Fredricksa – powiedział.

Ruszyli w końcu z Kendalllem przed siebie, trzymając się za ręce jak przedszkolaki. Ścieżka wiodła w dół klifu – była stroma, nierówna i Taylor chyba nie podjąłby się nią zejść przy dobrej pogodzie i widoczności. Schodząc, zaczęli z wolna wynurzać się z mgły: wkrótce dostrzegł idącego przodem Kendalla i puścił jego rękę. Stanęli na kamienistej plaży, ciesząc się, że żaden nie skręcił nogi ani nie zrobił sobie większej krzywdy. Nisko nad horyzontem Taylor ujrzał kilka gwiazd, lśniących na niebie, którego nie tknęła burza.

Na plaży nie było nikogo, za to całkiem blisko majaczył wyciągnięty na brzeg pusty ponton.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Taylor podniósł wzrok na urwisko, z którego zesli: mgła gęstniała wraz z wysokością, ale widział z plaży latarnię, rysującą się czarną plamą na tle ciemności. Pasażerowie pontonu pewnie właśnie tam się znajdowali.

A skoro tak, to niebawem wrócą.

Gestem dał znać Kendallowi, żeby znalazł sobie kryjówkę dalej od pontonu, a sam podkradł się do początku ścieżki i ustawił się trzy-cztery metry od niej, w takim miejscu, by schodzący zauważyli go dopiero w ostatniej chwili.

Jeszcze raz sprawdził broń.

Miał ochotę zapalić papierosa, ale uznał, że nie powinien aż tak ryzykować.

Czekał.

Gdy tylko Hagen usłyszał ciche buczenie silników, przebijające się przez szum fal przyboju, uciszył wszystkich ruchem ręki. Zesli właśnie na parter latarni: Hagen prowadził, za nim szedł Gruber – razem nieśli Katarinę – a na końcu skradał się angielski zdrajca.

Przechylił głowę, nasłuchując; nie miał już wprawdzie tak ostrego słuchu, jak przed laty, ale nie mógł narzekać. Trzy samochody, uznał; co najmniej trzy, a może więcej.

Schmidt na pewno nie czekałby na nich dłużej, niż to konieczne i bezpieczne dla okrętu; ba, pewnie chętnie pozbyłby się Hagen a i zostawił go na łodzi na terytorium wroga.

Hagen dał swoim towarzyszom znak, żeby podeszli bliżej.

– Pójdę pierwszy – powiedział. – Oczyszczę przejście. Wy dwaj idziecie z Katariną za mną. Nie schodźcie na plażę; czekajcie na mój znak. I chrońcie ją za wszelką cenę. Wasze życie jest coś warte, tylko dopóki ona żyje.

– Na jaki znak? – wysapał Gruber. Dyszał ciężko, zmęczony znoszeniem Katariny po schodach.

Hagen poczuł nagły przyływ pogardy dla małego, bladego człowieczka; jakże stosownego przedstawiciela znalazł sobie ten zdrajca Canaris! Odpędził od siebie tę myśl.

– Zagwiżdżę. Oczekajcie teraz dwie minuty, potem idźcie za mną.

Oddał Winterbothamowi pistolet i zniknął w mroku.

Gruber z Winterbothamem popatrzyli po sobie.

– Da sobie radę? – zapytał Winterbotham.

Gruber pokiwał głową; cały cuchnął strachem – Winterbotham dobrze czuł kwaśną, ostrą woń.

– Na pewno.

Hagen nasłuchiwał.

Doszedł do wniosku, że podzielili się na dwie grupy: jedna znajdowała się dokładnie na wprost niego i kierowała się w stronę morza. Liczyła trzech ludzi – amatorów, nawiasem mówiąc: szeptali coś do siebie, a mokra trawa kląskała im pod stopami. Druga grupa obchodziła latarnię z przeciwnej strony – to byli zawodowcy, a w każdym razie ludzie, którzy zbierali doświadczenie nie tylko za biurkiem. Szli tak cicho, że nie mógł się zorientować, ilu ich jest.

Tych trzech z przodu powinien załatwić bez pudła.

Schował lugera do kabury; jeżeli uda mu się tę trójkę wyeliminować po cichu, z pozostałymi pójdzie łatwiej.

Szedł krok w krok za nimi. Nie widział ich, ale czuł, czuł we mgle emanującą z nich energię. Dwóch zaczęło skręcać nieco w prawo, przez co trzeci, który nie zboczył z obranego kursu, oddalił się od kompanów – i chyba żaden nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje. Hagen poszedł za samotnikiem. Mężczyzna był zdenerwowany, niespokojny; Hagen miał wrażenie, jakby śledził człowieka naładowanego elektrycznością. Taki nerwowy amator na pewno trzyma broń w ręce, pomyślał; nie można mu dać szansy, żeby nacisnął spust. To nie powinno stanowić problemu.

Odczekał do chwili, aż idący przed nim mężczyzna zatrzymał się – może właśnie zdał sobie sprawę, że jest sam we mgle. Hagen zrobił szybki krok do przodu, złapał go od tyłu za szyję i wepchnął mu palce do ust. Drugą ręką chwycił jego dłoń z pistoletem i kciukiem nacisnął od wewnątrz nadgarstek. Usłyszał, jak broń pada w trawę z cichym plaśnięciem. Mężczyzna zaczął się dusić w jego uścisku, kiedy Hagen zapał się mocno nogami, pociągnął go do tyłu, przytrzymał jego głowę i mocno przekręcił.

Bezgłośnie złożył ciało na trawie.

Wyciągnął nóż – na wypadek, gdyby któryś z pozostałej dwójki usłyszał jakiś podejrzany szmer.

– Tu jest ścieżka – powiedział jeden z amatorów. Znajdował się jakieś trzy, może cztery metry w prawo od Hageny. – Prowadzi w dół urwiska.

– Gdzie?

– Tędy. Poprowadzę.

– Fredricks! – wysyczał ten drugi. Hagen znieruchomiał.

– Fredricks!

Hagen podniósł nóż, przygotowując się do rzutu.

– Zgubiłem Fredricksa.

Chwilę później ruszyli ścieżką w dół, hałasując tak, jakby celowo chcieli dać wszystkim znać o swojej obecności. Hagen odetchnął z ulgą. Postanowił zostawić ich na plaży – przynajmniej wiedział, gdzie są – i zająć się zawodowcami.

Ruszył naprzód, trzymając się skraju urwiska. Szedł powoli, zatrzymując się co dwa, trzy kroki, nasłuchując. Zawodowcy musieli być gdzieś blisko i pewnie zbliżali się do niego.

Chyba że poszli prosto do latarni, pomyślał nagle.

Ale nie. Słyszał, jak obchodzili ją z tamtej strony, kierując się na plażę.

Jeśli jednak się pomylił, za jego błąd zapłaci Katarina.

Na tę myśl wpadł w szal; zdawał sobie sprawę, że panika jest jego największym wrogiem, ale na krótką chwilę całkowicie się jej poddał: tyle przeszła, a on ją teraz zostawił pod opieką durnia i zdrajcy! Po dziesięciu latach ich ścieżki znów się zeszły, a on od razu spuścił ją z oka! Na szczęście miał jeszcze czas, żeby naprawić swój błąd.

Przyspieszył kroku i skierował się wprost do latarni, napominając się w duchu, że powinien iść jak najciszej. Jak tylko upewni się, że Katarinie nic nie grozi, zacznie znów bardziej uważać, ale na razie...

– Scotland Yard! – krzyknął ktoś.

Krzyk jeszcze nie przebrzmiał, gdy rozległ się strzał. Hagen zaklął i padł na ziemię, płynnym ruchem wyciągając lugera. Zestarzał się już – w tym problem. Najpierw założył, że zawodowcy obejdą latarnię nie zaglądając do środka, a potem bez żadnego wyraźnego powodu zwątpił w swoje założenie. Faktycznie okazali się profesjonalistami pełną gębą – ze Scotland Yardu, o czym nie omieszkali go poinformować – i wykorzystali jego błąd.

Zagrzmiał następny wystrzał; kula świsnęła Hagenowi tuż koło ucha. Przeturlał się w prawo, trzymając lugera przy ciele. Ilu ich było? W tej chwili serce waliło mu jak młotem i nie słyszał już tak dobrze, jak przedtem. Przyklęknął, wodząc przed sobą pistoletem z prawa na lewo i z powrotem. Przeklinał w duchu własną głupotę – okazało się w dodatku, że zgubił nóż – ale oskarżenia pod własnym adresem musiał odłożyć na później. Wyteżył słuch, starając się zapomnieć o pulsowaniu krwi w uszach i skroniach.

Co najmniej jeden znajdował się z przodu, po prawej – Hagen natychmiast wycelował lugera w tym kierunku, ale nie chciał strzelać, dopóki nie dowie się, z iloma przeciwnikami ma do czynienia. Nie zamierzał jak amator zdradzać swojej pozycji.

Zaczął się ostrożnie cofać.

Musisz zniknąć, pomyślał. Zniknąć, a potem znów się pojawić. Wykorzystać...

– Tam jest! – krzyknął ktoś i w ciemności zabrzmiały trzy następne strzały.

Hagen porzucił wszelką ostrożność i zaczął biec.

Gruber stał w ciasnej sieni latarni i wyglądał przez okienko. Podskoczył na dźwięk pierwszego strzału.

– *Horst du eto!?* – krzyknął.

Oblizwał nerwowo wargi, ale nie odchodził od okna. Rozległ się kolejny wystrzał, a potem jeszcze trzy, jeden po drugim.

– *Lass die Frau hier und beetle dich* – powiedział Gruber. – *Kommt mit Verstrkung von dem Boot zuruck.* – Odwrócił się do Winterbothama. – *Komm mit verstrkung...* – Urwał w pół zdania.

Zaczął podnosić ręce do góry, kiedy Winterbotham strzelił.

Taylor usłyszał strzał, potem drugi, a później trzy następne. Za chwilę doleciał go jeszcze jeden, tym razem z większej odległości.

– Zostań tu! – krzyknął do Kendalla i, nie czekając na odpowiedź, popędził ścieżką pod górę. Ziemia pod stopami zdawała mu się teraz jeszcze bardziej rozmiękła; z trudem znajdował solidne oparcie dla nóg. Może przydałaby mi się czyjaś ręka, która by mnie podtrzymała, pomyślał. Niezdarnie gramolił się na klif, dysząc ciężko z wysiłku.

Gdzieś bardzo daleko zaryczał róg mgłowy.

Taylor złapała kolka, ale zacisnął zęby i wspinał się dalej. Za stary już na to jestem, uznał. Za stary i za gruby. A niech to wszystko szlag trafi! Chciałby całą winę zrzucić na Winterbothama – starego durnia, niech go piekło pochłonie – ale nie mógł robić mu wyrzutów, nie mając pretensji do siebie: sam przecież wciągnął go w tę grę. Znał reputację Winterbothama, a mimo to zaryzykował – i teraz ten pomysł bokiem mu wyszedł.

Może powinien był iść od razu do latarni, a nie na plażę. No tak, tylko skąd mógł wiedzieć, że będą w latarni? Dobrze zrobił: najpierw należało zabezpieczyć plażę, odciąć im drogę ucieczki, a dopiero potem sprawdzić latarnię.

Jezu, jak go rwało w boku; Jezu, paliło żywym ogniem! Jezu Chryste, był kompletnie bez formy. Parł jednak naprzód, gdy nagle przyszło mu do głowy, że powinien był zatopić ponton; wówczas nie miałoby znaczenia, czy zejdą na plażę, czy nie. Właściwie jeszcze teraz mógłby zawrócić i to zrobić, ale coś ciągnęło go w kierunku, z którego słyszał strzały – i nie zastanawiał się zbytnio nad tym, czy postępuje logicznie. Gdyby oddalił się od miejsca, gdzie prawdopodobnie toczyła się walka, przyznałby się, że jako człowiek czynu poniósł całkowitą klęskę i że do końca życia będzie musiał ograniczyć się w MI-5 do intelektualnej akrobatyki.

Wreszcie znalazł się na szczycie urwiska; dyszał ciężko, jak pies w letnie popołudnie, i na miękkich nogach wolno, zataczając się, brnął w stronę latarni. Jestem do niczego, pomyślał. Jak będzie trzeba się bić, jestem do niczego. Wystarczy spojrzeć: zupełnie...

Jakieś pół metra przed nim przebiegł człowiek. Taylor stanął jak wryty, wyężając wzrok. Mignęła mu połyskliwa czerń płaszcza.

Żaden z jego ludzi nie nosił czarnego, błyszczącego munduru – natomiast SS słyneło z zamiłowania do takich strojów.

Rzucił się w pogoń za nieznanym.

Widząc, jak zginął Klaus Gruber, Katarina Heinrich poczuła nagły przyływ adrenaliny. Uniosła głowę, zamrugła i nagle przypomniała sobie o ukrytej w bucie paczusce ze sproszkowaną amfetaminą. Jak mogła o niej zapomnieć?! Głupia, leniwa, słaba...

Wyciągnęła teraz kopertkę, otworzyła ją drżącymi palcami i podniosła do nosa. Wciągnęła mocno powietrze do płuc.

Zdołała usiąść, oprzeć się o ścianę i zaczęła wstawać na nogi. Gruber, człowiek Abwehry, opadł właśnie na plecy. Widziała jego twarz – a raczej to, co z niej zostało: resztki ciała ześlizgnęły się z czaszki niczym płat śniegu, zsuwający się z nagrzonej skały.

Winterbotham odwracał się w jej stronę, podnosząc pistolet. Wiedziała, co się wydarzy. Jeśli pozwoli mu wycelować, zastrzeli ją z zimną krwią.

Dlatego zaatakowała.

Rzuciła się na niego; pocisk w jej barku znów się przemieścił i ogarnęła ją fala słabości. Nogi się pod nią ugięły i wymierzony w twarz Winterbothama cios trafił go nieszkodliwie w pierś,

a Katarina znalazła się z powrotem na zimnej, wilgotnej posadzce, walcząc z mdłościami. Miała wrażenie, jakby wszystkie jej stare rany równocześnie się otworzyły; była cała lepka od krwi. Stęknęła głośno i przetoczyła się na plecy. Miała ochotę zamknąć oczy. Boże, jaka była zmęczona.

I nagle jej serce zagrało w nowym rytmie: amfetamina dotarła do układu nerwowego.

Winterbotham cofał się, znów próbując wycelować.

Kopnęła go w rękę z pistoletem i, choć przyplącała to naderwaniem jakiegoś ścięgna, wytrąciła mu broń, która poleciała gdzieś w ciemność. Wykorzystując impet kopnięcia odwróciła się, przyklękła i zerwała się na nogi. Ciało przeszył jej taki ból, że przestała identyfikować jego źródło – po prostu coś sobie tam w środku uszkodziła i już.

Odsunęła od siebie myśl o cierpieniu.

Skoncentrowała się.

Z wysoku kopnęła Winterbothama w twarz, ignorując ból szarpanych mięśni brzucha.

Zasłonił się ręką; trafiła go stopą w przedramię i natychmiast wyprowadziła krótki, prosty cios w szczękę. Celny. Oszołomiony Winterbotham zachwiał się na nogach i cofnął o krok.

Złapała równowagę i skoczyła na niego ponownie: obrotowe kopnięcie miało go trafić w pierś, ale odskoczył i oparł się o ścianę. Kiedy z rozpędu odwróciła się do niego plecami, zaatakował, myśląc, że łatwiej będzie mu ją trafić od tyłu.

Na to właśnie liczyła: podskoczyła wysoko, zrobiła w powietrzu obrót o sto osiemdziesiąt stopni i kopnęła go prosto w nos.

Upadł.

Wylądowała ciężko na palcach; krwawiła obficie, ból przenikał jej ciało niczym skomplikowana siateczka, tchu jej brakowało – ale udało jej się: Winterbotham leżał na ziemi.

Zachwiała się, gdyż znów ogarnęły ją mdłości, on zaś zdążył w tym momencie wstać.

Stanąwszy naprzeciwko siebie, zaczęli zataczać ostrożne kręgi. Krew płynęła strumieniem po twarzy Winterbothama, kiedy na przemian zaciskał i rozwierał pięści. Jego małe oczka płonęły wściekle.

Zamarkował cios. Katarina uskoczyła i sama udała, że chce uderzyć. Zablokował jej uderzenie. Grał na czas; rozumiała go: na jego miejscu sama zachowywałaby się podobnie. Widział, że jest poważnie ranna i z każdą sekundą traci coraz więcej krwi.

Uciekaj, pomyślała. Uciekaj na plażę.

Wiedziała jednak, że nie ma szans – gdyby zaczął ją gonić, z pewnością nie dotarłaby na brzeg. Miała do wyboru: albo rozprawić się z nim tu i teraz, albo od razu się poddać.

Jeszcze raz zaatakowała.

Zamarkowała cios lewą ręką – raz, drugi, a potem błyskawicznie uderzyła prawą. Winterbotham odsunął się, zrobił jeden unik, drugi, a przy trzecim uderzeniu złapał ją za nadgarstek. Poruszał się jednak zbyt wolno: okręciła się wokół własnej osi i wbiła mu łokieć w nerki. Stęknął ciężko. Sięgnęła ponad głowę, złapała go za szyję i szarpnęła w przód, próbując go przerzucić.

Winterbotham stał jednak mocno na nogach, a w dodatku był od niej dobre pięćdziesiąt kilogramów cięższy. Mocowała się z nim chwilę bez skutku, kiedy nagle uderzył ją z boku w głowę.

Zadzwońiło jej w uszach i upadła na podłogę.

Przełknęła ściekającą jej do gardła krew i spróbowała wstać, ale nie była w stanie zmusić się do takiego wysiłku. Zamknęła oczy.

Babcia głaskała japo twarzy. Zaraz położy ją spać.

Otwórz oczy, Katarino.

Nie udało się. Jeszcze raz. Odwrócony do niej plecami Winterbotham przykucnął i szukał czegoś po omacku. Na pewno pistoletu, żeby ją wykończyć.

Zmusiła się do wstania. Strasznie kręciło się jej w głowie, ale gdyby znalazł broń...

Rzuciła się na niego z góry.

Zdażył się odwrócić i spleceni w uścisku upadli na ziemię. Każde z nich zaciskało dłoń na gardle drugiego.

Hagen musiał improwizować.

Uciekał, ale uciekając odciągał zarazem wroga od Katariny. Goniło go trzech ludzi: dwóch zawodowców i amator; amator znajdował się najbliżej i dyszał tak ciężko, jakby był o krok od zawału.

Uciekał (odciągał ich) tak długo, że przebiegli całą łąkę, przecięli drogę i zaczęli zagłębiać się w las. Znalazłszy się wśród drzew, zostawił pościg nieco z tyłu i mógł spokojniej rozeznaczyć się w sytuacji.

Słyszał amatora, który przedzierał się przez krzaki niczym ranny zwierz. Hagen skręcił w bok, przeszedł kilka kroków i ukrył się za drzewem. Uspokoił oddech. Nasłuchiwał. Czekał, aż amator przebiegnie, żeby szerokim, ostrożnym łukiem wyminąć profesjonalistów ze Scotland Yardu. Zgubiwszy w ten sposób pościg, mógłby spokojnie wrócić do latarni po Katarinę. Drażniło go, że wróg mu się wymknie, ale w tej chwili musiał schować dumę do kieszeni i bez reszty skupić się na misji, którą miał do wykonania.

Amator zbliżał się, łamiąc po drodze gałęzie i rozgarniając krzaki. Ciągłe sapał jak lokomotywa, chociaż w zaroślach nie mógł poruszać się szybciej, niż zwykłym swoim krokiem.

Hagen czekał, amator zaś, zamiast go wyminąć, zwolnił i po chwili zatrzymał się gdzieś bardzo blisko jego kryjówki. Sądząc po chrapliwym oddechu, chwilowo nie był w stanie poruszać się dalej.

Hagen ostrożnie wychylił się zza pnia: dostrzegł jego sylwetkę we mgle, zgiętą wpół, z dłońmi opartymi na udach.

Odwrócił się i zaczął przemykać wśród drzew, oddalając się od amatora. Przy drugim kroku gałązka złamała mu się pod stopą. W absolutnej ciszy trzask zabrzmiał ogłuszająco.

Hagen rzucił się na ziemię, zdając sobie sprawę, że w tej samej chwili amator celuje i strzela. Pistolet wypalił niebezpiecznie blisko jego głowy, ale kula utkwiała w leśnym poszyciu. Zanim amator zdażył strzelić ponownie, Hagen poderwał się i zgięty wpół zniknął w zaroślach.

Klucząc, zawrócił w kierunku latarni. Nie słyszał nic poza uporczywym dzwonieniem, który zdawało się dochodzić z głębi jego czaszki.

Zaklął pod nosem. Najwidoczniej tej nocy szczęście mu nie sprzyjało: ten strzał zagrzmiął faktycznie zbyt blisko.

Hagen ogłuchł.

Katarina zacisnęła palce na gardle Winterbothama.

Leżała na nim. Próbował się przetoczyć, przygnieść ją do podłogi, ale nie mogła do tego dopuścić; to byłby jej koniec.

Zacisnęła palce z całej siły, wbijając mu kciuki w tchawicę. Z minuty na minutę twarz Winterbothama czerwieniała coraz bardziej, ale i jej twarz musiała wyglądać podobnie, bo on – zrówna, jeśli nie większą siłą – miażdżył palcami jej krtań.

Zasyczała wściekle, jakby chciała go zabić siłą woli.

A Winterbotham miał takie spokojne oczy. Jak on to robił?

Zdychaj wreszcie!, pomyślała.

Był silny i ciężki, a ona zbyt drobna, za słaba i za miękka...

Mgiełka zaczęła zasnuwać jej oczy. Kula w barku poruszyła się, rozdzierając mięśnie.

Winterbotham zaczął ją spychać, zyskiwał przewagę, a ona nie mogła nic na to poradzić. Bezlitośnie trzymał ją za gardło.

Nagle tuż obok stanęła milcząca Gladys, a dalej dopingujący Katarinę Fritz i Hagen. Powiał letni wietrzyk, trawy się zakołysały, pachniało bzem, lawendą, firletką i powojem...

Znalazła się z powrotem na wilgotnej posadzce latarni. Słyszała własny chrapliwy oddech...

I czuła na szyi coraz mocniej zaciśnięte dłonie Winterbothama.

Zrobiło się jej nagle okropnie smutno: tyle przeszła i teraz tak skończyć... Ale wraz ze smutkiem pojawiła się nieoczekiwana słodycz i melancholia, które zaintrygowały Katarinę. Próbowała je zidentyfikować, ale bez skutku. Pozostała sobie wierna, udało jej się uniknąć szubienicy – to już coś.

Spojrzała Winterbothamowi w oczy. Jego twarz z czerwonej zrobiła się szara i na wpół przezroczysta, upodabniając się do ściany za jego plecami. Jej własne dłonie, bijące bezradnie w jego pierś, były dłońmi ducha.

Westchnęła z ulgą: oto skończyło się jej cierpienie! Skończył się ból!

Chciała podziękować za to Winterbothamowi, ale choć otworzyła usta, nie dobył się z nich głos. Zacharczała chrapliwie.

Winterbotham nie ustępował.

Nagle jej myśli stały się czyste, jasne, precyzyjne; czuła, jak ześlizguje się w otchłań śmierci i rozumiała już swój błąd: niepotrzebnie chciała go udusić. Gdyby nie była ranna, wyczerpana i rozpalona gorączką, na pewno by tego nie próbowała.

Może zatem nie było jeszcze za późno, żeby ten błąd naprawić?

Postanowiła spróbować przerzucić go przez głowę: wylądowałby wtedy na plecach, a ona spadłaby kolanami na jego bicepsy, miażdżąc mu je skutecznie.

Lecz na to nie miała już siły: wypchnęła biodra do góry, ale Winterbotham tylko się zachwiał.

Uderzyła go nasadą dłoni w podbródek.

Na próżno.

W takim razie zostały tylko oczy.

Wyciągnęła rękę, usiłując wyłupić mu lewe oko.

Zablokował ją, ale musiał w tym celu oderwać dłoń od jej gardła. Natychmiast postawiła drugą ręką krzyżowy blok i uderzyła Winterbothama w łokieć; upadł na twarz.

Kopnęła go kolanem w krocze.

Zrobiła głęboki wdech; płuca zapłonęły jej żywym ogniem. Wstała i, potykając się, rzuciła się do ucieczki.

Na drodze prowadzącej do latarni zatrzymało się sześć identycznych wolessleyów, dołączając do pięciu stojących na poboczu. Z samochodów wyskoczyło dwunastu agentów. Przybyli prosto z zatoki Whitley i większość była uzbrojona. Stłoczyli się w ciasną grupkę, nie wiedząc, co robić. Nie było wśród nich nie tylko dowódcy, ale nawet żadnego oficera. Rozważali możliwości dalszego działania.

Dziesięć metrów od nich znajdował się Hagen. Biegł w ich stronę.

Oszołomiony Winterbotham z trudem wstał.

Powinien już biec na plażę, ale ta kobieta mu się wymknęła. Czy ma ją gonić? A może Taylor się nią zajmie? Słyszał, jak pod latarnię zajeżdżają następne samochody; z daleka, od strony lasu, dobiegł go odgłos strzału.

A jednak Taylor jakoś go znalazł. Przez Schroedera. Schroeder najwidoczniej przeżył i opowiedział mu o ich umowie.

Biec za kobietą? Czy prosto na plażę?

Czas płynął nieubłaganie, U-Boot nie będzie czekał w nieskończoność.

Na plażę, zdecydował Winterbotham. Po Ruth.

Znalazł pistolet: zostały mu dwa naboje.

Wyszedł z latarni i zagłębił się we mgłę. Słyszcząc z lewej jakieś poruszenie, skierował się od razu na prawo. Spokojnie, zdumiewająco spokojnie ruszył w kierunku morza. Znalazł ścieżkę prowadzącą w dół urwiska i ostrożnie zaczął nią schodzić.

To szaleństwo, pomyślał. Kompletne szaleństwo. Zwariowałem.

Może tak, może nie. W każdym razie podjął decyzję.

Znalazłszy się na plaży, odszukał pusty ponton i właśnie zbliżał się ku niemu, gdy zza skał wynurzył się Kendall z bronią w ręku.

Kiedy Hagen znalazł się w samym środku ekipy komandosów, obie strony były kompletnie zaskoczone.

Tyle że to Hagen pierwszy zorientował się w sytuacji.

Podciął najbliższego agenta, który, nie wiedząc, co się dzieje, wyładował na ziemi. Obrotowym kopnięciem złamał kark następnemu i upadł wraz z nim, zanim inni połapali się, co jest grane. Przeturlał się pod pierwszym z brzegu samochodem, wyciągnął z kabury lugera i spokojnie wstał. Oddał sześć strzałów.

Sześciu ludzi padło, a Hagen wraz z nimi. Pozostali agenci zaczęli już rozumieć, co ich spotkało: wszyscy sięgnęli po broń i przyjęli postawę bojową. Hagen słyszał, że pokrzykują do siebie, ale ich słowa nie mogły przebić się przez szum w jego głowie.

Odrzucił pustego już lugera, wturlał się pod inny samochód i zwinnie wstał po drugiej stronie. Oddychał równo, ogniskując całą energię w bezgłośnym *Mai*. Pierwszego z agentów uderzył w nos i poczuł, jak pchnięte siłą ciosu chrząstki wbijają mu się w mózg. Wykorzystując impet ciosu, w wyskoku kopnął drugiego z mężczyzn w pierś, zanim tamten zdążył sięgnąć po broń – choć niewiele brakowało. Słyszał, że dwóch pozostałych biegnie w jego stronę.

Za dużo ich, pomyślał.

Wyprowadził cios, ale chybił.

Zimny metal trafił go w tył głowy, za uchem.

Hagen przyklęknął na jedno kolano, ale zmusił się, żeby wstać i potrząsnął głową. Odwrócił się i stwierdził, że patrzy wprost w wylot lufy pistoletu.

Padł na plecy, zahaczył stopami o kostki mężczyzny z bronią i skręcił całe ciało: tamten upadł, naciskając odruchowo spust. Kula weszła w ziemię tuż przy głowie Hageny. Nie wiedział gdzie podział się drugi z agentów, dlaczego jeszcze nie strzelał...

Kula trafiła go w krzyż.

Nogi natychmiast mu zdrętwiały. Próbował turlać się dalej, ale nie było to łatwe z pozbawionymi czucia nogami. Domyślał się, że ma uszkodzony kręgosłup, że to już koniec. Ale może...

Komandos trafił go jeszcze trzy razy – ostatni pocisk roztrzaskał mu czaszkę. Krew i mózg

Hagena rozbryznięty się po trawie.

Żołnierz rozejrzał się, ocierając nos rękawem płaszcza: poza nim jeszcze dwóch ludzi trzymało się na nogach.

– Jezu Chryste... – jęknął. Któryś z pozostałych wymiotował. – Jezu Chryste... – powtórzył i zemdlął.

Winterbotham, nie zwalniając kroku, szedł prosto na Kendalla. Kiedy młody oficer skinął mu głową, bez słowa uniósł pistolet i uderzeniem kolby zmiażdżył mu nos. Kendall padł na kolana z rękoma przyciśniętymi do twarzy. Krew ściekała mu między palcami.

Winterbotham spychał ponton na wodę; Kendall obserwował go w milczeniu, delikatnie obmacując obolały nos. Wreszcie Winterbotham wskoczył do gumowej łódki i wiosłem odepchnął się od brzegu.

Kendall, nie wstając z kolan, patrzył, jak ponton oddala się i ginie mu z oczu; jeśli nawet czekał na niego jakiś U-Boot, nie było go nigdzie widać.

Okręt musiał jednak rzeczywiście tam być, bo profesor nie wrócił na plażę.

Minęło prawie dwadzieścia minut, zanim Taylor znów zszedł z urwiska. Podeszedł do Kendalla, spojrzał na niego i bez słowa zapalił papierosa. Niebo zaczynało z wolna różowieć. Zbliżał się świt.

Dźwięk pracującego silnika przywrócił ją do przytomności. Odruchowo chciała usiąść – i niewiele brakowało, by to zrobiła – gdy nagle usłyszała męskie głosy:

– Coś ci powiem, kolego: gdyby to wojskowy tak spieprzył sprawę, dostałby miesiąc ciupy.

– To fakt, jak człowiek trafi do armii, wszyscy go mają na oku. Ale kiedy sam zaczyna wydawać rozkazy...

– Właśnie, stary. Gdzie służyłeś?

– Pod Dunkierką. A ty?

Samochód wjechał na drogę; żwir zachrząścił pod kołami i Katarina ostrożnie schyliła głowę. Kulila się na tylnym siedzeniu wolessleya, żałując, że nie ma jakiegoś koca czy brezentowej płachty – czegokolwiek, czym mogłaby się przykryć. Musiała zadowolić się tym, że za przednimi fotelami zalegał głęboki cień.

Żeby tak jeszcze przez pięć minut żaden z nich się nie obejrzał. Pięć minut. Kiedy oddalą się od latarni i pozostałych agentów, będzie mogła ich spokojnie zabić. Potem wróci na plażę – i może jeszcze zdąży.

Nagle zdała sobie sprawę, że jeśli będą stawiać opór, prawdopodobnie sobie z nimi nie poradzi. Działanie amfetaminy ustało, pozostał tylko potężny kac: obrazy rozmazywały się przed oczami, miała dreszcze, serce biło jej niespokojnie, nierówno; była głodna jak wilk i wyczerpana jak nigdy dotąd.

Całe szczęście, że pocisk w jej barku przestał się przemieszczać. Przynajmniej na razie. Bogu niech będą dzięki za Jego drobne łaski.

Zamknęła oczy, usłpiona monotonnym szumem silnika. Żołnierze na przednich siedzeniach rozmawiali – mieli łagodne, kojące i takie młode głosy...

Za późno, pomyślała. Za późno na *treff*.

Co jej w takim razie pozostało?

Zostać w samochodzie. Przespać się. Jeżeli dojadą do Londynu i nie zorientują się, że mieli pasażera na gapę, w odpowiedniej chwili wyśliznie się z auta, przez nikogo nie zauważona. A potem zaszyje się gdzieś, odzyska siły i znajdzie statek, którym odpłynie z Anglii.

Dokądkolwiek, byle dalej stąd.

Gorąca łza spłynęła jej z kącika oka; otarła ją odruchowo.

A co z jej rodakami? Jak się będzie czuła, jeśli Amerykanie zbudują bombę i zrzucą ją na Niemcy? A wszystko dlatego, że ona teraz zrezygnuje, że zachowa się jak tchórz.

Czy jednak poczuje się lepiej, dostarczając bombę Hitlerowi, który sprowadzi *Götterdämmerung* na świat?

Pionowa zmarszczka przecięła jej czoło. Dręczyły ją sprzeczne myśli. Ostatnio coraz częściej zdawała sobie sprawę, że już od dawna ma w głowie mętlik. Jak miała rozróżnić co jest dobre, a co złe?

To zdrada, pomyślała.

Przejmij wóz, wróć do latarni i staw się na spotkanie.

Za późno. Oczy same jej się zamykały.

Odpuść sobie. Odpocznij. Spij.

TO ZDRADA!, krzyczał jej umysł. ZDRADA! ZBUDŹ SIĘ!

Była taka zmęczona...

Czy jeśli teraz się podda, będzie mogła jeszcze kiedyś spojrzeć na siebie w lustrze?

Czy będzie mogła normalnie spać?

Na razie zasnęła.

Rozdział 19

Downing Street 10, Londyn

Winston Churchill stał na tarasie domu przy Downing Street 10 i – z pędzlem w ręce – krytycznym spojrzeniem taksował znajdujący się na sztalugach obraz.

Na twarzy premiera malował się utrwalony – chyba już na stałe – wyraz troski, do którego to krytyczne spojrzenie świetnie pasowało. Patrząc na niego, łatwo było sobie wyobrazić krnąbrnego uczniaka, którym niegdyś był, jeden z nauczycieli opisał go jako „wieczne utrapienie dla całego szkolnego personelu”.

Kendall, który wychował się na londyńskim East Endzie i jako dzieciak poznał życie od różnych stron, wciąż nie mógł uwierzyć, że znajduje się twarzą w twarz z premierem – a właściwie, że zaraz znajdzie się twarzą w twarz z premierem. Wraz z Andrew Taylorem i majorem Robertsonem wychodził właśnie z sali gabinetowej do małego ogródka. Jak jeden mąż wszyscy trzej podnieśli dłonie, żeby osłonić oczy przed słońcem.

– Nie przerywajcie mi, kiedy maluje – szepnął ostrzegawczo Taylor i przez dziesięć minut stali i patrzyli, jak Churchill dodaje do przeciętnego w gruncie rzeczy krajobrazu błękitną od śniegu górę. Jeden ze służących uprzątnął w tym czasie niedokończony lunch, dolał premierowi szampana i na stoliku pod parasolem położył świeże cygaro.

Kendall przyłapał się na spostrzeżeniu, że Churchill sprawia wrażenie człowieka wypoczywającego na wakacjach, a nie wodza narodu, biorącego udział w rozpaczliwej walce z agresorem, który okupuje pół Europy. Zaraz jednak uświadomił sobie, że nie powinien się dziwić: Churchill słynął z tego, że nawet najpoważniejsze sprawy załatwiał w łóżku, w kąpieli, przy obiedzie.

Premier tymczasem odłożył pędzel, odwrócił się i lekko skłonił gościom.

– Wybaczcie, panowie, góra nie mogła czekać. Proszę siadać. Szampana?

Usiedli wokół zacienionego stolika, każdy z kieliszkiem w dłoni. Kendall był potwornie zdenerwowany, chyba bardziej, niż kiedykolwiek mu się to zdarzyło; Taylor wyglądał na spokojnego, choć na jego twarzy widać było zmęczenie, major Robertson zaś, dowódca operacji „Podwójny agent”, miał znudzoną minę.

– Piękny dziś dzień – rzekł Churchill, zapalając cygaro. – Mam nadzieję, że przynosicie dobre wieści, panowie. W taki dzień nie powinno się wysłuchiwać złych wiadomości.

Major Robertson się uśmiechnął. Powiódł palcem po krawędzi kieliszka.

– Obawiam się, że wśród tych dobrych jest też jedna zła, panie premierze. Przynajmniej na pierwszy rzut oka, bo rzeczywistość może się okazać bardziej złożona.

– Tak to już bywa w naszych czasach – westchnął Churchill. – Wszystko niepotrzebnie komplikujemy. W ciągu mojego życia zmieniły się dwie rzeczy: ludzie nie studiują już dzieł klasyków i nie jeżdżą konno; czasy są chyba zbyt złożone na takie proste rozrywki. Moim zdaniem wiele przez to tracimy.

Kendall uświadomił sobie, że nie powinien się tak beczelnie gapić na Churchilla, choć coś urzekło go nieodparcie w jego sposobie mówienia. Nie potrafił oderwać od niego wzroku.

– Trudno – rzekł premier. – Panie majorze?

– Jeśli pan pozwoli, panie premierze, sprawę zreferuje pan Taylor. Brał w niej udział od samego początku.

– Naturalnie. Panie Taylor?

Taylor odchrząknął, położył wyjętą z kieszeni paczkę papierosów na stole i wziął do ręki kieliszek. Zaraz jednak odstawił go i potarł zmęczone oczy.

– Przepraszam, panie premierze, ale ostatnio mało sypiam.

– Ja również, panie Taylor. Niech pan nie oczekuje ode mnie współczucia.

– No dobrze. – Taylor jeszcze raz odchrząknął i zaczął mówić:

– Sytuacja wygląda następująco: przed kilkoma miesiącami trafiła się nam w „Podwójnym agencie” niezwykła gratka. Wpadł nam w ręce niemiecki szpieg nazwiskiem Schroeder. Został zrzucony na spadochronie w rejonie Canterbury z zadaniem przeniknięcia w okolice Whitehall. Miał znaleźć sobie pracę w pubie, a potem wyłowić z tłumu gości jakiegoś niezadowolonego z życia oficera wywiadu, który dostarczyłby wujkowi Adolfowi ciekawych informacji na temat inwazji.

– Pamiętam, że coś już o tym słyszałem – przyznał Churchill.

– To prawda, panie premierze; sam składałem panu wstępny raport w tej sprawie. Ale żeby nie przedłużać, o ile to w ogóle możliwe... Skończyło się na tym, że zaprosiłem do gry mojego starego kumpla. Wszyscy wiedzieli, że sympatyzuje raczej z Chamberlainem, co czyniło zeń idealnego kandydata do naszych celów: nadawał się na zdrajcę. Wiedziałem jednak, że stracił żonę, kiedy Niemcy wkroczyli do Polski, wydawało mi się więc, że wyzbył się wszelkiej sympatii dla nich. Zgodził się zagrać rolę rozczarowanego patrioty i, jeśli będzie to możliwe, przeniknąć w szeregi Abwehry.

Taylor wytrząsnął z paczki papierosa i go zapalił.

– W tym samym czasie pochłonęła nas, czyli MI-5, sprawa Katariny Heinrich.

Churchill bez słowa skinął głową i pociągnął łyk szampana.

– Heinrich się nam wymknęła i właściwie wydawało się, że jest dla nas stracona, dopóki ten właśnie człowiek, Winterbotham, nie podsunął mi ciekawego pomysłu: zasugerował, że jeżeli uda się umówić go na spotkanie z Abwehrą, Heinrich prawdopodobnie otrzyma instrukcje, by udać się w to samo miejsce.

– Rozumiem.

– Zgodziłem się i poinformowałem go, że jego misja zostaje tymczasowo zawieszona, panie premierze. Musieliśmy najpierw zatrzymać tę kobietę.

– Mhm.

– On jednak postanowił wyprowadzić nas w pole: nie zdradził nam prawdziwego miejsca spotkania.

Churchill zamknął oczy, uciszył Taylora gestem i zastygł w takiej pozie na blisko minutę, a potem otworzył oczy i wydmuchnął kłęb dymu.

– Czy jego żona żyje? – zapytał.

– Tak. Podejrzewamy, że w zamian za jej uwolnienie będzie gotów sprzedać Niemcom pewne informacje.

– Jakie? Co mógłby im powiedzieć?

– Nic na temat inwazji, panie premierze, ale niestety zna szczegóły operacji „Podwójny agent”. Musiałem go z nimi zapoznać.

Churchill odął wargi.

– A co z tą Heinrich?

– Naszym zdaniem w ogóle nie dotarła na miejsce spotkania. Jeśli jednak się mylimy, znaczyłoby to, że ponownie się nam wymknęła.

– Przepraszam pana, panie Taylor, ale chyba zupełnie umknęła mi ta dobra wiadomość, którą mieliście mi panowie przekazać.

– Za pozwoleniem... – wtrącił się Robertson. – To jeszcze nie wszystko.

– Proszę zatem niczego nie taić, majorze. Robertson spojrzał na Kendalla.

– Mów, synu – zachęcił go.

Kendall wyprężył się jak struna, gdy spoczęło na nim spojrzenie Churchilla. Czuł, że się rumieni, ale zmusił się do mówienia – udało mu się nawet nie jękać:

– Jestem ostatnim człowiekiem, który widział profesora Winterbothama, zanim odpłynął do Niemiec, panie premierze. Próbowałem zatrzymać go na plaży, dzięki czemu zarobiłem tę paskudną bliznę na nosie...

– Powiedz po prostu, co się stało – skarcił go Robertson.

– Tak jest, majorze. Otóż po tym, jak uderzył mnie pistoletem w twarz, nachylił się nade mną i powiedział, że zamierza wypełnić swoją misję, to znaczy zdobyć zaufanie ludzi z Abwehry. Przepraszam, że wystawił nas do wiatru, ale uznał, że to konieczne.

Taylor prychnął lekceważąco.

– Mówił też, że jeśli Niemcy nie będą zadowoleni z jego informacji i nie pozwolą mu wrócić do Anglii, spróbuje uciec. Kilkakrotnie powtórzył mi współrzędne pewnego punktu na Bałtyku, tak że dobrze je zapamiętałem. Mówił, że czwartego sierpnia o piątej rano powinniśmy tam wysłać hydroplan, jeżeli chcemy się dowiedzieć, jak mu poszło.

– Wprowadził w błąd przełożonych, ryzykował, że Niemcy przejmą sekret broni atomowej, nie wykonał rozkazu, a teraz chce, żeby go stamtąd zabrać?

– Na to wygląda, panie premierze.

Churchill pokręcił głową.

– Panie Taylor, czy pańskim zdaniem człowiek ten stanowi zagrożenie dla operacji „Podwójny agent”?

– Nie lubi Niemców, panie premierze, jeśli taki był sens pańskiego pytania, ale dla uwolnienia żony robi, co mu każą.

– Panie majorze?

– Dopuszczył się zdrady stanu, panie premierze. Bez dwóch zdań.

Churchill wstał.

– Dziękuję, panowie. Czas na kąpiel. Proszę informować mnie na bieżąco o rozwoju wydarzeń. Tymczasem przygotujcie, panowie, hydroplan i wyślijcie go czwartego sierpnia w umówione miejsce. Rozumiem, że nadal prowadzicie poszukiwania tej kobiety?

– Ależ naturalnie, panie premierze.

– O ich przebiegu też mnie informujcie.

– Za pozwoleniem... – wtrącił Taylor. – Jeśli idzie o Winterbothama, panie premierze, to jest jeszcze jedna możliwość.

– To znaczy?

– Możemy ograniczyć ryzyko szkód dla „Podwójnego agenta”, jeżeli poinformujemy Niemców, że Winterbotham dalej dla nas pracuje. Wtedy będą musieli bezzwłocznie go zlikwidować.

– Jak przekazać im tę informację?

– Podszywając się pod tę Heinrich i wysyłając im przez radio ostrzeżenie. Przez ostatnie dziesięć lat wysłała im osobiście tylko jeden meldunek. W dodatku jej nauczyciel, jedyny człowiek, który mógłby rozpoznać jej styl nadawania Morseem, zginął na Flamborough Head. Moglibyśmy nadać, że spotkała Winterbothama przy okazji *treffu* i odkryła, że jest podwójnym agentem, udało jej się jednak uciec i teraz wysłała ostrzeżenie. Niemcy powinni się nabrać.

– Rozstrzelają go – stwierdził Churchill. – I nigdy sienie dowiemy, co mógłby nam powiedzieć na temat Abwehry.

– Ale przynajmniej nie zdradzi sekretu operacji, panie premierze. Tak byłoby najbezpieczniej. Churchill się zamyślił.

– Dobrze, panie Taylor. Proszę uprzedzić Niemców.

Premier odwrócił się i wrócił do sali gabinetowej. Trzej mężczyźni odprowadzili go wzrokiem.

Rozdział 20

Poczdám Lipiec 1943

Wjeżdżali do Poczdamu, leżącego kilkanaście kilometrów na południowy wschód od Berlina.

Dochodziła dziesiąta wieczorem, ale słońce jeszcze nie zaszło i w jego blasku Winterbotham mógł podziwiać panoramę sennego miasteczka: majestatyczne domy z cegły, wysadzone drzewami aleje, bujne ogrody, lazurkowe wody jeziora Griebnitz, wyzierające czasem spoza zabudowań.

Poczdám najwyraźniej nie ucierpiał wskutek wojny, Winterbotham nie zauważył ani jednego śladu wybuchu bomby, ale zaraz przypomniał sobie, że pewnie właśnie dlatego go tu przywieźli. Rozsądnym wydawało się założenie, iż reszta kraju jest w nieco gorszym stanie, lecz i tak spokojna, sielankowa okolica napawała go... niepokojem.

Znudzony wyglądaniem przez okno przeniósł wzrok na siedzącego obok niego młodego Niemca. Nazywał się Beck i z ledwie widocznym uśmiechem obserwował mijane domy. Mógł mieć dwadzieścia kilka lat i przedstawiał sobą ideał aryjskiej urody – tak perfekcyjny, że Rudolf Schroeder wyglądałby przy nim całkiem zwyczajnie. Beck miał mocno zarysowaną szczękę, ostre jak brzytwa kości policzkowe, krótkie blond włosy i lodowate, błękitne oczy. Był dobrze zbudowany, muskularny, szeroki w barach i szczupły w talii. Po angielsku mówił bez śladu obcego akcentu.

– *Herr Beck* – odezwał się Winterbotham.

Uśmiechnięty Beck odwrócił się od okna.

– Nie chcę wyjść na niewdzięcznika... Doceniam, ile wysiłku kosztowało was zorganizowanie tego spotkania, ale chciałbym jak najszybciej zobaczyć żonę.

– Niech mi pan wierzy, profesorze, zobaczy ją pan, gdy tylko znajdzie się w Poczdámie.

– A gdzie jest teraz?

– Już tu jedzie. Za pozwoleniem, profesorze... Ośmielę się zwrócić pańską uwagę na pałac, który właśnie widać po lewej.

Olbrzymie gmaszysko łączyło w sobie bez ładu i składu elementy kilku stylów architektonicznych: zdobione stiukami ściany, kamienne portale, orientalne kominy, fasadę w stylu Tudorów... Rozległy, wypielęgnowany trawnik opadał aż do jeziora.

Samochód wjechał na podjazd.

– Oto pałac Cecilienhof, profesorze. Znajduje się w nim sto siedemdziesiąt sześć pokoi. Zbudowano go w 1917 roku, tuż przed zakończeniem pierwszej wojny światowej. Mam nadzieję, że jego historia pana interesuje? Wiem, że ma pan solidne wykształcenie.

Winterbotham milczał.

– Jako naszemu gościowi oddamy panu do dyspozycji jedną ze wspinających sypialni Cecilienhof,

rozmowy będziemy zaś prowadzić w głównej sali konferencyjnej. Nasze dowództwo naczelne naprawdę wysoko pana ceni, profesorze, skoro oddają panu do dyspozycji tak wspaniały pałac. Z początku będzie się pan spotykał tylko ze mną, chociaż nie wykluczam, że i inni goście będą panem zainteresowani – może admirał Canaris, może nawet sam *Führer*. W każdym razie podczas pobytu w Niemczech Cecilienhof będzie pańskim domem.

– Jak pan sądzi, ile ten pobyt potrwa?

Beck się roześmiał.

– Wszystko zależy od tego, ile ma pan do powiedzenia, ale z pewnością nie krócej niż tydzień.

Nie dłużej zaś niż dwa czy trzy tygodnie. Tak w każdym razie sądzę.

– A potem zostaniemy wraz z żoną odesłani do Anglii?

– O szczegółach będziemy jeszcze musieli porozmawiać. Powrót do Anglii może przysporzyć problemów... Bardziej chyba panu niż nam, profesorze. Może więc na jakiś czas udacie się państwo do jakiegoś bardziej neutralnego kraju?

– W każdym razie wyjedziemy stąd – stwierdził Winterbotham.

– Naturalnie, jest pan naszym gościem i może pan wyjechać, kiedy tylko zechce.

Samochód zajechał pod portyk.

– Przygotowano dla nas przekąski – oznajmił Beck. – Wiem, że jest późno, profesorze, ale jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym rozpocząć naszą dyskusję już dzisiaj.

Siedzieli przy okrągłym dębowym stole w sali konferencyjnej. Okna wychodzące na trawnik były pootwierane i z odległości blisko kilometra dobiegał cichy szum wód jeziora. Ogromny, dyskretnie oświetlony pokój miał ściany wyłożone ciemnym drewnem, a wokół stołu stały cztery ogromne, ozdobne fotele, z podpórkami pod ręce rzeźbionymi w kształt lwich głów.

Było kilka minut po północy, gdy Beck zapalił cienkiego, długiego papierosa, przytknął pióro do papieru i spojrzał wyczekująco na Winterbothama.

– Od czego zaczniemy?

O świcie zjawily się komary. Przyleciały znad jeziora, spasioe i bezczelne, kiedy Winterbotham i Beck wstawali właśnie od stołu. Winterbotham dopił swoją brandy. Beck zabił komara, który ukąsił go w szyję; zerknął przelotnie na rozgnieczonego owada i wytarł rękę o spodnie.

– To była pracowita noc – stwierdził. – Czas odpocząć. Te komary... Sam pan rozumie, profesorze, jedyny sposób, żeby się ich pozbyć, to pozamykać okna, ale wtedy w pokoju robi się duszno. Może po południu wrócimy do naszej rozmowy.

– Czy moja żona przybędzie dziś do Poczdamu? – zainteresował się Winterbotham.

Beck uśmiechnął się blado w odpowiedzi.

– Może wieczorem, jeśli nie, to zapewne jutro.

Zaprowadził gościa do sypialni – dużego, przestronnego pokoju z oknami sięgającymi od podłogi do sufitu, wychodzącymi na jezioro. Winterbotham wyjrzał przez nie, ale nigdzie nie dostrzegł strażników. Zerknął ciekawie na stojącą nieopodal łóżka dobrze zaopatrzoną biblioteczkę, a potem przeszedł się kilka razy po pokoju i znów zatrzymał przy oknie. Właśnie wzeszło słońce.

– Życzy pan sobie jeszcze czegoś, profesorze? – zapytał Beck. – Podać panu śniadanie? Jeszcze jedną brandy?

Winterbotham pokręcił głową.

– Nie, dziękuję. Położę się spać.

– Miło mi było pana poznać, profesorze. Niecierpliwie czekam na chwilę, gdy znów razem

zasiądziemy do pracy.

Młody Niemiec wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Winterbotham odprowadził go spojrzeniem, a potem westchnął ciężko. Ciągłe uniki potrafią być męczące, pomyślał. Przez osiem godzin bez przerwy starał się nie odpowiadać na pytania Becka.

Opadł ciężko na ozdobione kolumnkami i baldachimem łóżko. Oślepiające słońce wlewało się do pokoju przez wysokie okna. Zamierzał wstać i zaciągnąć zasłony, ale uznał, że może z tym jeszcze chwilę poczekać. Przymknął oczy. Przed drugą turą przesłuchania – o ile taką zabawę w konwersację można w ogóle nazwać przesłuchaniem – zamierzał wziąć kąpiel, ogolić się i poprosić o świeże ubranie na zmianę. A może nie, może to byłby błąd? Każde udogodnienie, na jakie się godził, stawiało go coraz bardziej w pozycji dłużnika Niemców. Może powinien poczekać, aż sami zaproponują mu kąpiel i tak dalej...

– Przepraszam, profesorze – odezwał się Beck. – Jedna sprawa wymaga chyba dodatkowych wyjaśnień.

Winterbotham otworzył oczy: jakimś cudem Beck zakradł się bezszelestnie do jego pokoju i teraz siedział na krześle przy łóżku, wertując notes.

– Powiedział pan, że Anglicy wiedzą, iż używamy trybębnowej maszyny szyfrującej, prawda? Tak pan mówił. Twierdzi pan jednak zdecydowanie, że nie złamali naszych szyfrów. I tu właśnie mam wątpliwości, jak to możliwe, że RAF nie dał się zwabić na południe, do Alder Tag, skoro meldunków nie rozszyfrowano?

Winterbotham przetarł oczy.

– Przestaliście bombardować nabrzeża.

– Ach tak... Spodziewaliście się więc inwazji.

– Zgadza się.

– I przewidzieliście, że spróbujemy wyciągnąć samoloty na południe.

– Właśnie.

– Bardzo panu dziękuję. – Beck się uśmiechnął. – Teraz będę mógł spokojnie zasnąć. Dobranoc, profesorze.

Wstał, uklonił się i wyszedł. Winterbotham przyłożył głowę do poduszki.

Minęło pięć minut. Właśnie zaczynał zasypiać, gdy do pokoju wparował uśmiechnięty Beck w świeżym mundurze. Sprawiał wrażenie całkowicie wypoczętego.

– Profesorze! – zawołał rażno. – Jak się panu spało?

Winterbotham podniósł się i oparł na łokciu. Chciał powiedzieć Beckowi, że wcale mu się nie spało, ale zrezygnował – przecież Beck i tak o tym wiedział.

– Doskonale, dziękuję – odparł.

– Czuje się pan na siłach, żeby kontynuować naszą rozmowę?

– Naturalnie.

Winterbotham potarł zaspane oczy, wstał i uśmiechnął się cynicznie.

– Mógłby pan powtórzyć? – poprosił Beck. Winterbotham westchnął.

– Tablica połączeń. Położenia początkowe. Kolejność bębnow.

– Dziękuję. Proszę mówić dalej.

Winterbotham mówił dalej, Beck zaś tym razem milczał przez blisko dwadzieścia minut. Słońce chyliło się ku zachodowi; komary zrobiły się senne i leniwe.

– Chyba na dziś wystarczy – oznajmił Beck, jak zwykle uśmiechnięty. – Może przejdziemy się

trochę przed kolacją, profesorze? Odrobina ruchu dobrze nam zrobi.

– Jeśli ma pan ochotę...

Poszli na spacer wokół jeziora. Winterbotham złapał się na tym, że nie może oderwać wzroku od paskudnych glonów unoszących się na powierzchni wody, zmęczone oczy potrzebowały wytchnienia. Śledził nonsensowny taniec komarów, nartników i ważek. Beck milczał.

– Wiadomo coś o mojej żonie? – zapytał po dziesięciu minutach Winterbotham.

– Owszem, owszem... Nastąpiło pewne opóźnienie, ale jest bezpieczna.

– Kiedy spodziewacie się jej przybycia?

– Trudno powiedzieć. Jutro, może pojutrze.

– Musi pan bardzo kochać żonę – odezwał się Beck, gdy przeszli jeszcze kawałek. – Długo jesteście państwo małżeństwem?

– Długo.

– Jak się poznaliście, profesorze? Jeśli mogę o to zapytać... Była pańską studentką?

– Nie. Kiedyś, dawno temu, przyjaźniłem się z jej bratem.

– Rozumiem. Już sienie przyjaźnicie?

– Zmarł.

– Przykro mi.

Beck zapalił papierosa i poczęstował Winterbothama, który jednak odmówił i zaczął nabijać fajkę.

– Wygląda pan na trzeźwo myślącego człowieka – stwierdził Beck. – Szkoda, że nie wszyscy Anglicy są równie rozsądni. Niemcy nie pragną wojny z Anglią; chcą tylko odzyskać to, co im się należy. Poza tym, ryzykując stwierdzenie na granicy cynizmu, dodam, że mamy wspólnego wroga. Powinniśmy się sprzymierzyć. Czy to cynizm? Czy może raczej pragmatyzm?

– Doceniam mądrość pańskich słów, *Herr Beck*.

Beck zerknął na Winterbothama.

– Rzeczywiście, wierzę panu. I wierzę, że znalazł się pan tutaj, gdyż kieruje się pan wyższą moralnością, profesorze, niż większość pańskich rodaków. Zna pan wartość pokoju.

Winterbotham zapalił fajkę i ugryzł się w język.

– Wracajmy do Cecilienhof – zaproponował Beck. – Solidnie przespana noc dobrze zrobi nam obu.

Tym razem Winterbotham zdążył zasnąć, zanim po niego przyszli.

Wprowadzono go do innego pokoju, mniejszego niż ten, w którym spotykał się z Beckiem. Przywitał go nowy oficer, *Herr Dietrich*. Beck widocznie musiał się wypaść, pomyślał z goryczą Winterbotham.

Dietrich wypytywał go o *rzeczy*, o których Winterbotham nie miał zielonego pojęcia. Domyślał się, że to standardowa technika stosowana podczas przesłuchań. Po kilku godzinach rozmowy z Dietrichem, który zamęczał go pytaniami o taktykę lotniczą, kontrofensywę Rosjan, rozmieszczenie artylerii przeciwlotniczej i inne kompletnie obce mu szczegóły, powinien

(przynajmniej teoretycznie) niecierpliwie czekać na pytanie, na które będzie znał odpowiedź. Wtedy Dietrich zmieni temat i wróci do szyfrów i inwazji, a on, Winterbotham, mało się nie posika z chęci zadowolenia go poprawną odpowiedzią.

– W kadłubach naszych samolotów w Afryce często odkrywamy prawie trzycentymetrowe dziury – mówił właśnie Dietrich. – Ale zawsze jest tylko jedna. Dlaczego?

Winterbotham pokręcił głową.

– Nie wiem.

– Jaka broń wyrywa w pancerzu naszych maszyn te trzycentymetrowe otwory?

– Nie wiem.

– Według naszych informacji działka wbudowane w skrzydła waszych hurricane'ów nie są zaopatrzone w automatyczny mechanizm przeładowujący. Czy to prawda?

– Nie wiem.

– Jakie radio montujecie na pokładzie piper'a cuba?

– Nie wiem.

– Przypuszczamy, że jest to model SCR 600. Mam rację?

– Nie wiem.

– Zdaję sobie sprawę, że nie jest pan specjalistą w tej dziedzinie – rzekł w końcu Dietrich – ale wydaje mi się, że każdy wojskowy, który zwraca choć trochę uwagi na to, co się wokół niego dzieje, powinien coś wiedzieć na ten temat.

Winterbotham wzruszył ramionami.

– Może jestem nie dość uważny.

– Istotnie – zgodził się Dietrich. – W takim razie może coś łatwiejszego?

Winterbotham zapalił fajkę. Milczał.

– O, mam tu coś, w czym na pewno mi pan pomoże, profesorze. Wydawałoby się, że przeniesienie sprawdzonej w bojach dywizji z basenu Morza Śródziemnego do Anglii oznacza, iż szykujecie się do inwazji na Francję. Tymczasem powiedział pan *Herr* Beckowi, że to tylko zabezpieczenie na wypadek desantu z naszej strony. Mówił pan jednak również, że ostatnio obawy przed inwazją Niemiec spadły w Anglii niemal do zera. Te stwierdzenia chyba są sprzeczne, profesorze.

– Czyżby?

– Tak.

– Ja tylko mówię, co wiem. Sami musicie poukładać części układanki.

Pulsująca żyłka na skroni Dietricha zarysowała się wyraźniej.

– Rozumiem – powiedział Niemiec. – Wróćmy jeszcze do tych trzycentymetrowych dziur w kadłubach...

Tej nocy dali mu pospać dwie godziny.

Następnego dnia przesłuchiwali go od wschodu do zachodu słońca.

W końcu Beck przeciągnął się, nie wstając z krzesła.

– To był długi dzień – stwierdził. – Prawda, profesorze?

Winterbotham wyglądał przez okno sali konferencyjnej, podziwiając odbicie zachodzącego słońca w tafli jeziora. Złapał się na tym, że ma ochotę przytakiwać Beckowi. Tak, chciał powiedzieć, cieszę się, że pan to rozumie, bo istotnie mieliśmy bardzo długi dzień, ale się powstrzymał.

– I męczący – naciskał Beck. – Mam rację?

Winterbotham skinął krótko głową.

– Jest pan głodny, profesorze? Przejdźmy do jadalni, a potem, wcześniej niż zwykle, udamy się na spoczynek. Jutro też jest dzień.

– *Herr* Beck, jeśli można...

– Słucham, profesorze?

– Na początku powiedział pan, że aby uniknąć komarów, będziemy spotykać się tylko nocami.

– Tak mówiłem? – zdziwił się Beck, wstając.

– Owszem. Tymczasem teraz pracujemy na okrągło. Można by pomyśleć, że próbuje mnie pan zdezorientować.

Beck uśmiechnął się, zbierając papiery ze stołu.

– Bez przerwy zmieniamy rytm dnia – ciągnął Winterbotham. – Mówi pan jedno, robi drugie. Pozbawiacie mnie snu...

– Pozbawiamy pana snu!

– Jedzenia jest zawsze albo za dużo, albo za mało; nie mogę się wykapać ani przebrać; nie pozwolono mi do tej pory spotkać się z żoną...

– Jestem panu winien przeprosiny, profesorze. Chyba rzeczywiście praca za bardzo nas pochłoneła, skoro nabrał pan takich podejrzeń. Ma pan kłopoty ze zdrowiem.

– Przyznam, że pańskie niezdarne łgarstwa mnie męczą, *Herr Beck*. Proszę mi powiedzieć: czy będę mógł zobaczyć się z żoną, czy nie?

– Profesorze, po kolacji zrobi pan sobie kąpiel, dostanie pan brzytwę, świeże ubranie, co tylko pan sobie zażyczy. Niech mi pan powie szczerze, na co ma ochotę.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie, *Herr Beck*.

– Mogę tylko powtórzyć to, co już mówiłem o okolicznościach i opóźnieniach...

– Jak pan sądzi, kiedy ją tu przywiozą?

– Jutro – odparł Beck. – Najdalej pojutrze.

Beck odprowadził Winterbothama do sypialni, życzył mu oschle dobrej nocy, a potem wrócił na dół i wyszedł przed pałac.

Zapalił papierosa, czekając na przybycie admirała Canarisa. Skończył jednego papierosa, zerknął na zegarek i zapalił następnego. Właśnie miał odrzucić niedopałek, gdy na podjeździe pojawił się służbowy mercedes. Z wnętrza gmachu wynurzył się strażnik z pistoletem maszynowym i stanął dyskretnie w rogu ganku.

Admirał Wilhelm Canaris wysiadł z wozu, nie czekając, aż kierowca otworzy mu drzwi. Miał na sobie brązowy, gruby, raczej jesienny płaszcz, a pod nim czarny garnitur. Kiedy wysiadał, Beck przez mgnienie oka ujrzał psa leżącego przy tylnej kanapie. Był brązowo-czarny – tak jak strój admirała – i tęsknie wodził oczami za swoim panem.

Beck zasalutował.

– Witamy w Cecilienhof, panie admirale. To dla nas zaszczyt gościć pana tutaj.

Canaris spojrział na niego z nieskrywanym niesmakiem.

– Seppl jest głodny – powiedział.

– Każę kucharzowi przygotować befsztyk, panie admirale. Życzy pan sobie udać się do swojego pokoju?

– Naturalnie – odparł Canaris i zagwizdał. Pies wyskoczył z samochodu i stanął przy nim.

Weszli do pałacu. Beck prowadził, Canaris szedł z psem nieco z tyłu.

– Jak idzie przesłuchanie? – zapytał admirał, odkorkowując fiolkę z pigułkami.

– Obawiam się, że nie najlepiej, panie admirale.

– To znaczy?

– Winterbotham nie mówi prawie nic, czego byśmy już nie wiedzieli.

– Uważa pan, że nie przekazuje nam wszystkich informacji?

– Z całą pewnością, panie admirale.

Canaris włożył sobie dwie pastylki do ust i przełknął je bez popijania. Zamknął fiolkę i schował ją do kieszeni.

– W takim razie trzeba wywrzeć nacisk na pana profesora.

– Niestety, jest chyba nieźle zaznajomiony z naszymi standardowymi metodami śledczymi, panie admirale. Dziś wieczorem był tak uprzejmy, że mi je po kolei wymienił.

– *Führer* osobiście interesuje się tą sprawą i niecierpliwie czeka na informacje o inwazji. Im prędzej mu je dostarczymy, tym lepiej.

– Rozumiem to, panie admirale. Oczekuję tylko pańskiej decyzji.

– Czy jego żona tu jest?

– Tak, panie admirale.

– Może się okazać, że będziemy zmuszeni jej użyć wcześniej, niż planowaliśmy. Miałem nadzieję zachować ją w odwodzie, jako ostatnią deskę ratunku, ale w najbliższych dniach musimy przedstawić *Führerowi* jakieś konkretne odpowiedzi.

– Nadal uważam, że konwencjonalne metody mogą jeszcze okazać się skuteczne, panie admirale, ale ponieważ on zna ich mechanizm, potrwa to dłużej niż zwykle.

– A czasu mamy mało. Do tej pory zachowywaliście pozory uprzejmości, czy tak, *Herr Beck*?

– Tak jest, panie admirale.

– I mimo to jest pan pewien, że ten człowiek nie powiedział wszystkiego, co wie?

– Absolutnie pewien, panie admirale.

– Zastanowię się nad tym i rano poinformuję pana o swojej decyzji.

Za oknem rozległ się warkot silnika. Beck nadstawił ucha, a potem odwrócił się – w samą porę, by ujrzeć, jak pod portyk zajeżdża motocykl. Trzasnęły otwierane i zamykane drzwi i w korytarzu rozległ się tupot ciężkich, wojskowych butów.

– Panie admirale! – zawołał zdyszany posłaniec.

Stanąwszy przed nimi zsalutował i z podręcznej torby wyjął kopertę. Canaris wziął ją bez słowa i zaczął otwierać, gdy z Beckiem ruszyli w głąb korytarza. Ze środka wyjął pojedynczą kartkę papieru.

– Nasza agentka przysłała nam z Anglii ostrzeżenie – rzekł po chwili. – Profesor Winterbotham pracuje dla Brytyjczyków.

Beck pokiwał głową.

– Zaleca natychmiastową egzekucję – dodał Canaris.

– Wcale mnie to nie dziwi, panie admirale. On naprawdę nie przejawia zbytnej woli współpracy.

– Szkoda. *Führer* bardzo liczył na to, że czegoś się od niego dowiemy.

– Niewykluczone, że ten człowiek będzie jeszcze dla nas użyteczny, panie admirale. Skoro i tak mamy go zlikwidować, możemy swobodniej sobie z nim poczynać podczas przesłuchania. Proszę dać mi pozwolenie na użycie moich własnych metod, a gwarantuję panu, admirale, że wyciągnę z niego wszystko, co wie... I to w wyznaczonym przez pana terminie.

– Lubi pan swoją pracę – stwierdził Canaris. – Prawda, *Herr Beck*?

– Owszem, panie admirale.

– Jestem pewien, że w swojej dziedzinie jest pan specjalistą, ale tego człowieka nie da się złamać bólem. Gdyby to było takie proste, Anglicy by go nam nie przysłali.

– Co w takim razie pan proponuje, admirale?

Canaris zerknął na trzymany w ręku list i westchnął ciężko.

– Żonę, oczywiście. Proponuję użyć jego żony.

Rozdział 21

Gierłoża

Znajdujący się w ponurym, zalesionym zakątku Prus Wschodnich Wilczy Szaniec nie wyglądał zachęcająco: potrójny pierścień pól minowych, bunkrów i podłączonego do prądu ogrodzenia z drutu kolczastego otaczał skupisko szarobrunatnych, zbrojonych budowli. W lipcowy wieczór niebo i las miały tu podobny odcień szarości.

Reichsleiter Heinrich Himmler przejechał między zaporami, przebył trzy posterunki i wysiadł z samochodu. Wartownik sprowadził go po wilgotnych, betonowych schodach do wzmocnionych stalowymi belkami drzwi podziemnego bunkra. Himmler oddał przy wejściu broń i wszedł do środka.

– *Mein Führer* – powiedział. – *Heil* Hitler!

Adolf Hitler podniósł głowę znad mapy rozłożonej na czarnym, marmurowym stole. Wyprostował się i dał Himmlerowi znak, żeby podszedł bliżej.

– Przyjacielu – rzekł. – Wejdz. Mam nowe wieści.

Himmler wybrał sobie krzesło u szczytu stołu, blisko Hitlera, i obaj usiedli. *Führer* wyglądał na zmęczonego: cerę miał bladą, jakby przezroczystą i zabarwioną dziwnym odcieniem żółci. Wzrok miał mętny, a pod na wpół przymkniętymi oczami rysowały mu się ciemne worki.

Uśmiechnął się z wysiłkiem.

– II Duce ustąpił – oznajmił. – Badoglio, nasz najbardziej zawzięty wróg, przejął władzę.

Himmler wytrzeszczył oczy.

– Nie mogę w to uwierzyć...

– Nie?

– To niemożliwe.

– Sam w to nie mogłem uwierzyć, ale to prawda.

Siedzieli długą chwilę w milczeniu; Himmler miał czas, żeby przetrwać tę wiadomość. Mussolini musiał ustąpić, zatem Włochy niebawem połączą siły z aliantami. Pod względem militarnym przymierze to będzie, rzecz jasna, bez znaczenia; jeśli Włosi – tchórze i nieudacznicy – będą tak samo pomagać aliantom, jak pomagali Niemcom, nie ma powodów do zmartwień. Był to jednak poważny cios polityczny i psychologiczny. Skoro Włosi stracili cierpliwość do faszyzmu, skoro powstali, obalili przywódcę i zażądali zakończenia wojny, kto mógł mieć pewność, że Niemcy nie postąpią podobnie? Czy nie była to w istocie zapowiedź upadku Trzeciej Rzeszy, rozpadu od wewnątrz państwa, które przeżywało właśnie oblężenie przez wrogów zewnętrznych?

Hitlerowi najwidoczniej podobne myśli chodziły po głowie, bo bez słowa wpatrywał się

w czarny blat stołu. W końcu poruszył się i powiedział:

– Nie jest jeszcze tak źle, jakby się mogło wydawać.

– Na pewno nie – przytaknął ochoczo Himmler, czekając na wyjaśnienia.

– Jutro wyślę kuriera z rozkazami do dowódcy trzeciej dywizji pancernej. Każę mu uderzyć na Rzym i aresztować rząd. W ten sposób utorujemy drogę do kolejnego przewrotu. Jeszcze nie straciliśmy Włoch.

Himmler pokiwał głową.

– Musimy wzmocnić obsadę przełęczy w Alpach – ciągnął Hitler. – Nie można pozwolić, żeby alianci uderzyli na nas od południa.

– Naturalnie, *mein Führer*.

– Nie wolno nam uchylać się od obowiązków – dodał nieco piskliwym głosem Hitler. – Nie teraz. Tego zadania nie możemy zostawić następnym pokoleniom. Historia nas wzywa, przyjacielu; musimy przyjąć jej wyzwanie.

– Zwycięzimy! – rzekł Himmler.

Jednak w głębi duszy wcale nie był tego taki pewien. Jeszcze tak niedawno, przed kilkunastoma zaledwie miesiącami, Niemcy zdawały się być na najlepszej drodze do podbicia całego świata. Europa padła przed nimi na kolana, broniąca się resztkami sił Anglia była o krok od kapitulacji, a Rosjanie nie spodziewali się ciosu w plecy. A teraz wszystko się zmieniło. Klęska pod Stalingradem zatrzymała trwający trzy lata triumfalny pochód wojsk niemieckich, które, mimo usilnych starań, nie potrafiły odzyskać inicjatywy na froncie wschodnim. Na początku lipca pięćset tysięcy ludzi i siedemnaście dywizji pancernych przeprowadziło ostatnią, desperacką, ale nieskuteczną ofensywę.

Hitler, który właśnie przecierał oczy, wyglądał tak, jakby dźwigał na barkach całe brzemie swoich militarnych klęsk.

– Z innych stron też dochodzą złe wieści – mówił dalej. – Agentka V.1353, którą pańska organizacja tak wysoko ceni, nie stawiała się na *treff*, a angielski zdrajca w Cecilienhof okazał się znacznie mniej przydamy, niż sądziliśmy. Zresztą prawie na pewno jest podwójnym agentem Brytyjczyków.

– Czy to Canaris prowadzi śledztwo?

– Tak. Między innymi dlatego pana tu dziś wezwałem, *Herr Reichsleiter*. Niejaki Hagen, reprezentujący w tej sprawie SS, poległ na posterunku, jak słyszałem?

– Niestety tak. Był wiernym żołnierzem Rzeszy.

– Nie sądzę, żeby nasz drogi admirał załatwił tę sprawę w pojedynkę.

– Wydaje mi się wysoce prawdopodobne, *mein Führer*, że już wkrótce zbiorę dowody, które pozwolą nam odwołać admirała ze stanowiska. Moi ludzie pracują nad tym bez wytchnienia.

Hitler skinął głową.

– Nie mam teraz czasu, żeby zajmować się Canaristem; jestem bardziej potrzebny gdzie indziej. Inwazja jest nieunikniona, ale my ją odeprzemy. Zepchniemy aliantów do morza.

– Nie wątpię w to, *mein Führer*.

– Ciekawe, co na to powiedzą Włosi? Czy wtedy też się od nas odsuną? Nie sądzę! Ciekaw też jestem, co powie Canaris, kiedy się przekona, że jednak zwyciężamy?

– Nie będzie w stanie wykrztusić ani słowa – odparł Himmler.

– A kiedy już zepchniemy ich z plaż, zaatakujemy, *Herr Reichsleiter*. Zadamy im ciosy, jakich nie

zna historia. Uderzymy na nich bez litości, nie będziemy bawić się w takie cywilizowane metody jak inwazja, o nie! Zgładzimy ich, nie ruszając się z Niemiec! Będziemy mieli rakiety i bomby, w których rozszczepiają się atomy! Jesteśmy o włos, dosłownie o włos, *Herr Reichsleiter*, od opanowania tych technologii! Wygramy! Wyrwiemy zwycięstwo z samej paszczy porażki!

– To będzie wspaniała chwila.

– Dlatego czekam na inwazję – stwierdził Hitler i zerwał się od stołu z takim impetem, że przewrócił krzesło. – Ucieszę się z niej. Ale musimy wiedzieć, gdzie nastąpi. Musimy wiedzieć kiedy. Trzeba zmusić zdrajcę do mówienia.

– Rozumiem.

– Ma pan osobiście udać się do Cecilienhof, *Herr Reichsleiter*, i przejąć śledztwo. Admirał nie ma dość odwagi i nie jest nam wystarczająco oddany, by przeprowadzić taką operację.

– Tak jest, *mein Führer*.

– O wszystkim, czego się pan dowie, *Herr Reichsleiter*, proszę meldować bezpośrednio mnie.

– Tak jest, *mein Führer*.

– Wierzę, przyjacielu, że doprowadzi pan tę sprawę do zadowalającego zakończenia. Przyszłość całych Niemiec spoczywa teraz w pańskich rękach.

– Nie zawiodę pańskiego zaufania, *mein Führer*.

Poczdam

Winterbotham zdziwił się, że sławny Wilhelm Canaris – szef Abwehry, jeden z najwyższych rangą hitlerowskich oficerów, wróg numer jeden Taylora i jego przełożonych, czuwających nad „Podwójnym agentem” – ma zaledwie metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, siwiejące, przeredzone włosy, bladą twarz i przygarbione plecy. Ciemny, urzędowy garnitur podkreślał wątlność ramion. Oczy, które kiedyś były zapewne przenikliwe, teraz przysłaniała mgielka zdradzająca uzależnienie od leków, alkoholu, albo jednego i drugiego. W dodatku admirał śmierdział psem. I to mocno.

Beck jednak zerwał się na jego widok na równe nogi i zaszalutował z niezwykłą energią.

– Panie admirale! – wykrzyknął. – *Heil Hitler!*

Przez ułamek sekundy Canaris sprawiał wrażenie zaskoczonego, potem jednak skinął głową i dał Beckowi znak, żeby usiadł. W ślad za nim do pokoju weszli dwaj uzbrojeni strażnicy; jeden z nich od razu zabił komara, który ukłuł go w kark.

Siedzący obok Becka Winterbotham uniósł się lekko z krzesła na widok admirała, ale zaraz opadł na nie z powrotem, nie czekając na pozwolenie.

– Profesor Winterbotham – powiedział Canaris. Mówił po angielsku całkiem nieźle, jednak nie tak perfekcyjnie jak Beck. – To dla mnie zaszczyt, móc pana poznać.

Winterbotham milczał.

Admirał zmarszczył brwi, podszedł do stołu i sztywno usiadł. Z kieszeni na piersi wyjął okulary, przetaił szkła rękawem marynarki i je założył.

– Z pewnością niepokoi się pan, profesorze, że do tej pory nie spotkał się pan z żoną – rzekł. – Rozumiem pana, teraz zaś z przyjemnością mogę poinformować, iż pańska żona jest już w Cecilienhof.

– Tutaj?

– Właśnie dziś przyjechała.

– Chcę się z nią natychmiast widzieć.

– Tego się właśnie spodziewałem. Tak...

Beck podał Canarisowi cienką teczkę. Admirał odruchowo sięgnął do kieszeni, zanim zorientował się, że okulary są już na swoim miejscu, po czym zaczął kartkować papiery. Coraz wyżej unosił brwi ze zdumienia.

– Hmm... – mruknął. – Tak, tak... Hmm.

Winterbotham czekał bez słowa.

– Wydaje mi się, że nie jest pan z nami całkowicie szczery, profesorze – stwierdził Canaris, zamykając teczkę.

– Wprost przeciwnie: byłem absolutnie szczery.

– Ja bym tego nie powiedział. Nie okłamał nas pan, ale i nie powiedział całej prawdy. To się chyba nazywa grzech zaniedbania, czyż nie?

– Powiedziałem wszystko, co wiem; wywiązałem się z umowy, a teraz żądam, by pozwolono mi zobaczyć się z żoną.

– Zobaczy pan żonę, gdy tylko przekonam się, że jest pan z nami naprawdę szczery, profesorze.

Canaris zdjął okulary, przetarł je i ponownie założył.

– To przez tę wilgoć w powietrzu – wyjaśnił.

Beck chciał coś powiedzieć, ale admirał uciszył go szybkim podniesieniem dłoni.

– Pozwoli pan, że przynajmniej ja będę z panem szczery, profesorze – powiedział. – Dobrze?

Winterbotham skinął głową.

– Nie jestem uczonym, ale może uda mi się... Jeżeli tylko się skoncentruję... – W tym miejscu Canaris dał prawdziwy pokaz koncentracji. – „Naucz się, jak nie być dobrym” – zaczął cytować. – „Naucz się, jak tę wiedzę wykorzystywać i jak nie robić z niej użytku, zależnie od okoliczności. Dobrze jest sprawiać wrażenie człowieka litościwego, lojalnego, szczerego, religijnego; dobrze jest takim człowiekiem być, ale musisz też umieć z tego zrezygnować, kiedy zajdzie taka potrzeba. Musisz posiadać także cechy przeciwne”.

– To Machiavelli – stwierdził Winterbotham.

– Zgadza się, Machiavelli.

– Do czego pan zmierza?

– Do czego zmierzam... Otóż posiadam także cechy przeciwne i kiedy zajdzie potrzeba, mogę przestać być człowiekiem dobrym. – Canaris wstał. – Dziś nie spotka się pan z żoną – zdecydował.

– Jeżeli zaś nadal będzie pan odmawiał odpowiedzi na pytania, profesorze, zobaczy ją pan, ale natychmiast pan tego pożałuje. Czy wyrażam się jasno?

Winterbotham zmroził go spojrzeniem.

– Grozi mi pan, panie admirale? Powinienem był się domyślić, że do tego dojdzie.

– Sam pan będzie temu winien, profesorze.

– Amerykanie mają rację: jesteście zwykłymi gangsterami, cała wasza banda.

– Niech pan rozważy swoją sytuację, profesorze. Może pan z nami współpracować i wyjechać stąd bezpiecznie z żoną; może pan też upierać się przy swoim, a wtedy jej krew obciąży pańskie sumienie. Ideały są bez wartości, jeżeli człowiek nie ma niczego oprócz nich.

– To nie ideały powstrzymują mnie od mówienia, admirale. Gdyby jednak tak było, odpowiedziałbym panu następująco: „Nie wszystek prochem jestem. W pieśni, bezpieczny od robactwa, duch mój przetrwa”.

Canaris zmarszczył brwi.

– Baudelaire? – zapytał. Winterbotham pokręcił głową.

– Coleridge?

– Obawiam się, że nie.

– Kto w takim razie?

– Proszę samemu sprawdzić, o ile *Herr* Goebbels nie spalił jeszcze tej książki.

Canaris przyglądał mu się jeszcze chwilę, oblizując nerwowo wargi, a potem zrobił w tył zwrot i wraz ze strażnikami opuścił pokój.

Znalazłszy się w korytarzu, uśmiechnął się pod nosem.

Stało się dokładnie tak, jak na to liczył: ten człowiek nie był zdrajcą, lecz lojalnym obywatelem angielskim... Będą mu ufać.

Próbował przybrać poważny wyraz twarzy, idąc krok w krok za maszerującymi sztywno żołnierzami. Ludzie Himmlera byli już wszędzie. Ich pierścień się zaciskał. Może nawet w tej chwili go obserwowali; kto wie, czy i Becka nie przekabacili. Nie warto było tak głupio zdradzić się przed gestapo.

Ale i tak przez długą chwilę nie umiał przegnać z twarzy uporczywego uśmiechu.

Rozdział 22

Poczdam Sierpień 1943

Nasłuchując przy drzwiach pokoju, Winterbotham mógł się tylko zastanawiać, czy Kendall przekazał jego wiadomość.

Z zastanawiania się nic wprawdzie nie wynikało, ale nie mógł się opędzić od tej myśli. Przecież jeżeli Kendallowi sienie udało, jego wysiłki były skazane na niepowodzenie. Nawet gdyby wydostał się z pokoju, znalazł Ruth, uciekł z nią z Cecilienhof, zdobył jakiś środek transportu, dotarł nad morze, ukradł łódź i trafił w umówione miejsce. Choćby nawet dokonał tego przed czwartym sierpnia, który to dzień, jak się domyślał, zbliżał się wielkimi krokami (dokładnej daty ani godziny nie znał; nie ufał ani zegarowi, który miał w sypialni, ani własnemu poczuciu czasu), nie miałyby to żadnego znaczenia, jeżeli Kendall nie przekonał kogo trzeba w Ministerstwie Wojny, żeby wysłali po niego hydroplan.

Do jego uszu doleciał ledwie słyszalny szmer. Winterbotham przesunął się i przytknął ucho do drzwi w innym miejscu.

W Cecilienhof nie było wartowników – w każdym razie Niemcy chcieli, by tak właśnie myślał. W rzeczywistości udało mu się rozróżnić trzy rodzaje uzbrojonej straży. Służba – pokojówki, kucharze, portierzy i lokaje – nie rozstawiała się z bronią podczas wykonywania codziennych obowiązków. Oprócz nich w mrocznych kątach czaili się tajemniczy mężczyźni z pistoletami maszynowymi – widywał ich tu i ówdzie, choć starali się zachować dyskrecję. Domyślał się, że to jeden z nich znajduje się gdzieś nieopodal – służący dawno poszli przecież spać.

Albo któryś z esesmanów, którzy dopiero ostatnio zaczęli się pojawiać w Cecilienhof, zupełnie jakby stary dom, udręczony latem i upałem, wydzielał ich niczym żywicę. Odziani w czerń strażnicy z SS nie próbowali nawet ukrywać swej obecności: zajmowali pozycje na skrzyżowaniach korytarzy, patrolowali okolice jeziora, spotykało się ich przy wejściu do jadalni, w sali konferencyjnej, w głównej sali na parterze, wszędzie. Służbę i dyskretnych wartowników z bronią maszynową traktowali z taką samą niechęcią, jak samego Winterbothama.

Najwidoczniej ktoś tu nie ufał Canarisowi i bez skrupułów wkraczał na jego terytorium. Winterbotham obawiał się, że niedługo ów tajemniczy „ktoś” się ujawni, a wówczas znikną nawet te wątpliwe pozory uprzejmości, które do tej pory dawały mu poczucie bezpieczeństwa.

Na tym jednak jego zmartwienia wcale się nie kończyły: zdawał sobie sprawę, że jeśli zbyt długo będzie odwlekał ucieczkę, Canaris może się posunąć o krok dalej i zrealizować swoje groźby wobec Ruth.

Przełknął ślinę, czując w ustach kwaśny smak strachu.

To szaleństwo, pomyślał.

Modlił się w duchu, żeby Kendallowi się udało.

Drzwi do sypialni nie były zamknięte na klucz.

Przekonał się o tym już w trzecim dniu pobytu w Cecilienhof. Zaraz po dokonaniu tego odkrycia spędził równą godzinę, przeszukując pokój: nie znalazł jednak żadnego otworu w ścianie, przez który mogliby go podglądać. Może robili to bardzo dyskretnie, a może – co wydawało mu się bardziej prawdopodobne – zakładali, że świadomość własnego beznadziejnego położenia i bezradności powstrzyma go od nierozsądnych kroków.

Na dobrą sprawę mieli rację; nikt, kto miał choć odrobinę oleju w głowie, nie próbowałby zrobić tego, do czego Winterbotham właśnie się przymierzał. Owszem, mógł wyjść z pokoju, ale przecież zostałby zatrzymany zaraz za drzwiami. Albo niewiele dalej.

Jeszcze przez pięć minut nasłuchiwał, a potem ostrożnie uchylił drzwi i wysliznął się na korytarz. Gruby, wart fortunę dywan idealnie tłumił odgłos kroków. Snop księżycowego blasku rozświetlał korytarz, padając na porcelanowe popiersie. Winterbotham oparł się plecami o ścianę, wstrzymał oddech i wyminął smugę światła i figurę z porcelany.

Zrobił dziesięć kroków i zatrzymał się, nastawiając uszu.

Szmer wiatru, szum jeziora.

Ruszył dalej.

Po pięciu minutach ostrożnego skradania się znalazł się przy głównych schodach. Zamierzał po nich zejść na parter, przedostać się do zachodniego skrzydła i tam znaleźć pokój, przed którego drzwiami wystawiono strażę. Założenie, że Ruth będzie pilnowana, wydawało mu się całkiem sensowne: na pewno mogła próbować ucieczki, w przeciwieństwie do niego, który przynajmniej teoretycznie zdawał sobie sprawę, że może opuścić Cecilienhof wyłącznie z łaski gospodarzy.

Plan ten – jeśli można go w ogóle tak nazwać – był dalece niedoskonały. Co robi, jeżeli nie napotka żadnych strażników? I nie znajdzie Ruth? A kiedy się na nich natknie, to jak ich unieszkodliwi? Nie miał broni i z całą pewnością nie mógł sobie pozwolić na niepotrzebny hałas. Może Ruth w ogóle nie było w pałacu, może go oszukali. W drodze do zachodniego skrzydła musiał przeciąć rozległe foyer, gdzie szanse na to, że zostanie zauważony, gwałtownie...

Na Boga, przestańże wreszcie myśleć! Rusz się!

Zrobił kilka kroków ku schodom i przystanął.

Usłyszał szmer butów na dywanie.

Wziął głęboki wdech, starając się zapanować nad nerwami, i zaczął się cofać. Mijał kolejne drzwi, rozważając, czy wystarczy ukryć się w mroku korytarza. Musiał szybko podjąć decyzję: mógł wrócić do sypialni i czekać, aż wartownik przejdzie pod drzwiami – w ten sposób przyznałby się jednak do klęski, bo przecież nie miał szans na znalezienie Ruth, jeśli będzie uciekał przed każdym strażnikiem. Nie pozostawało mu nic innego, jak przycupnąć we wnęce i liczyć na to, że wartownik nie spojrzy w jego stronę – gdyby to zrobił, Winterbotham byłby zgubiony.

Miał jeszcze jedno wyjście: otworzyć któreś z mijanych drzwi, wśliznąć się do pokoju i przeczekać.

Modląc się, żeby lokator się nie obudził.

Kroki rozbrzmiewały coraz bliżej. Winterbotham nacisnął klamkę.

Drzwi były otwarte.

Otworzył je i bezszelestnie wszedł do pokoju.

Z tej strony księżyc nie zaglądał w okna.

Winterbotham stał nieruchomo jak słup soli, próbując zorientować się w sytuacji. W łóżku z baldachimem leżała jedna osoba, przykryta prześcieradłem od stóp do głów, mimo nieznośnego upału i wilgoci. Słyszał jej chrapliwy oddech, lecz próbował go zignorować, przytykając ucho do drzwi. Udało mu się: usłyszał ten sam szmer, co poprzednio – szelest podeszew na dywanie. Odczekał, aż dźwięk ucichnie.

Wiedział, że ma mało czasu: doszedłszy do końca korytarza, strażnik zawróci i znów przejdzie pod drzwiami.

Odliczył do pięciu, wstrzymał oddech i otworzył drzwi. Wszedł na korytarz.

Szybkim krokiem przeszedł na półpiętro, z którego rozciągał się widok na foyer. Tu dopiero zatrzymał się i spokojnie rozejrzał. Schody biegły w dół wduńczonym łukiem, schodziły do poziomu marmurowej posadzki, a potem łączyły się z innymi, prowadzącymi w górę – na zachód – wśród rokokowych kolumnienek, skrzydlatych amorków, ślimacznic i pieczołowicie odtworzonych rycerskich tarcz z herbami. Sączące się przez wysokie, łukowate okna światło księżyca wyławiało z mroku barokowe płaskorzeźby na suficie, wymyślne posągi i ozdoby z holenderskiej ceramiki.

Winterbotham musiał zatem zejść na dół, przeciąć pustą salę – cały czas na widoku – i wejść na schody prowadzące do zachodniego skrzydła.

Zaczął schodzić.

Na dole zawahał się przez ułamek sekundy, a potem wszedł na marmurowe płyty podłogi. Spocił się ze strachu. Co go mogło czekać, gdyby został złapany? Nic gorszego, niż los, który i tak był mu przeznaczony.

Przeszedł po orientalnym kobiercu, po błękitnych fajansowych płytkach i znalazł się na drugich schodach.

Coraz bliżej Ruth.

Ruszył na górę.

Na samym szczycie stał wartownik, esesman: Winterbothamowi mignęły złowrogo czubki jego lśniących, czarnych oficerów, ale tylko chwycił się poręczy i szedł wolno dalej. Jaką miał szansę, że strażnik go nie zauważy?

Wszedł na ostatni stopień.

Esesman znajdował się dosłownie o centymetry od niego, za załomem ściany. Winterbotham wyciągnął po niego rękę.

Jedną dłoń zacisnął mu na ustach, drugą złapał go za gardło, delikatnie przyciągnął do siebie i przegiął w tył na kolanie. Próbował pchnąć, pociągnąć, przycisnąć, za wszelką cenę musiał złamać mu kark albo...

Ale esesman walczył, dyszał ciężko, ze świstem wydychał powietrze przez nos. Winterbotham jedną ręką zakrył mu usta wraz z nosem.

Niemiec się nie poddawał.

Winterbotham nie ustępował.

Strażnik wierzgnął nogą – raz, drugi; za drugim razem trafił Winterbothama w piszczel. Zabolalo. Wbił mu łokieć w brzuch, ale Winterbotham spokojnie przyjął cios.

Opór Niemca słabł.

Winterbotham trzymał go mocno.

Kiedy było po wszystkim, ułożył go ostrożnie na ostatnim stopniu schodów.

Wyrzwał z za rogu w głąb korytarza.

Na samym końcu jeden strażnik właśnie zapalał papierosa. Wydmuchnął dym przez nozdrza.

Przy drzwiach w połowie korytarza stało dwóch następnych.

Serce waliło mu niczym młot kowalski.

Tam jest Ruth, pomyślał.

Schylił się i przeszukał leżącego na ziemi esesmana – znalazł pistolet, odbezpieczył go i wynurzył się z za rogu. Szedł szybko, trzymając broń w opuszczonej ręce, nieco z tyłu.

Jeden ze strażników odwrócił się w jego stronę.

– *Worist...*

Winterbotham strzelił do niego. Strażnik upadł.

Wycelował w drugiego z wartowników.

Zastrzelił go.

Strzelił do trzeciego, ale tamten zdołał uskoczyć i zniknąć za załomem korytarza.

Trzema krokami pokonał dystans dzielący go od drzwi. Kopnął w nie, mierząc tuż poniżej klamki: poleciały drzazgi. Kopnął jeszcze raz i drzwi wyleciały z futryny.

Wszedł do pokoju.

Wartownik, który tu na niego czekał, trafił go w udo. Winterbotham strzelił, w ciemności spudłował, strzelił ponownie – roztrzaskał szybę w oknie – a potem wyciągnął przed siebie rękę, złapał Niemca za głowę i uderzył nią o ścianę.

Z korytarza dobiegł go jakiś hałas.

Winterbotham odwrócił się, wycelował w ścianę metr od drzwi i dwa razy pociągnął za spust. Przez ułamek sekundy nic się nie działo, a potem zabrzmiał głuchy odgłos, kiedy ciało upadło na podłogę.

Odwrócił się i wypuścił z ręki pusty już pistolet.

Postrzelili mnie, pomyślał. W nogę.

W rogu pokoju, na łóżku, skulona, roztrzęciona...

– Ruth?

– Mój Boże! – zaszlochała. – Harry? Podszedł do niej.

Była taka wychudzona, tak okropnie chuda, że mógł bez trudu policzyć jej żebra, kręgosłup przypominał w dotyku obleczone materiałem guziczki. Ścisnął ją z całej siły, wiedział, że robi jej krzywdę, ale nie mógł się powstrzymać. Przycisnęła się do niego, wtulając mu głowę pod brodę, szlochała, nie mogąc naprawdę zapłakać, jakby jej oczy całkiem wyschły, wbijała mu paznokcie w plecy...

Ruth. Ruth.

Ujął ją pod brodę i uniósł jej twarz ku swojej.

Pocałował ją.

Płakał i całował ją. Była tak zaszuszona, tak chuda, tak kanciasta, zagłodzona – ale wreszcie udało się jej zapłakać. Ruth. Trzymał ją w ramionach.

– Mój Boże – powtórzyła. – O mój Boże, Harry, mój...

Pocałował ją.

Rozdzieliły ich czyjeś silne ręce.

Z początku Winterbotham próbował nie zwracać na nie uwagi, ale kiedy jedna trafiła go w skroń, a druga zacisnęła mu się na gardle, osunął się na ziemię.

Usłyszał metaliczny szcęk i kątem oka dostrzegł odbłask światła: ktoś przystawił mu pistolet do głowy. Mignął wypolerowany do połysku wojskowy but; trafił go w żebra, łamiąc je.

Otoczyło go kilku mężczyzn: kopali go, dysząc ciężko. Za każdym razem, kiedy próbował wstać, spadał na niego grad ciosów.

Złamali mu ząb. Wypluł go wraz z krwią. Ktoś zaśmiał się chrapliwie. Coś uderzyło go z tyłu w głowę i stracił przytomność. Kiedy ją odzyskał, leżał skulony na boku starając się nie oddychać – oddychanie za bardzo bolało.

Znów ktoś go kopnął – tym razem podkuty but trafił go w nerki. Ból przeszył go jak błyskawica.

– Wystarczy – usłyszał.

Wzięli go pod pachy i postawili na nogi. Zamrugnął odruchowo, ale wciąż nic nie widział. Podtrzymywany przez dwóch ludzi z SS znalazł się w dużej sali. Ktoś włączył światło.

Czekał tu na niego niski, odziany w błyszczącą czerń człowieczek. Heinrich Himmler z pogardą przyglądał się Winterbothamowi.

– Zabierzcie go na dół – polecił. – Żonę też.

Winterbotham próbował się na niego rzucić, ale przytrzymały go cztery stalowe dłonie.

Powlekli go korytarzem; próbował iść o własnych siłach, ale nie był w stanie utrzymać się na nogach. Miał wrażenie, że śni. Rozejrzawszy się na boki rozpoznał z lewej strony Becka, który wyglądał jakoś mniej elegancko niż zwykle: włosy miał w nieładzie, a z kącika szlachetnie zarysowanych ust sączyła się krew.

Odwrócił głowę – powoli, jakby znajdował się pod wodą – i rozpoznał także mężczyznę po prawej: Dietrich, ten sam, który wypytywał go o hurricane’y i pipery. Na mundurze miał dwie krwawe plamy, układające się w kształt średnika.

Doszli do schodów. W całym pałacu światła płonęły oślepiająco. Dwaj stojący na górze esesmani wyprężyli się i zaszalutowali.

– *Sieg Heil!*

– *Sieg Heil!*

Dietrich i Beck zaczęli ściągać Winterbothama po schodach. Jęknął boleśnie: złamane żebro dawało mu się we znaki, podobnie jak tkwiąca w udzie pistoletowa kula. Schody się skończyły. Dietrich ruszył w stronę wyjścia,

Beck zaś zamierzał zagłębić się w mroczny korytarz. Przez moment omal nie rozerwali Winterbothama.

– Tędy! – powiedział Beck. – *Herr Reichsleiter* kazał sprowadzić go na dół.

– Idziemy na dwór – zaproponował Dietrich. – Przenosimy go.

– Co ty, głuchy jesteś? *Herr Reichsleiter*...

Dietrich puścił Winterbothama, wyjął z kabury lugera i wycelował go Beckowi w twarz. I strzelił.

Przy portyku czekał mercedes.

Dietrich, nie patyczkując się z Winterbothamem, wepchnął go pospiesznie na tylne siedzenie i pomógł mu ułożyć nogi na tylnej kanapie. Wyprostował się, obejrzał przez ramię i uderzył pięścią w okno.

– Jedź! – krzyknął.

Kiedy samochód ruszył, Winterbotham kątem oka dostrzegł dwóch esesmanów w czarnych mundurach, którzy właśnie wybiegli z pałacu. Dietrich stanął im na drodze.

– Profesorze – powiedział ktoś.

Zdumiony Winterbotham oderwał wzrok od Cecilienhof i rozejrzał się po wnętrzu wozu, szukając źródła głosu. Mercedes oddalił się jednak od pałacu, otuliła go noc i w środku nie było nic widać.

Z piskiem opon wyjechali na główną drogę. Kierowca dodał gazu.

– Profesorze.

Głos dobiegał z przedniego fotela pasażera. Jakiś mężczyzna wykręcał się do tyłu, żeby spojrzeć na Winterbothama. Canaris.

– Słyszysz mnie pan? – zapytał.

Winterbotham skinął głową.

– Zaraz wsadzimy pana do samolotu. Przed wschodem słońca będzie pan w Anglii.

– Moja... żona.

– Będzie na lotnisku, domyślałem się, że bez niej nie zechce pan opuścić Poczdamu. Proszę mnie teraz uważnie wysłuchać...

– Jadą za nami – przerwał admirałowi kierowca.

Winterbotham wyjrzał przez tylne okno i dostrzegł dwa odległe punkciki światła. Samochód? Czy raczej dwa motocykle? Jedno światełko zgasło.

– Czas Hitlera dobiega końca – mówił Canaris. – Usuniemy go, jeżeli premier zgodzi się na nasze warunki. Słucha mnie pan, profesorze?

– Tak... tak.

– Jesteśmy gotowi go usunąć w zamian za natychmiastowe zawieszenie broni i zaprzestanie alianckich bombardowań, co jednak nie oznacza naszej bezwarunkowej kapitulacji. Wycofamy się z zachodniej Europy, na wschodzie zaś będziemy walczyć ramię w ramię z wami. Utrzymamy linię frontu od ujścia Dunaju przez Karpaty, wzdłuż Wisły, aż po Kłajpedę. Rozumie mnie pan?

– Tak.

– Zanim jednak podejmiemy dalsze działania, musimy mieć osobistą gwarancję Churchilla, że nasze żądania zostaną spełnione. Proszę mu przekazać, że opór wobec Hitlera jest w wojsku silny: popierają mnie Rommel, Beck, Goerdeler, Lauschner. Wojna nie wybuchła z winy Niemiec, lecz z winy samego Hitlera. A Hitler to nie Niemcy. I proszę pamiętać, że mamy wspólnego wroga: bolszewików.

Winterbotham patrzył przez okno: drugie światełko zniknęło.

– Jeżeli Churchill się zgodzi, musi nam dać znać przed dziesiątym sierpnia – ciągnął admirał. – Sygnałem będzie dowolna piosenka, puszczona przez BBC dwa razy z rzędu o północy któregośkolwiek dnia przed dziesiątym. Jeżeli takiego sygnału nie będzie, uznamy, że nasza propozycja została odrzucona. Czy to jasne?

– Tak.

– Sporo ryzykujemy, by przekazać tę wiadomość Churchillowi, profesorze. Jeżeli sienie zgodzi, nie dajemy żadnej gwarancji, że w przyszłości negocjacje będą w ogóle możliwe. Wojna się przeciągnie, wielu ludzi straci życie. Po obu stronach. Musi mu pan to wyraźnie...

– Postaram się.

– Niech go pan przekona.

Przy wjeździe na lotnisko Winterbotham ujrzał w ostrym świetle reflektorów kilka ciał leżących na skraju pasa startowego. Stało przy nich trzech żołnierzy z pistoletami maszynowymi. Maleńki focke-wulf czekał z włączonym silnikiem.

Winterbotham wysiadł ostrożnie z auta, korzystając z pomocy Canarisa.

– Może pan wejść na pokład – powiedział admirał.

– Zaczekam na żonę.

Spojrzeli sobie w oczy.

Gdzieś w oddali rozległ się przytłumiony wybuch. Canaris wyjął z fiolki dwie pigułki i wrzucił je do ust.

Czekali.

Czy to warkot silnika samochodu? Nie, to tylko wiatr wśród drzew. Winterbotham z wysiłkiem przełknął ślinę i oparł się o kadłub samolotu. Kręciło mu się w głowie.

– Może im się nie udać – zastrzegł się Canaris. – Błagam, profesorze, niech pan wsiada.

Winterbotham pokręcił głową.

Pomruk się wzmaczał – drogą nadjeżdżał jakiś samochód, kompletnie niewidoczny w mrokach nocy. Uzbrojeni żołnierze unieśli czujnie broń.

Drugi mercedes wjechał na teren lotniska, przetoczył się w poprzek pasa startowego i zatrzymał. Winterbotham odepchnął się od focke-wulfa i stanął o własnych siłach.

Kiedy Ruth wysiadła, wyciągnął do niej rękę.

Wziął ją w ramiona.

– Pospieszcie się, na miłość boską! – mruknął Canaris.

Winterbotham z żoną, ramię w ramię, weszli po trapie.

Rozdział 23

Ministerstwo Wojny, Whitehall Sierpień 1943

Taylor znów rozmawiał przez telefon, kiedy Winterbotham zajrzał do jego gabinetu.

– Właśnie przyszedł – powiedział do słuchawki i wskazał Winterbothamowi krzesło przy biurku.

– Nie, panie premierze, będę musiał oddzwonić. Tak, panie premierze. – Taylor podniósł wzrok na Winterbothama, który mimo zaproszenia nie usiadł. – Tak – powtórzył. – Tak, panie premierze. Oczywiście. Dziękuję, panie premierze.

Odłożył słuchawkę i spojrzał wymownie na swojego gościa.

Winterbotham usiadł, starając się oszczędzać zranioną nogę.

Przez otwarte na oścież okno dolatywał śmiech bawiących się w parku dzieci. Winterbotham nabił fajkę, zapalił ją i patrzył, jak smuga dymu wypływa z pokoju na dwór.

– Słuchałeś może wczoraj radia? – zagadnął Taylor. – Koło północy?

– Istotnie – przyznał Winterbotham, przenosząc na niego wzrok. – Tak się składa, że słuchałem.

– Puścili *Chattanooga Choo-Choo* dwa razy z rzędu.

– Zauważyłem.

– To jedna z moich ulubionych piosenek.

Taylor wyjął z szuflady teczkę i podał ją Winterbothamowi. Ten wziął ją do ręki i otworzył. Ze środka wypadł list adresowany do premiera Winstona Churchilla, w którym Andrew Taylor zalecał ułaskawienie profesora Harrisa Winterbothama. Z listu wynikało, iż rezygnując z prawa ukarania profesora, Anglia udowodni, że docenia jego zasługi w penetracji Abwehry, niemieckiej organizacji wywiadowczej.

Winterbotham zamknął teczkę.

– Churchill już się zgodził – dodał Taylor. – Jesteś czysty, Harry.

– Na to wygląda.

– Nie podziękujesz mi?

Winterbotham zaciągnął się fajkowym dymem.

– Dlaczego?

– Bo uratowałem ci...

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Ponieważ, chcąc nie chcąc, przysłużyłeś się krajowi, staruszk. Zobaczymy teraz, czy admirał dotrzyma umowy. Poza tym, gdyby wszystko poszło po naszej myśli i pozbyliby się Hitlera, a ktoś kiedyś odkryłby, że powiesiliśmy agenta, który umożliwił nam współpracę... Cóż, sam sobie wyobrażasz ten smród.

Winterbotham milczał.

– Poza tym w ten sposób wyrównałem rachunki.

– Jakie rachunki?

– Kiedy byłeś już w Poczdamie, wysłaliśmy Niemcom informację, że jesteś podwójnym agentem... – Taylor zawiesił głos. – I zaleciliśmy twoją natychmiastową likwidację.

Winterbotham odął usta.

– Wszystko po to, żeby nie narażać „Podwójnego agenta”, sam rozumiesz.

– Jasne.

– Nie wiedzieliśmy, czy zamierzasz...

– Rozumiem, Andrew.

– No to jesteście kwita. Taylor zapalił papierosa.

– I to tyle? – zapytał Winterbotham.

– Zakładając, że opowiedziałeś nam wszystko o wizycie na tyłach wroga...

– Wszystko.

– Jak się miewa Ruth? Winterbotham się zawahał.

– Żyje – odparł po chwili.

– Coś jeszcze?

– Cieszy się, że wróciła do domu.

– To naturalne.

– Ale nie chce o tym mówić, chyba nawet nie chce myśleć. Udaje, że nigdy tam nie była.

– To mi się podoba. – Taylor pokiwał głową. – Udawać, że nic sienie stało.

– Podoba ci się?

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy, Harry. Ty masz Ruth, ja – informacje o gestapo i Abwehrze, Churchill – Canarisa. Śmiem również twierdzić, że Katarina Heinrich prawdopodobnie nie przekazała posiadanych informacji do Berlina.

– Skąd to przekonanie?

– Gdyby próbowała nadać wszystko przez radio, przechwycilibyśmy transmisję: materiału jest za dużo, żeby szybko się z tym uwinąć. Gdyby zaś chciała napisać list... No cóż, cenzura już wie, czego szukać...

– A jeśli pojedzie do Niemiec osobiście?

Taylor uśmiechnął się krzywo.

– Dwa dni temu na Jermyn Street zamordowano młodą kobietę, niejaką Jane Moore. Miała tak zmasakrowaną twarz, że matka zidentyfikowała zwłoki tylko po charakterystycznym pieprzyku...

– Co to ma do rzeczy?

– Otóż najciekawsze jest to, że dwa tygodnie wcześniej niejaka Jane Moore wykupiła bilet na „Europie”, płynącej do Stanów. I wczoraj zeszła na ląd w Nowym Jorku.

– W Nowym Jorku? Taylor pokiwał głową.

– Po co miałyby wracać do Ameryki?

– Mieliśmy nadzieję, że może ty pomożesz nam rozwikłać tę tajemnicę. Widziałeś ją przecież na własne oczy.

– Nie mam pojęcia.

– Może znów postanowiła wycofać się z gry, tak jak dziesięć lat temu. Chce zniknąć, ukryć się, prowadzić normalne życie.

– Nie mam pojęcia, Andrew.

Winterbotham wstał. Taylor również zerwał się z krzesła i podał mu rękę.

– Zapomnijmy o tym, co było, Harry – powiedział. – Co ty na to? Winterbotham przez chwilę w zadumie patrzył na wyciągniętą do zgody dłoń Taylora. Uścisnął ją z wahaniem.

– Przypieczętujemy to jakoś, co? – zapalił się Taylor. – Spotkajmy się wieczorem w Savoyu: zagramy w szachy, wypijemy coś niecoś, porozmawiamy...

– Przykro mi, Andrew, ale mam plany na wieczór.

– Naturalnie... Może później, w tygodniu? Albo...

– Dam ci znać – przerwał mu Winterbotham.

Nowy Jork Sierpień 1945

Katarina ubierała się na randkę, gdy usłyszała tę wiadomość.

Spotykała się z młodym mężczyzną, Tedem Ridgewayem, weteranem inwazji w Normandii, któremu brakowało dwóch palców u lewej dłoni i który na co dzień zajmował się układaniem rur w Brooklynie. Poznali się, gdy zamówił w restauracji kanapkę i kawę. Dziś mieli spotkać się po raz czwarty i – o czym Ted jeszcze nie wiedział – ostatni. Katarina poznała nowego chłopaka, który miał wszystkie palce u rąk i śliczne oczy na dokładkę.

Malowała usta, jednym uchem słuchając piosenki w radiu, gdy nagle zabrzmiał głos spikera:

– Przerwywamy nasz program, by nadać specjalny komunikat z Waszyngtonu. Prezydent Truman wydał oświadczenie następującej treści: „O godzinie dziewiętnastej piętnaście czasu waszyngtońskiego zrzucono bombę na Hiroszimę. Bombę atomową. Jej skonstruowanie oznacza możliwość zapanowania nad pierwotnymi siłami wszechświata; procesy fizyczne, z których Słońce czerpie swą energię, zostały zamknięte w bombie i skierowane przeciwko tym, którzy rozpętali wojnę na Dalekim Wschodzie. Tylko w celu zapobieżenia ostatecznemu zniszczeniu Japonii...

Katarina pobiegła do łazienki i zwymiotowała. Oparła potem głowę o skraj umywalki i słuchała dalej:

– Zniszczeniu uległo około dziesięciu kilometrów kwadratowych, czyli sześćdziesiąt procent powierzchni miasta. Liczba ofiar nie jest na razie znana, ale świadkowie szacują ją na siedemdziesiąt do osiemdziesięciu tysięcy. Prezydent Truman zażądał bezwarunkowej...

Katarina znów zwymiotowała.

Przepłukała usta, splunęła do umywalki, przeszła do pokoju i wyłączyła radio. Stała przy brudnym od sadzy oknie i nieobecny wzrokiem powiodła po okolicznych domach.

Trwała tak zatopiona w myślach przez dobre pięć minut, aż w końcu wróciła do lustra. Wytarła chusteczką resztki rozmazanej szminki i zaczęła ją nakładać odnowa.

Bomba zadziałała.

Zadziałała, a oni zrzucili ją na Japończyków.

Gdyby kiedyś znudziła się jej praca kelnerki, Rosjanie pewnie nieźle zapłaciliby za tajemnicę, którą przechowywała w głowie.

Ale teraz miała randkę.

Skończyła się malować, roztarła po kropelce perfum za każdym uchem i przyjrzała się sobie krytycznie. Była zadowolona: z lustra patrzyła na nią zwyczajna, niebrzydka, ładnie ubrana kobieta.

Przeciętna. Szczera.

I nudna, oczywiście. Przede wszystkim śmiertelnie nudna.

Lecz nuda, jak przekonała się Katarina, ma swoje zalety.

Kłopot w tym, że dla niektórych ludzi – a Katarina znalazła siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że do nich należy – nuda nie mogła być wiecznie atrakcyjna. Musiał nadejść moment, w którym straci cały swój urok.

Na razie jednak była wyjściem idealnym.

Autor chciałby podziękować następującym osobom za ich nieoceniony wkład w powstanie tej książki:

Anicee Gaddis, Megan Newman, Richardowi Curtisowi, Jen Hackworth, Laurze Taylor, Neilowi Nyrenowi, Rachel A. F. Edelson, Joyce Glazer, Jennifer Altman, Michaelowi Straussowi, Sarze Jane Cohen i Ronaldowi Kesslerowi oraz Williamowi L. Shirerowi za jego książki.